

JULIAN KAWALEC

PRZEPLYNIESZ RZEKĘ

Rozdział I

Gdy jest 5 morgów ziemi, ojciec, matka — jeszcze nie starzy i zdrowi, gdy jest siostra, która wyszła za mąż i ten jej mąż przyszedł do jej domu, i gdy ty masz 20 lat i razem z nimi mieszkasz, to ty musisz z tego domu pójść. Choćbyś nie chciał, choćbyś się bał świata, który jest za twoją wsią, powinieneś odejść. Nikt cię nie wygania, nikt na ciebie nie krzyczy, wszyscy są dla ciebie dobrzy, ale ty musisz iść z domu. Nawet delikatnie nie wspominają ci o odejściu, a ty jednak wiesz o tym, sam się tego dowiadujesz, bo już tak jest na świecie. Na każdy dom przychodzi taka chwila, że ktoś staje się niepotrzebny i musi sobie pójść, bo każdy dom musi mieć swoją odpowiednią ilość ludzi.

Powiedziałem, że jadę na wielką budowę. Wszyscy w domu się zdziwili i zrobiło im się smutno, ale przecież wszyscy to rozumieli, że muszę jechać. Ojciec nawet wstał z krzesła, gdy to powiedziałem, a matce zaświeciły się łzy w oczach, przez siostrę tak jakby przebiegła elektryczność, a szwagier bystro na mnie popatrzył. Wszyscy się tak zachowali, jakby się stało coś niezwykłego, a przecież to była rzecz normalna, i oni dobrze wiedzieli, że gdy ja odchodzę, to jest tak, jak ma być.

Stryj, który przez parę lat przebywał we Francji na zarobku, pożyczył mi francuską walizkę podobną do miecha albo do harmonii. Można ją było rozdymać na różne wielkości za pomocą dwóch czarnych rzemieni. Gdy się w nią wepchało dużo rzeczy, robiła się pękata, a gdy w drogę brało się niewiele, rzemienie ją ściągały i spłaszczały.

Gdy pakowałem tę walizkę i byłem schylony, matka założyła mi przez głowę na szyję związaną nitkę, na której był nawleczony medalik z wygniecionym obrazkiem Boga Ojca.

Wtedy mocno przeżyłem to zawieszenie medalika, ale dziś patrzę na to inaczej, bo mnie ten świat, w który miałem pójść.

zepsuł albo może naprawił, czy ja wiem... Dziś mogę powiedzieć, że był to ten chłopski Bóg rozbijany na miliony bogów rozdzielanych, trwonionych przy lada okazji; że był to ten chłopski Bóg umordowany modlitwami, na j cierpli wszy chłopski Bóg, pozwalający grzeszyć do woli przez tę swoją skorość do przebaczenia. Taki dobry, że możesz komuś poderznąć gardło, a potem pobożnie złożyć rączki, podnieść do góry oczy i wpatrzeć się w tę starą twarz Boga Ojca i już masz przebaczenie; albo możesz kogoś obe- I drzeć ze skóry, a potem wypuścisz z rączek to narzędzie do skóro- Pwania i rączki grzecznie złożysz, i westchniesz do tej dobrej, mizernej twarzy Boga Ojca i już masz przebaczenie.

Odprowadzili mnie do wrót i stanęli, a ja z tą walizką na ramieniu wszedłem w pola, nogi mi się zagłębiły w ziemię, bo walizka była ciężka, ale do stacji miałem niedaleko, kawałek polami, kawałek kępą, potem łódką przez rzekę i znów kępą, i za wałem stacja.

Pamiętam, że dzień już się kończył, gdy oddaliłem się od wrót, za którymi oni stali: oni, to znaczy ojciec, matka, siostra, szwagier i dziadek. Zapomniałem na początku powiedzieć o dziadku, a przecież i on był w tym naszym domu. To, że ten dziadek był, ta jego obecność w domu też mnie wypychała w świat, bo dom chciał mieć odpowiednią ilość mieszkańców. Było sześciu, a powinno być pięciu.

Nogi mi się zagłębiały w ziemię, bo szedłem polami i ziemia tak jakby chrzęściła pod nogami. Byłem zły, nie odwracałem się do nich, bałem się świata i dlatego byłem zły. Pierwszy raz wyruszałem tak daleko i tak sam, nie wiedziałem, co będzie tam za tą naszą dużą rzeką. Szedłem w stronę zachodu słońca wprost na tę czerwoność, która się układała, gdy się w nią wpatrzyłem, w oszalałe konie z ognia, galopujące za słońcem już zapadniętym.

Bałem się coraz bardziej i byłem zły; złość i strach odganiałem myśleniem o planach. Przyjadę do nich, do nich — to znaczy do rodzinnego domu, to znaczy do ojca, do matki, może jeszcze do dziadka, jeśli dziadek nie umrze — niechby jeszcze trochę pożył ten dziadek — przyjadę do siostry, szwagra i do tego gówniarza siostrzeńca, jeśli się urodzi i będzie się zdrowo chował. Przyjadę do nich wystrojony, nie w tym ubraniu, które mam w walizce; przyjadę do nich w nowym z czystej wełny ubraniu, krawacie,

w półbutach, w kapeluszu, najmodniej wystrojony; przyjadę do nich jak pan; za to, że teraz muszę iść i że się boję, że się strasznie boję, co będzie w tym nowym świecie, w który wyruszam.

Nie wiem, dlaczego chcę, żeby oni wszyscy, matka, ojciec, szwagier, dziadek — czy on dożyje? — nawet ten pędrak, który się urodzi, żeby oni wszyscy aż pobledli, gdy mnie zobaczą eleganckiego, żeby aż się przestraszyli tego mojego wystrojenia i elegancji.

Tak bardzo chciałem poprawić sobie życie, że aż się o to modliłem.

Gdy wyszedłem z łódki, ogarnął mnie żal, ale zacisnąłem pięści. Wrócisz tu, wrócisz przeinaczony — myślałem sobie — jesteś młody i silny, a przecież takich wołają na wielką budowę, ładnie mówią do nich i piszą — przyjeżdżajcie do pracy po zarobek i po dobrobyt. Dobrobyt — r- to dobrze sobie pojeść, dobrze mieszkać, mieć pieniądze na ubranie, na meble, na wszystko, co człowiekowi jest potrzebne. Dobrobyt — to ożenić się, mieć rodzinę, wieczorem posiedzieć z rodziną w kuchni; dobrobyt — to nie bać się, co będzie jutro.

Wrócisz do wsi przeinaczony, przepłyniesz jeszcze tę wodę z powrotem i znów na powrót przepłyniesz, bo przecież we wsi nie zostaniesz. Tak sobie myślałem, i robiło mi się lżej; ale trudno było odgonić żal; najbardziej za tym miejscem jedynym, za tym cichym wgłębieniem na podwyższonym brzegu mokradła. Sucho tam jest i można tam sobie usiąść w dzień pogodny. Przed sobą masz wgłębienie zarosłe sitowiem, ptaki niby bryły wpadają w zieloność. Gdy tam siedzisz, to tak, jakbyś siedział na tronie. Nie tyle matki, ojca, nie tyle tych domowników, ile tego miejsca z widokiem na sitowie było mi żal. A teraz to tak jakby się za mną zaparły wrota wsi, musiałem iść przed siebie.

Pierwszy raz wyruszam tak daleko. Przedtem łba ze wsi nie wystawiłem, chyba tylko do miasta powiatowego, jechało się, żeby co sprzedać i co kupić. Dom, pola, kępa przy rzece, rzeka, to był mój cały świat, który znałem i którego się nie bałem; a tego, co było dalej, co było za tym kołem pól i za rzeką, bałem się. Ciekawił mnie ten świat, ale bałem się go.

Szedłem wąską ścieżką przez kępę, pręty były mnie po twarzy. Potem kępa się skończyła i pokazał się wał.

Niedaleko za wałem była mała stacja kolejowa — jeden dREW-

niany budynek i nic poza tym. Kupiłem bilet i wpakowałem się z tą walizką do wagonu. To był — jak mówili — wagon bydłocy, przerobiony na osobowy; ale mnie się podobał, jeden duży przedział podobny do izby, deski gładkie, dobrze spasowane, duże drzwi na rolkach, rygle i zawory mocne, w ścianach nie było żadnych szpar, solidna robota, taki wagon wytrzyma wiele lat. Przy wszystkich czterech ścianach ławki, ludzi pełno, nie dla wszystkich starczyło miejsca na ławkach, wielu musiało stać, ja także.

Rozglądam się po ludziach, są różni. Jedni są zmęczeni i z tego zmęczenia porobiły im się głupie, bezmyślne twarze, drzemią i nie drzemią, są jak z drewna. Inni są niespokojni i niecierpliwi, chcieliby jak najszybciej być tam, dokąd jadą, aż drżą, jakby w sobie mieli sprężyny. Wielu jest takich, którzy udają się do roboty, jadą tam, gdzie są budowy. Oni są ze wsi, to widać, choć tego nie mówią. Poznaje się tych wsiowych, którzy odjeżdżają od swoich domów, żeby zarobić pieniądze i kupić sobie eleganckie ubranie, i wiele ładnych rzeczy, żeby potłuścić na gębie i w ogóle, żeby sobie polepszyć życie.

Jeden jest pijany. Okrągła biała twarz, małe oczy, kaszkiet poszedł mu na tył głowy. Młody, młodziutki, chłopak prawie. Tak się upił, że stracił wszelki wstyd i płacze; w przedziale, w tym ogromnym bydłocym wagonie, przerobionym na osobowy, maże się jak dziecko; a potem lamentuje, że los był dla niego zły, że przepił wszystkie pieniądze i co teraz zrobi. Biadoli cienkim, ptasim głosem, biadoli tak, jakby śpiewał, i co chwila wspomina matkę, która go w tę drogę wyprawiała — matko moja, ty odrobino moja, matko moja... Lamentował, jakby mu matka umarła, a przecież jego matka żyła. Lamentował i chuchał na wszystkich wód- czanym smrodem.

W tym ogromnym bydłocym wagonie jechała też kobieta o wąskiej, zniszczonej twarzy i małych, wpadniętych oczach. Wargi miała ściśnięte i włosy gładko przylegające do głowy; włosy ciemne, poprzetykane siwymi, bo była już niemłoda. Ubranie miała byle jakie. Gdy ten młodziutki tak lamentował i w tym pijackim lamencie potrząsał swoim białym łebkiem i gdy z tego lamentu ślinił się jak dziecko, ta kobieta przepchała się do niego, pogłaskała go po

głowie i powiedziała — nie płacz. Ten młodzieńcy od razu przestał płakać i wpatrzył się w kobietę, która go pocieszała. Mówiła mu z wielką cierpliwością, że te pieniądze, które przepił z kolegami, wnet mu się zwrócą, gdy się przyłoży do pracy, i że pieniądze to nie wszystko. On odpowiadał jej bełkotliwie, że jemu nie chodziłoby o pieniądze, gdyby nie dała mu ich matka, gdyby ich nie wysuwała suchymi, urobionymi palcami z jakiegoś węzełka. Jemu się to teraz przypomina i on to widzi, jak ta matka, ta mała chuda matka grzebie w węzełku i wygrzebuje pieniądze jeden po drugim i daje synowi, i jeszcze wygrzebuje, i jeszcze daje. To sobie ten młodzieńcy przypominał i to go rozczulało i dlatego tej kobiecie trudno było go pocieszać, bo jemu wciąż twarz pęczniała od płaczu. Potem ten młodzieńcy jeszcze bardziej przybladł i chwycił się za głowę; wtedy buchnęły z niego wymioty i smród rozszedł się po wagonie. Ludzie od niego odskoczyli, ta kobieta, która go pocieszała też, tak że on jeden stał w środku pustego kółka podłogi. Człowiek rosły, rumiany na twarzy, z czarnym wąsikiem pod nosem, krzyknął, żeby zrobić porządek z pijakiem i wyrzucić go na pierwszej lepszej stacji, ale ta starsza kobieta powiedziała spokojnie, że pijanemu zrobiło się słabo, i zaczęła przekonywać tego rumianego z wąsikiem i innych, którzy oburzali się na to, co zaszło, że pijany nie jest złym chłopcem, jeśli o matce swojej tak mówi, i że do picia namówili go na pewno jacyś koledzy. Ten młodzieńcy zasłaniał sobie twarz rękami, żeby zatamować wymioty, ale to niewiele pomagało, upaprał się tylko cały; a w końcu klęknął, głowa mu zaczęła opadać coraz niżej, kołnierze marynarki i kurtki poszły w tył, ukazała się goła szyja, na niej brudna, gruba nitka lici jemu matka dała na drogę Boga Ojca, Boga Syna albo Matkę Bożą.

Głowa wciąż spadała mu coraz niżej, aż położył się w tym świństwie, które z siebie wybluzgał.

Pociąg jechał i jechał. Ci, którzy podróżowali i znali się na pociągach, mówili, że on się wlecze, a mnie się wydawało, że jedzie szybko, że pędzi. Stałem w ścisłości, ugniatany ze wszystkich stron, na każdej stacji ktoś dosiadał, robiło się coraz ciasniej. Niektórzy tak byli zmęczeni, że drzemali stojąc, w wagonie śmierdziało, w jednym rogu wybuchła kłótnia, przycisnęli mnie bardziej z jednego boku, przechyliłem się, musiałem stać na jednej nodze,

drugą trzymałem w powietrzu albo lekko ją stawiałem na czymś miękkim, pewnie na czyimś tobołku.

W wagonie coraz bardziej śmierdziało, robiło się duszno, ktoś krzyknął, że mu słabo...

Myślałem o swoim przyszłym życiu — wrócisz do swojej wsi, wrócisz przeinaczony, przepłyniesz z powrotem wodę i jeszcze raz przepłyniesz.

Pociąg jechał i jechał, w wagonie zepsuło się światło, zrobiło się ciemno.

W dużym mieście byliśmy przed samym świtem, wagon wyrzucił pasażerów na peron. Ludzie z trudem wprawiali w ruch zastawę nogi i grzbiety. Owiało mnie chłodne powietrze, wyszedłem przed dworzec, zapuściłem oczy w miasto, na które patrzyłem po raz pierwszy, poczułem dymy i smary.

Zaczął się ruch, choć jeszcze nie było widno; mijały mnie jakieś pokurczone postacie, zaklekotało żelazo, to był tramwaj, światła paliły się rzadko. Nikogo tu nie znam, ludzi wciąż przybywa, a wszyscy obcy, jestem sam wśród obcych; gdyby mi się co złego stało, kto mi pomoże. Choć ludzi wciąż było coraz więcej i klekotanie żelaza słyszało się coraz częściej, zdawało mi się, że naokoło mnie jest pustka, taka pustka jak w lesie, w lesie nieznanym.

Cofnąłem się z powrotem do budynku dworca, wszedłem do dużej poczekalni i usiadłem na niskiej, szerokiej ławce. W poczekalni siedziało wielu pasażerów, a wśród nich byli i ci, z którymi jechałem w tym dużym wagonie. Był tam ten młodzieńcy, który się upił, teraz wytarty już i oskrobany z brudu, ale smutny. Był tam także ten rumiany, z małym czarnym wąsikiem, który się zezłościł na pijanego; i była tam także ta niemłoda już, podniszczona kobieta, która broniła upitego przed rumianym.

Napał mnie sen, bo w poczekalni było ciepło. Napał mnie w ten sposób, że wszystkie cztery duże ściany poczekalni naraz się do mnie zbliżyły i napały na mnie z całą siłą, i zgmiotły mnie, i starły mnie na nic, i to był sen przelotny, ale głęboki jak krótka śmierć i zmartwychwstanie.

Gwiazd lokomotywy prześwidrował mi głowę i obudziłem się. Gdy ten gwizd wylazł mi z uszu i głowy, usłyszałem bicie deszczu o blachę.

Rozdział II

W autobusie, w którym jechałem na wielką budowę, było jeszcze ciasniej niż w tym dużym wagonie, tak dużo ludzi się wpełchało, że autobus aż się przechylił" na jedną stronę. Stałem w drzwiach i gdy mineliśmy miasto, patrzyłem na pole, bo mnie obca ziemia ciekawiła; podobna trochę do naszej, równinna, dużo wierzb, ale kolor ma inny, nasza ciemniejsza, a ta bardziej brązowa; nasza połyskuje, a ta nie ma na sobie żadnych połysków i nic się w niej nie iskrzy tak jak w naszej, ale podobna tą równinnością i tą niskością, i tym parowaniem w zagłębieniach, gdzie są łąki. Domy wsi podobne do naszych na dachach strzecha, spore kominy, a ściany z drewna, niektóre dla elegancji niebiesko potynkowane.

Deszcz wciąż siąpił i ćmił wszystko, błoto bryzgało spod kół autobusu; gdzie jest ta budowa? Nagle jakieś maszyny, spychacze, rowy, ludzie, deski, samochody, dużo ciężkich, warczących samochodów. Wszystko zbabrane błotem, ludzie w waciakach, w szerokich płaszczach nieprzemakalnych i w gumowych butach. Wszyscy w gumowych butach z cholewami, inaczej się tu nie da i ja pewnie taki ubiór dostanę.

Mam już przydział na mieszkanie w hotelu robotniczym, zbudowanym z desek i trocin. Na ten hotel mówią „dziki zachód", a to dlatego, że chłopaki czasem się pobijają, a nawet podobno zdarza się, że jeden drugiego dźgnie nożem.

Mieszkam w małym pokoju, w którym jest równiutka drewniana podłoga i- cztery łóżka, po dwa ułożone piętrowo przy dwóch ścianach, i cztery szafki.

Ja śpię na górnym, przy lewej ścianie, a pode mną ma łóżko jeden stary, który stróżuje na składowisku materiałów budowlanych

nych; na łóżkach z prawej strony śpią jacyś z Kieleckiego, młodzi, młodszy chyba ode mnie, pracują przy betonach. Te cztery szafki stoją przy ścianie obok drzwi i są zamykane na kluczyki, każdy ma swój kluczyk.

Cieszę się łóżkiem jak całym domem, bo jest ono żelazne, mocne i wygodne, a także przytulne. Śpi się w nim jak w dużych nieckach; dobrze się śpi, przykrywam się dwoma kocami.

Wyfasowałem już robocze ubranie — wacianą kurtkę, na którą mówi się kufajka, i waciane spodnie, buty z cholewami i płaszcz nieprzemakalny. Cieszę się tym ubraniem na dni chłodne i tym płaszczem nieprzemakalnym na dni deszczowe, i tymi gumowymi butami na każdy dzień, bo tu błoto prawie nigdy nie wysycha, a tylko urabia się i urabia na coraz większe, kołami samochodów i nogami ludzi.

Dróg twardych mało, jeszcze tu wsie, a ma być miasto. Pracuję w brygadzie, która kopie rowy pod fundamenty i robi szalunki z desek, żeby się ziemia nie obsypywała, bo rowy są głębokie. W te doły leje się płynny beton. Bijemy fundamenty pod domy, na które się mówi — bloki mieszkalne. Chodzę do pracy w kufajce, którą wyfasowałem, bo po tym deszczu przyszły dość chłodne dni; ale wacianych spodni na razie nie wkładam, bo wielkiego zimna nie ma. Gumiaki wzuwam codziennie.

Ja mam kufajkę zieloną, ale są także kufajki granatowe. Niektórzy je woleli, bo myśleli, że są lepsze, choć w gruncie rzeczy to wszystko jedno. Dziś ten ubiór wyszedł z mody, coraz rzadziej widzi się człowieka w kufajce.

Były jeszcze kufajki szyte z ciemnogramatowego, połyskliwego materiału. Szwy biegły z góry na dół i w poprzek, tak że tworzyła się kratka. Te kufajki naprawdę były lepsze i lżejsze. Ubierali się w nie inżynierowie i kierownicy; nawet panny siedzące w biurach przy maszynach, roznoszące papiery i warzące herbatę lubiły się w nie ubrać. Te kufajki szyte były chyba na miarę, gdyż bardziej opinały człowieka i zgrabnie na nim leżały. Bo te nasze były przeważnie luźne i każdy w nich wyglądał jednakowo; baby się nie odróżniały od chłopów, cienkiego od grubego. W tych kufajkach każdy był gruby i wyglądał jak siłacz.

W naszej brygadzie było kilkunastu ludzi. Tak się złożyło, że znalazł się i ten młodzieńcyś, który jechał ze mną w jednym wozie

nie, ten, który się upił i wymiotował. Znalazła się w niej i ta niemłoda już, podniszczona kobieta, i ten rumiany z czarnym wąsikiem.

Brygadziatę Jeat mały, gruby człowiek, który tu pracuje od pierwszego dnia, zna się on na kopaniu rowów i szalowaniu, bardziej na szalowaniu, bo jest cieślą.

W brygadzie są dwie kobiety. Oprócz tej starszej, tej pocieszy- cielki młodziutkiego upitego, jest druga — młoda, delikatna, szczupła, włosy jasne, spadające falami. Te dwie kobiety i młodziutki wykonują na razie roboty pomocnicze, donoszą mniejsze deski, opiekują się urządzeniami, przeliczają i czyszczą siekiery, młotki i łopaty, porządkują teren budowy. Spychają to i owo, są w ciągłym ruchu, bo przy ciężkich robotach ziemnych i przy szalunkach jest sporo różnych dodatkowych, drobnych zajęć.

Ta trójka była jakby na uboczu głównego ciągu robót ziemnych i szalunkowych, ale było to ważne pobocze, bo bez niego nie poszłaby robota główna; tu się wszystko musiało liczyć, gdyż roboty musiały się posuwać prędko.

Ta trójka była także jakby na uboczu tych przekleństw groźnych i okrzyków, których najwięcej zawsze jest tam, gdzie idą roboty najcięższe, główne. Te przekleństwa i różne okrzyki szły rowem i unosiły się w powietrzu, i były wchuchiwane w tę go- lusieńlca, mokrą ziemię, i na tego okrąglaka, i na tę deskę oblepioną błotem. Do deski, która nie chciała puścić w miejscu, w którym była przybita gwoździem, mówiło się ty k...o fra...a i ta deska się przelekła i puszczała ze zgrzytem i piskiem. A do okrąglaka, który się nie poddawał, wrzeszczało się ty sk...nie i okrąglak musiał się poddać; i na ziemię, która pękała przedwcześnie na ścianie rowu i chciała się obsuwać, nim dało się szalunek, krzyczało się i klęło — no, co się obsuwasz, ty k...o sakra...a, i ziemia słysząc to, przestawała się obsuwać i cierpliwie czekała, aż chłopcy zrobią szalunek.

Za najcięższy, za najgroźniejszy, za taki, który wszystko poruszy i wejdzie w każdą część człowieka, uważam, ja uważam — bo inni może nie —• brzmiały jak przekleństwo krzyk — krucyfiks. Ale jeśli to słowo „krucyfiks" ma być groźne, to musi być tak wypowiedane, jakby się zwierzało, ryglowało gardło, jakby się tworzyło w gardle mały przesmyk, którym ono ledwie i po ka

wałku się przeciska. To słowo wtedy brzmi groźnie, gdy człowiek, który je wykrzykuje, trzęsie się cały, drży niby w febrze; ono ma być wykrzyczane tak: krrrru-cy-fiks. Gdy tak zostanie wykrzyczane przez człowieka, którego ogarnęła wściekłość, cisza zalega przez chwilę na całym odcinku robót i każdy, do którego ono doleci, wstrzymuje narzędzie i nieruchomieje, jakby go kto zaczarował. Wydaje się, że w tej króciutkiej chwili ciszy stanie się coś strasznego, że piorun nagle trzaśnie albo ziemia wybuchnie. Ale przecież nic takiego nie może się stać i ta cisza, to zaczarowanie jest — jak sojbie myślę — po to, żeby uszanować wściekłość prze- klętnika, którego coś niedobrego zmusiło do tego strasznego przekleństwa. Ale — wstyd powiedzieć — ten krzyk się przydaje, bo on słabego robi silnym i daje człowiekowi na krótką chwilę ogromną siłę i odwagę.

Do cięższych — po mojemu — krzyków należą — „matko bolesna” i „panno bolesna”, ale to już nie to co — „krucyfiks”. W nich nie wściekłość człowieka się szanuje, ale jego smutek.

Nie będę mówił o wielu innych mniejszych przekleństwach, takich: „niech to szlag trafi”, „jasny piorun”, „cholera”, „psiakrew” i o tych najmniejszych, dziecinnych, jak: „psiakość”, „jasny gwint”, „niech to diabli”, „rany boskie”, „rany’ Julek” i tym podobnych, bo od tego aż się roi na budowie, bo te przekleństwa jak bzykające robaki unoszą się nad wykopami.

Nie będę także mówił o całym mnóstwie przekleństw, które nie są groźne, a świńskie, w których wywleka się brzydkie części ciała ludzkiego; nie ma w nich nic groźnego, używane są przez byle łachudrę i nie mają ani tej siły straszności, co „krucyfiks”, ani tego wielkiego smutku, co „panno bolesna” albo „matko bolesna”, i nie ukazują człowieka w jego wielkim przeżyciu.

Tu wszyscy przeklinają, kobiety i mężczyźni, robotnicy, brygadziści, majstrowie, inżynierowie; tylko jeden ciężej, a drugi lżej.

Kto był na budowie, ten wie, że bez przekleństw żadna poważna robota by nie poszła. Ludzie przecież tu muszą dodawać sobie odwagi i dlatego przeklinają. Na wsi nie muszą przeklinać tak często; tu musi się gęsto rzucać przekleństwami, bo się jest w zbitej masie.

W masie musisz przeklinać, aby ludzie wiedzieli, że jesteś kimś, i aby cię szanowali; a poza tym zwalają ci się pod nogi, na łeb, na grzbiet, na ręce te dechy, gwoździe, narzędzia, duże bryły i drobne bryły ziemi, i pył ziemny, i to błoto, to brązowe ciasto. Musisz to wszystko porządkować i musisz się przed tym bronić przekleństwami.

I jeśli mam powiedzieć prawdę, to nasze ^dzisiejsze miasto, te ogromne domy, te szerokie ulice, sklepy i te róże na trawnikach, i ten dzisiejszy ruchliwy dzień, i ta dzisiejsza noc świetlista tego miasta, to wszystko opiera się nie tylko na naszych rękach i na naszych sercach — jak mówią ładnie ubrani, wycackani mówcy — ale także na naszych przekleństwach, które nam pomagały w robocie, na naszych dzikich, chamskich przekleństwach i złorzeczeniach, od których — zdawało się — że ziemia zadrży i niebo zapłacze, a które nam pomagały wytrwać na nieustannym drobniutkim deszczu, na mrozie i na zawiei. Niech będą błogosławione te nasze ręce i te nasze dzikie, straszne przekleństwa, bo one także stawiały to miasto.

Gdyby się odebrało przekleństwa tej dolinie, nie stanęłoby tu miasto, a jeśli by stanęło, to byłoby przechylone na jeden bok.

Nasza brygada została niedawno uformowana i składała się ze starszych i młodych. Byli w niej fachowcy, którzy wiedzieli, jak pójdzie wykop i jak się potoczy budowa, i którzy umieli sobie wyobrazić, co będzie za tydzień, za miesiąc, a nawet za kilka lat; ale byli w niej także tacy jak ja, którzy tylko metr, dwa metry rowu mieli przed sobą i w przyszłość budowy nie umieli spojrzeć.

Dlatego brygadzysta jednego dnia, nim zaczęły się roboty, ustawił wszystkich na tym błocie, które sięgało do połowy gumowych cholew albo i wyżej, i pokazał ręką kierunek, w którym pójdzie wykop; a potem powiedział, kiedy należy zakończyć pierwsze odcinki i że termin musi być dotrzymany, aby nie zostały zahamowane roboty betoniarskie i te dalsze, które pójdą za betoniarski- mi.

Na końcu zatoczył ramieniem łuk, przejechał tą swoją grubą,

owłosioną łapą od zachodu na wschód i od wschodu na zachód, bo chciał, żebyśmy objęli wzrokiem rozciągającą się przed nami równinę, niewyraźną, przykrytą schodzącą na dół rzadką mgłą. Ale można było zauważyć pola, a dalej domy wsi, drewniane, 3 przykryte słomianymi, czarnymi dachami; i można było zauważyć drzewa sadów i inne wiejskie drzewa — wierzby, osiki, olchy. Z jednego boku mieliśmy zielony wał rzeki, a z drugiej nagle wzniesienie ziemi.

Brygadzysta powiedział, że tę całą równinę przykryje miasto, że staną na niej duże bloki mieszkalne, że poprzecinają ją kamienne i asfaltowe ulice i że obok tego miasta wybuduje się fabryki. Potem dodał, że to wszystko robimy dla dobra ludzi, dla dobrobytu tych, którzy dotąd żyli w biedzie na przeludnionych wsiach i wiedli nędzny żywot o postnym barszczu i suchym chlebie.

Te ostatnie słowa bardzo mi się spodobały, bo ja chciałem tu zarobić dużo pieniędzy, żeby się obsprawić i mieć na wszystko, co człowiekowi potrzebne; i chodziło mi o to, żebym wyglądał jak człowiek, któremu się dobrze powodzi; bo we mnie grały wciąż, jakby nieprzerwana muzyka, jak podszept anioła czy diabła, te słowa — wrócisz do wsi, wrócisz przemieniony, przepłyniesz z powrotem rzekę i znów ją przy płyniesz z powrotem. Bóg Ojciec, uwiązany brudną nitką na mojej szyi, miał mi w tym pomagać.

Brygadzysta skończył mówić, a myśmy jeszcze chwilę stali na tym brzegu rowu, staliśmy bez słowa. Przedemną, nieco z boku, jest ta dziewczyna, która pracuje w naszej brygadzie, a obok niej Rumiany z czarnym wąsikiem. Widzę, że Rumiany zerka na nią i ona pewnie także na niego popatruje.

Na brzegu tamtego rowu, po wykładzie brygadzysty — a mówiąc nie dawnym, lecz dzisiejszym językiem — na ulicy albo może na chodniku, albo na trawniku przy pierwszych domach miasta zacząłem tak myśleć —■ ty Rumiany, ty Rumiany z czarnym wąsikiem, ty masz szczęście, ty Rumiany, ty Rumiany, dlaczego nie pojechałeś dalej, dlaczego wysiadłeś razem ze mną z tego dużego bydłowego wagonu, dlaczego nie dali cię do innej brygady...

A potem zaraz to natręctwo, to granie we mnie — musisz wró

cić do swojej wsi przeinaczony, przepłyniesz z powrotem tę wodę i znów z powrotem przepłyniesz...

A w tę muzykę znów się wpycha — ty Rumiany, ty Rumiany z czarnym wąsikiem, dlaczego jesteś ze mną w brygadzie.

A to znów jest odpychane przez myśl — musisz przepłynąć swoją rzekę wystrojony i zadowolony, musisz przepłynąć swoją rzekę z dobrym fachem i pełnym portfelem.

Rozdział III

Obiecują niezły zarobek, wzywają do nauki.

Pewnego dnia brygadzysta znów nas zawołał, zebrał nas na brzegu rowu i przemówił — kto nie umie czytać i pisać, musi chodzić na kurs dla analfabetów, kto chce kończyć szkołę podstawową, może kończyć na kursach wieczorowych; kto chce się uczyć dalej, też może; są także kursy zawodowe. Większe kwalifikacje, większe zarobki... A teraz do roboty, bo nas betoniarze gonią.

To powiedział i błoto znów zaklaskało, bo myśmy z powrotem skoczyli do swoich zajęć — jedni do ziemi, inni do drewna, i robota znów ruszyła. Chodziło — jak mówił brygadzysta — o to, żeby się nie dać dogonić betoniarzom, żeby przed nimi uciekać; a im znów chodziło o to, żeby nam deptać po piętach. Betoniarz to był nasz wróg, ale wróg dobry, bo napędzał nas do roboty, ale napędzał nam także zarobków.

Kto w naszej brygadzie nie umie pisać i czytać? Matka — Matką nazywaliśmy tę starszą, podniszczoną kobietę, zatrudnioną przy robotach pomocniczych, tę pocieszycielkę Młodziutkiego, który się upił, gdy miał tu jechać — Matka nie umie pisać i czytać. Sama to śmiało i odważnie powiedziała — nie umiem, kto mnie miał nauczyć, od dziecka musiałam pracować. Szkoła była w sąsiedniej wsi, trochę tam chodziłam, ale ojciec kazał mi zostać w domu.

Rumiany? — nie wiem, nic nie mówi; żeby przynajmniej był analfabeta...

Mamy w brygadzie trzech starych chłopów; dwóch powiedziało, że kiedyś coś tam umieli nagryzmolić, ale zapomnieli. Trzeci, który nazywa się Korbas, Leon Korbas, nic nie mówi. On nie umie czytać i pisać, ale się tego wstydzi i o tym nie mówi. Zbliżył się do mnie, gdyśmy schodzili z roboty, i zapytał się — umiesz pisać? — Umiem — odpowiedziałem.

— To mnie naucz. Nie chcę chodzić na ten kura dla analfabetów, bo to wstyd, za młodu uczyłem się trochę u organisty, ale to było dawno i nic z tego już nie zostało.

Leon Korbas z Rzeszowskiego — chłop nieduży, czarny, zarośnięty, miał w kieszeni kufajki kilka gwoździ, których się używa do przybijania desek i okrągłaków; poszliśmy na puste miejsce, udeptałem i wygładziłem butem mokrą ziemię i gwoździem napisałem — Leon Korbas. Potem ten gwoździecz ułożyłem w dłoni Korbasa jak ołówek i powiedziałem mu — piszcie teraz wy.

On klęknął w błocie, na oba kolana, jak do modlitwy, pochylił się jak w czasie podniesienia na mszy i zaczął tym gwoździem ryć literę za literą. Powtarzaliśmy to parę razy po robocie, a potem Leon Korbas powiedział — a jak się napisze Katarzyna, Katarzyna Korbas; — a po następnych kilku dniach — jak się napisze Aniela Korbas i Józef Korbas... Ale na kurs poszedł.

Rumiany na kurs dla analfabetów nie poszedł; mówią, że ktoś go uczy po kryjomu...

Ja i Młodziutki mamy się zapisać na wieczorowe szkolenie, będziemy robić siódmą klasę. To on podszedł do mnie jednego dnia — gdy siał drobny, ale nieustanny deszcz, ten najgorszy z deszczów, jakie padają. Kto robił przy wykopach i przy szalowaniu rowów, ten wie najlepiej, jakie są na świecie deszcze i który z tych deszczów jest najgorszy. Najgorszy jest drobniutki, podobny do mgły; ten deszcz wszędzie się przeciśnie, przejdzie przez całego człowieka jak przez sito. Gdy porobisz parę godzin na tym deszczu, to masz go wszędzie, nie uchroni cię przed nim nawet nieprzemakalny płaszcz. Bo ten deszcz-mgła niby nie przechodzi przez nieprzemakalny płaszcz, a przechodzi, i ogarnia cię całego, i idzie w ciebie, owija cię i owija sobą, jakby jakim cieniutkim, najcieńszym prześcieradłem.

Młodziutki miał mokrą twarz, choć głowę przykrył sobie kapturem, kucnął przede mną — bo ja byłem przychylony — i nieprzemakalny płaszcz, w który był odziany, wydał mu się na plecach i Młodziutki wyglądał jak kurczę wychynięte spod kwoki; i wtedy Młodziutki powiedział mi, a właściwie to się mnie zapytał — pójdziemy. Ale on tak jakby mi nie dowierzał, bo dodał — gdy się tu przyjechało, to trzeba się czegoś nauczyć; a po chwili jeszcze dodał — gdy się już tu jest, to trzeba zostać kimś.

Potem wystawił jeszcze bardziej swój mały, zroszony od potu i deszczu łebek spod tej kwoki, to znaczy spod tego płaszcza, w moją stronę, tak że nasze dwa łby przykryte kapturem zbliżyły się do siebie i to zroszone kurczę, które tu przyjechało z kraju świata, wychuchiwało mi cicho w samą twarz, tak jakby to, co mi wychuchiwało, było wielką tajemnicą — później można iść na kurs zawodowy, na majstra, na technika... gdy się już tu jest, to trzeba do czegoś dojść...

A było się tamtego dnia po kolana w błocie, w większym niż przedtem błocie, przez ten drobniutki deszcz. Gdy się szło, ziemia bulgotała, strzelała, mamrotała i ręce były w błocie, i deski, i okrągłaki; i do twarzy się przylepił, i w samo oko trafił cię czasem placek błota.

Ale nie można było na to zważać, bo betoniarze deptali nam po piętach; a zresztą musieliśmy wtedy spieszyć się, bo to było przed ważną rocznicą i myśmy podjęli zobowiązanie, że damy odcinek przed terminem. Bo znów, jak zwykle, gdy wypadało coś ważnego, zebrano nas razem na brzegu rowu i majster powiedział, że należy podjąć zobowiązanie zakończenia robót przed terminem na naszym odcinku; i powiedział jeszcze, że dodaje nam do brygady na jakiś czas kilku chłopów, bo jesteśmy w robotach opóźnieni. A później głosem donośnym zawołał — będziemy pracować bez przerwy, póki nie skończymy - zgoda? — Kilku odpowiedziało rr- zgoda; a kilku się skrzywiło, bo myśmy mieli za sobą prawie osiem godzin roboty i wnet powinno się iść do domu.

Potem przyszedł na nasz odcinek nieznajomy człowiek, także w gumowych butach i nieprzemakalnej pelerynie z kapturem. Stał nad rowem, to znaczy nad nami, i mówił do nas w dół — liczymy na was, wierzymy, że nie dacie się dogonić betoniarzom i że wykonacie godnie swoje zobowiązanie.

Coś jeszcze powiedział i poszedł sobie. Wtedy ludzie zaczęli kłąć i dogadywać — nie sztuka spacerować po budowie z tą gotową mową, z tą katarynką nakręconą na jedno i to samo — liczymy na was, liczymy na was, liczymy na was, wykonacie, wykonacie, wykonacie, godnie, godnie, godnie... Niechby tu przyszedł i zlazł do dołu, i porobił, toby się przekonał, jak to jest, niechby uciekał przed betoniarzami, przed tymi wściekłymi, zajadłymi ludźmi, którzy bili i biją fundamenty i wciąż tak jakby nas ko

pali w tyłki, bo idą zaraz za nami i pomrukują, i ponaglają — szybciej, szybciej, szybciej...

Ten przeklęty drobniutki deszcz, ten najgorszy z deszczów na tym świecie wciąż siąpił; całe popołudnie i wieczór, i w nocy siąpił. Gdy nadeszła noc i światła zapaliły się nad budową, ten nieznajomy, który za dnia do nas przemawiał — liczymy na was, wierzymy, że godnie wykonacie swoje zobowiązanie — znów przyszedł na nasz odcinek. Ubrany był roboczo, poprosił o łopatę i zaczął z nami kopać ziemię, i można było zobaczyć, że on zna się na robocie. Ludzie się zdziwili, aż gęby pootwierali ze zdziwienia, bo nikt się tego nie spodziewał; prędzej śmierci można było się spodziewać, niż tego, że przyjdzie do nas i weźmie łopatę ten spacerowicz, który po całej budowie rozpylał słowa — liczymy na was, wierzymy, że wykonacie zobowiązanie, zobowiązanie, wierzymy, liczymy, godnie...

A jednak przyszedł w noc, w niepogodę, w deszcz i tym nas ujął; to, że wziął łopatę i przepracował z nami noc, to że zobaczyliśmy jego ciężką robotę przy wykopach, a i to, że nad ranem cicho, nie chwając się, poszedł sobie, więcej znaczyło, niż gdyby cały miesiąc mówił i rozpylał słowa. Samą mową ludzi się nie weźmie; ludzie nie lubią tych, którzy tylko ładnie mówią; a sporo jest takich, którzy — można by powiedzieć — aż śmierdzą ładnymi słowami i już z daleka idzie od nich smród ładnej mowy. Ale na takich ludzie zaraz się wyznają.

Rozdział IV

Wczesnie rano ustał deszcz i pokazało się słońce; ledwo otrzepaliśmy się z roboty, Korbasa zarządził składkę, a gdy zebrał pieniądze do czapki, gdzieś skoczył i przyniósł wódkę; ktoś miał śledzie i kielbasę, poszliśmy do budki wartownika.

Było nas siedmioro, reszta poszła spać, została ta niemłoda, podniszczona kobieta, na którą mówiliśmy Matka; zostali Korbasa, Młodziutki, Rumiany, została także Hela, ta młoda blondynka pracująca z Matką i Młodziutkim w robotach pomocniczych; byłem ja, a także wartownik.

Przykryliśmy stół starą gazetą, na gazecie postawiliśmy te dwie flaszki, które przyniósł Korbasa, obok flaszek położyliśmy śledzie, kielbasę i chleb, usiedliśmy, na czym się dało, i zaczęliśmy pić. Z kobiet tylko Matka piła dużo, tak jak i my; młoda wypila, ale mało, Młodziutki także uważał, żeby za dużo nie wypić, nauczyło go w pociągu... Najwięcej pił Korbasa, Rumiany pił dużo.

Wódka działała szybko, bo byliśmy niewyspani. Przy wódce, jak to przy wódce, każdy powie to, czego by nie mówił, gdyby nie wypił. No to w tej budce wartownika każdy powiedział, dlaczego na tę budowę przyjechał.

Matka nie mogła wytrzymać z córką i zięciem. Zapisła im pole, a oni potem wszystkiego jej udzielali i jeszcze z taką miną, jakby jej robili łaskę; i ona tego nie mogła znieść, chciała mieć swoje pieniądze, a także chciała im zrobić wstyd i wyjechała, i przybyła tu.

Korbasa przyjechał, bo znał się dobrze na ciesielce i słyszał, że tu nieźle płacą. Młodziutki chciał się czegoś dorobić i kimś zostać i — można było to zauważyć — chciał tym ucieszyć swoją matkę, tę „odrobinę”, która wysupływała pieniądze po pieniądzu i dawała mu na drogę. Tę młodą, tę Helę, rodzice chcieli wydać za mąż za starego

wiejskiego cwaniaka i kombinatora, a ona nie chciała. Pokłóciła się z matką i ojcem i uciekła.

Ona nie pasowała do kufajki. Nie każda głowa pasuje do kufajki. Są głowy jakby stworzone do kufajki i kufajka dla tych głów jest nawet ładnym strojem, bo one ładnie z niej wystają; i są głowy, do których kufajka nie pasuje, tylko coś delikatniejszego.

Korbas dobrze pasował do kufajki, bo głowę miał sporą, twarz czerwoną, czoło niskie, włosy gęste, czarno-białe. Do kufajki bardzo się nadają niskie czoła i gęste, nie za długie włosy. Wysokiemu i na dodatek podanemu w tył czołu nie jest dobrze w kufajce; łysemu także nie; okulary nie są dobre do kufajki, długi, cienki nos nie jest dobry; białe ręce o długich palcach także nie; grube ręce, krótkie, popękane palce są dobre.

Tak jak nie każda głowa i nie każde ręce, tak i nie każdy głos, nie każde słowo pasuje do kufajki. Głos cienki nie pasuje, a gruby, chrapliwy bardzo pasuje. „Całuję rączki”, „moje uszanowanie”, „kłaniam się niskie”. „padam do nóżek” — za żadne skarby nie pasują. Nie pasują taki o — choć od biedy może być — „dzień dobry”, „dobry wieczór”, „dobranoc”. Grube przekleństwo, a także „cześć”, „no to cześć”, „daj”, „weź”, „masz”, „chodź”, „wynoś się” — pasują. Śmiech, śledź, flacha, kielich z grubego, rżniętego szkła — bardzo pasują. Płacz, „kocham” — nie; „lubie” — tak. „Mamusia”, „tatuś” — nie pasują; „matka”, „ojciec” — tak. Matce — tej Matce z budowy — dobrze jest w kufajce. Jej podniszczona żółta twarz ładnie wystawała z kufajki. Młodziutki nie za bardzo pasował. Ten jego biały łebek wystawał z kufajki jak z czegoś nie swojego, jak z czegoś, co zostało włożone na krótko. Rumiany chyba także nie pasuje; jest za bardzo rumiany; i ten wąsik, taki mały wąsik do kufajki nie nadaje się.

Rumiany nie powiedział wyraźnie, dlaczego tu przyjechał. Pewnie jakieś nieczyste sprawy, dużo tu jest takich. Siedział obok Heli. Ciekawy byłem, czy on się jej podobał. Po czym miałem poznać? Po tych jej czystych oczach, po przybladłej twarzy, po smutku, po uśmiechu jeszcze nie poznasz. Ciekawy byłem także, co ona o mnie myśli.

Mnie w kufajce chyba jest nie najgorzej. Mam ciemną twarz, niewysokie czoło, włosy gęste, podniesione nad czołem i nagięte

do przodu. Jestem dość wysoki, w ramionach szeroki, silny. Wiem, jaki jestem, bo przyglądam się sobie w małym lusterku i w dużej szybie, która jest w drzwiach na korytarzu baraku. Przyglądam się sobie częściej niż przedtem, bo na naszej budowie pracuje Hela. Chcę wiedzieć, jaki jestem, bo ta Hela jest przydzielona do naszej brygady.

Ale mam w sobie coś takiego, jakby lęk, jakby strach. Rzucam się na ten strach i mówię sobie — czego się boisz, głupi? Jesteś młody, zdrowy i silny, masz dwadzieścia lat, umiesz pracować, możesz zarobić dużo pieniędzy; gdy zarobisz, przepłyniesz z powrotem swoją wodę i pokażesz się wsi. Ale łatwiej wykopać ogromny rów, niż pozbyć się tego dziwnego lęku.

Rumianemu bardzo dokładnie się przyglądam... Ty Rumiany, ty Rumiany, ty nawet nie wiesz, jak ja ci się przyglądam. Wiem, jak stoisz, jakie masz barki, jaki kark; wiem, że jesteś wysoki, trochę wyższy ode mnie, że masz prosty, zgrabny nos, a pod nim te czarne jak węgiel wąsiki i że ładnie wyglądasz z tymi wąsikami, i że jesteś silny, bo widzę, jak podnosisz drewno albo jak bierzesz łopatą ziemię.

Rzucam się na ten mój strach i odganiam go od siebie, jak mogę, ale on wciąż do mnie przychodzi.

Rumiany ma długie nogi i ładnie nimi idzie. Ja także ładnie idę, gdy idę, ale on także. Ten lęk nie jest duży, jest mały, malutki, ale jest; żeby to było coś takiego, co by się dało chwycić w rękę, tobym to złapał i rozbił o ziemię; ale to jest jak powietrze, którego nie złapiesz; jak mgła, której nie złapiesz; jak wieczór, którego także nie złapiesz, bo jak to złapać. Żeby tak do tego strachu można się było dobrać rękami...

W nocy nagle budzę się z tym lękiem w sobie, przesuвам ręką po szyi, jadę palcami po sznurku aż do tego blaszanego Boga Ojca. biorę tę blaszkę w rękę, ten prezent ofiarowany przez matkę na drogę, tego Boga, którego najłatwiej dać... Ale lęk ze mnie nie ucieka.

Wyciągam się na łóżku, czuję siebie całego, czuję swoje nogi, silne, gdybym tak nimi trzasnął w ścianę, poleciałaby...

Przy tej wódce ja także powiedziałem, dlaczego przyjechałem na tę budowę. Dowiedzieli się, że niby nie musiałem, a musiałem

przyjechać i że ten mus nigdy nie był w słowach, nigdy w czymś takim — za dużo nas w domu, a roboty za mało; ten i ten pojechał, a ty nie; siedzimy tu wszyscy na kupie jak pszczoły w ulu... Niczego takiego nie było, a jednak był mus; czuło się ten mus wszędzie, zewsząd szedł do mnie; nawet od tej jednej jedynej, pozostawionej na rozmnożenie i spacerującej po błocie gęsi szedł do mnie ten mus; i od tych zdziwionych kurzych łebków szedł ten mus...

Gdy skończyliśmy wódkę, śledzie i kielbasę, wyszliśmy z budki wartownika.- Był przymrozek, świeciło słońce, spać się nie chciało. Wszyscy byliśmy mocno podpici, ale na nogach trzymaliśmy się dobrze. Heła i Młodziutki wypili niedużo, ale widać było, że wódka na nich podziałała. Ja, Korbas i Matka szliśmy przodem. Młodziutki ostrożnie stąpał trochę dalej z boku; on tak chodził, tak stawiał nogi, jakby za każdym krokiem badał ziemię, jakby się bał, że się ziemia pod nim ugnie i on zapadnie się w dół. To wyglądało jak strach przed ziemią, po której się chodzi; ale to przecież nie był strach, tylko taki chód.

Na samym końcu szedł Rumiany z Hełą. Korbas coś mamrotał i od czasu do czasu wołał — za. mną, za mną, bracia i siostry. Matka zaczęła wygłaszać to swoje nieraz już wygłaszane kazanie. Zatrzymywała nas na tych ogromnych polach wśród desek, koparek, spychaczy i rozmaitego żelastwa i mówiła —synkowie moi, synkowie moi kochani, pamiętajcie, żebyście zawsze pili wódkę i piwo za swoje pieniądze i żebyście sobie kupowali portki, chleb i wszystko za swoje własne pieniądze; zawsze, do końca życia, do ostatniej godziny za swoje własne pieniądze.

Gdy to mówiła, robiła się poważna jak ksiądz; a na pytanie któregoś z nas — co robić, gdy nie ma pieniędzy i siły, żeby zarobić, odpowiedziała — gdy nie ma pieniędzy i siły, żeby zarobić, to trzeba sobie znaleźć jakiś sposób, a są sposoby, są różne sposoby na to, żeby nie wyciągać ręki po łaskę, pamiętajcie, nigdy nie wyciągajcie ręki po łaskę.

Potem znów ruszyliśmy dalej. Rumiany wstrzymywał Hełę, bo chciał się z nią od nas odłączyć, ale ona wyrywała się do nas i mówiła głośno, że chce być z całą kompanią; a to, że chciała być z nami, ucieszyło mnie. Rumiany był mocno pijany i chciał

siłą ją zatrzymać i nawet się przez chwilę z nią > szamotał, ale ona się mu wyrwała i przyleciała do nas, a Rumiany obraził się i poszedł w innym kierunku.

Gdy Hela do nas przybiegła, powiedziała — dlaczego nie zaczekaliście na mnie, dlaczego nie pomogliście mi. To. było kierowane do wszystkich, ale najbardziej to chyba do mnie. To znaczy, że ona byłaby zadowolona, gdybym wtedy, gdy ona szamotała się z Rumianym, podszedł do nich i odepchnął od niej Rumianego; to znaczy, że ona liczyła na moją pomoc... Co to jeszcze znaczy, co to jeszcze znaczy?... To znaczy jeszcze, że gdyby coś takiego zdarzyło się drugi raz, mam stanąć między nią a Rumianym i nie pozwolić Rumianemu do niej się zbliżyć; i nawet gdyby on na siłę pchał się do niej, odepchnąć go siłą... Ale co byłoby wtedy, co byłoby wtedy?...

Nagle w tej mojej mocno podpitej głowie zagrała, zadudniła ta moja stara już muzyka — musisz przepłynąć swoją rzekę przeinaczony, zadowolony i wystrojony, i z pieniędzmi w kieszeni; a na tę muzykę, która mi rozsadzała łeb, na obraz siebie samego płynącego na nasz brzeg dużej rzeki nasuwa się moje podbiegnięcie do Rumianego i odepchnięcie go... Jest nas teraz pięcioro, a zdaje mi się, że jestem sam, sam pomiędzy dużą rzeką a Rumianym.

Wydostaliśmy się z placów budowy; szliśmy teraz gołymi polami, po jednej stronie mieliśmy dźwigi i różne inne maszyny, a po drugiej domy wsi przykryte słomianymi dachami. Pijany Korbas parł do przodu i wołał — za mną, bracia i siostry, za mną; a my podążaliśmy za nim. Aż idąc tak okrężnie — nie wiadomo dlaczego okrężnie, Korbas tak prowadził — doszliśmy do przystanku autobusowego; bo Korbasowi coś strzeliło do pijanej głowy i nam także, i my w tych roboczych ubraniach, bez żadnego mycia, przebierania i golenia, w tych brudnych odzieniach i obłoconych gumowych butach, i na dodatek jeszcze w święto, wybraliśmy się do dużego miasta, oddalonego dziesięć kilometrów od naszej budowy. A gdyśmy tam przyjechali, to nie weszliśmy na żadną boczną i cichą ulicę, gdzie mało ludzi, ale od razu wpakowaliśmy się do parku, gdzie spacerują panie i panowie, z parasolkami, z płaszczami na rękach i z małymi pieskami. Usiedliśmy na ławce, nogi wyciągnęliśmy do przodu na całą długość i siedzieliśmy; a ci

spacerowicze patrzyli na nas. Przyglądali się chamom; dzikim, brudnym, nie ogolonym i pijanym chamom ze wsi się przyglądali. Bo gdy z takiej wsi-dziury jak nasza przychodzisz do dużego miasta, to zaraz się nauczysz czytać w oczach i w twarzach ludzi wielkomiejskich; i myśmy wyczytali, że oni myśleli sobie — siedzą brudne, nieokrzeseane, pijane chamy. Skąd się tu wzięli, gdzie tacy urosli, gdzie były takie miejsca, w których żyli i z których się tu przywlekli, żeby zabrudzić nasz gród.

A gdybyśmy to wyczytali, to jak na dość siedliśmy jeszcze bardziej po chamsku na tej ławce i jeszcze bardziej wyciągnęliśmy nogi i głowy podnieśliśmy do góry, i śmiało wpatrywaliśmy się w tych panów z brzuskami, laseczkami i parasolami, w te panie wymyte i bielutkie, w ich dzieci i w ich psy wycackane.

Wódka z nas parowała i powoli przychodziła trzeźwość, a z trzeźwością wstyd; i zaczęliśmy się czuć jakby nadzy wśród ubranych, i zaczęliśmy odczuwać to, że niepotrzebnie przyszliśmy do tego parku i zrobiliśmy jakby wystawę naszego chamstwa, dzikości i naszych zapitych, brudnych twarzy, ubłoconych ubrań i butów; i żeśmy się chwalili naszym niechlujstwem, choć chwalić należało się czym innym; tym, że umieliśmy harować i harowaliśmy z ochotą, i przywlekliśmy się na tę budowę w bydłącym wagonie, a właściwie tośmy się zlecieli jak ptaki, żeby uczciwie zarobić, żeby się obsprawić i w ogóle, żeby sobie poprawić życie; żeby dobrze pracując wyjść na ludzi eleganckich, noszących się po pańsku; żeby dorównać tym panom, którzy nas omijali z daleka i i daleka, i spode łba na nas patrzyli, bo się nas bali, bo sobie mogli myśleć, że któryś z nas zerwie się nagle z tej ławki i trzaśnie jakiegoś eleganckiego spacerowicza; że przyjechaliśmy na tę budowę, aby dorównać tym spacerowiczom, wiedzieć tyle, co oni, a jednak być innymi od nich; — żeby się ładnie ubrać i ogolić, i dorobić się może już w pierwszym, a jak się nie da, to w drugim albo aż w trzecim pokoleniu mądrej głowy i mądrej miny.

Gdyśmy wytrzeźwieli, wstaliśmy pokornie z tej ławki i szybko, chyłkiem, jak winowajcy, poszliśmy do przystanku tramwajowego i wróciliśmy do siebie, do naszego błota, do naszych baraków, do rowów i tego rozrzuconego po całej dolinie żelastwa. Korbas, Młodziutki i Matka poszli razem, a ja odprowadziłem Helenę do

żeńskiego baraku i sam, samiuteńki, a właściwie to tylko z tym Bogiem Ojcem dyndającym na szyi i z myślą o tej dziewczynie, wróciłem do mojego baraku i włożyłem do łóżka, żeby się przespać. Ale nim zasnąłem, myśl moja skakała od tej dużej doliny, gdzie szła budowa, do tej dużej doliny, na której jest moja wieś; od tych rowów, które wybieraliśmy i szalowaliśmy, do tej naszej dużej rzeki; a właściwie to ta moja myśl tak skakała z powodu tej dziewczyny; to znaczy, że ona była przy Heli; a jeśli była przy Heli, to musiała być przy Rumianym, przy wysokim, przy silnym Rumianym; ale przecież ja także jestem dość wysoki i swoją siłę mam. To znaczy, że gdyby on ją znów zaczął i ona się broniła i wołała — weźcie go ode mnie — mam doskoczyć do niego i odepchnąć go od niej; ale co będzie potem. Lepiej by było, żeby tej dziewczyny nie przydzielili do naszej brygady...

Przysła mi na myśl matka, ojciec, siostrą z brzuchem — jeszcze nie urodziła, bo mi napisali — przyszedł mi na myśl szwagier i dziadek. Dziadka bym się spytał, czy mam się rzucić na Rumianego, gdy będzie zaczął Helę, czy mam się rzucić. Ale dziadek daleko, jestem sam; żeby się choć mógł do nich dowlec, gdy będę pobity, gdy mnie zwycięży Rumiany. Dziadek na pewno powiedziałby — nie zaczynaj z nim; i matka by powiedziała — nie wchodź w drogę temu człowiekowi. Wszyscy pewnie tak by mi doradzali; i Młodziutki, i może nawet Korbas, choć nie wiadomo, co by on powiedział. Ale myślę, że jedna Matka, ta Matka z budowy powiedziała by inaczej, może tak — odepchnij Rumianego — bo Matka jest twarda.

Zrobiłem się zły na matulę, na ojca, na całą rodzinę i na całą brygadę, na-wszystkich świętych i nawet na tego Boga Ojca, którego dostałem na odwagę, gdy się tu wybierałem...

Rozdział V

Przeszły tygodnie, może nawet miesiące, w których nic ciekawego się nie działo, tylko była robota i robota, błoto i robota, łopata, deski, okrągłaki, gwoździe, spychacz, młotek, wódka odmierzana na flaszce palcem, śledź i znów robota, ta sama robota, czy aż do skończenia świata ta sama robota.

Dusze nasze przysiadły i zdawało się, że wieki przeminą, a my będziemy trzymać łopaty w rękach i kopać rowy, i ryć tę niewinną dolinę, i przewracać te domy kryte strzechą; i zdawało się w tych późnojesiennych | zimowych miesiącach, że my nie poradzimy sobie z tą wielką doliną, którą lubi deszcz, błoto, mgła i zima, i że da nam radę nawet ten jeden stary jak grzyb, garbaty człowiek, który jak mówią — przemienił się w psa i chodzi po tej dolinie jak pies i jak pies obszczekuje maszyny i robotników, bo chce ich stąd wygnąć.

Nikt go właściwie nie widział i nie wiadomo, czy on naprawdę istnieje; ale opowiadają, że taki się pojawia i wyje po nocach. Niektórzy mówią, że to duch, że to straszidło, a inni, że to człowiek, który stracił mowę i zaczął szczekać, gdy zburzyli mu dom i ziemię zabrali pod miasto; ale tego wszystkiego nikt na pewno nie wie, różni się tu ludzie kręcą.

W zimie roboty sfołgowały, ale jednak szły naprzód, bo musiały iść, musiały iść i koniec. Zima była ciężka; jak kopać rów w zmarzniętej glinie. Próbowaliśmy wysadzać dynamitem. To trochę pomagało, ale równocześnie utrudniało porządne prowadzenie rowu. Już się dziennie nie wybierało szesnastu kubików jak w jesieni, gdy ziemia nie była zlodzona. W naszych mieszkaniach w barakach także było zimno; niektórzy się zrazili i odjechali z budowy, robotników brakowało.

W zimie bardziej niż w jesieni żywiono nas i myśmy się sami żywili tym, co będzie. Tylko myślenie o tym, co będzie, że się

poprawi, że jednak będzie tu miasto i my zamieszkamy w nowych ciepłych mieszkaniach, mogło nas tu zatrzymać.

A potem, takiego jednego wiosennego dnia, gdy znów siąpił ten przekłety deszcz i zdawało się, że nigdy nie ustanie i będzie trwał wiecznie, przyszła chwila, w której nagle urwało się moje myślenie o dobrym i złym losie; i urwało się urabianie sobie życia przyszłego i rozciąganie marzenia, które tu było we wszystkich, marzenia o nowych ubraniach, krawatach, własnych 'mieszkaniach i meblach, o wieczorach z rodziną przy radiu, a nie przy tych wrzeszczących głośnikach, które tak ryczą, że rozwalają całe powietrze nad tą wielką doliną; i właśnie takiego jednego dnia, gdy głośniki wyrykiwały raz po raz — „budujemy biały dom, stu- piętrowy biały dom...” właśnie wtedy przyszła chwila, w której Rumiany, podochocony pewnie tą głośną muzyką, zbliżył się do Heli przechodzącej placem budowy z uwalaną zastygłym cementem deską; zbliżył się do niej, wsunął rękę pod kaptur, który miała na głowie — bo przecież padał ten drobny, najgorszy' z deszczów na tym świecie — i pogłodził ją po twarzy i po włosach, które wystawały przez szparę między kapturem a policzkiem. Ona stanęła, ale deski nie wypuściła, bo przecież nic się nie stało, ale ja już się wyprostowałem i głowę wystawiłem z rowu. Hela ominęła Rumianego, bo on stał naprzeciw niej, i poszła dalej z deską, ale Rumiany nie został, lecz poszedł za nią, bo go pewnie rozbuchała ta przeraźliwa muzyka wylatująca z głośników — dognał ją, zaszedł ją od pleców i chwycił ją wpół, i ona wtedy upuściła deskę w błoto i zaczęła mu się wyrywać.

Wtedy to urwało się moje myślenie o dobrym i złym losie, urabianie czasu przyszłego na życie pięknie wymyślane; zaczęły też trzaskać jedna po drugiej te wszystkie nitki i wiązadła, którymi byłem połączony z moją wsią, z dużą rzeką, z matką, z ojcem, z całą rodziną i z moim życiem przyszłym, pięknie wymarzone; ustała nagle we mnie ta moja i tylko moja muzyka, wychodząca jakby z dna duszy — musisz przepłynąć swoją rzekę, przepłyniesz swoją rzekę, przepłyniesz swoją wodę przeinaczony, obsprawiony i elegancki, w wyprasowanym ubraniu, w krawacie, lakierkach, z pańską miną... Pilnuj się, bo musisz przepłynąć swoją rzekę przeinaczony.

Wylatywały szybko ze mnie te wszystkie obrazy, tak szybko, że nawet bym nie zdążył się z nimi pożegnać i pomyśleć — żegnaj, matko, ojczy, rzeko, żegnaj, życie pięknie wymyślone...

Na miejsce tych myśli i obrazów, które wyleciały, weszła we mnie jakby ślepa, z jednej bryły żelaza urobiona maszyna. Ta ślepa maszyna wypchnęła mnie z rowu, kazała mi się schylić i ulepić z błota dużą kulę; i ta ślepa maszyna przygnała mnie do Heli i Rumianego, i nie pozwoliła mi spokojnie powiedzieć Rumianemu — nie zaczepiaj tej dziewczyny, puść ją, niech zaniesie cieśłom deskę; ale od razu tak zarządziła moją ręką, że gdy tylko do nich dobiegłem, bez żadnego słowa trzasnąłem Rumianego tą kulą błota w samą twarz. On się tego nie spodziewał i zachwiał się do tyłu, ale zaraz starł błoto z twarzy i rzucił się na mnie.

Było ślisko i od razu upadliśmy w błoto. Tarzaliśmy się w błocie jak świny, jak psy; ale od razu to coś, co było w nas zamiast rozumu i myśli, tak prowadziło nasze ręce i nasze mięśnie, żeby się dobrać do łba przeciwnika i ten łeb wgnieść w błoto, w to gęste ciasto i w tym cieście go potrzymać. Chodziło o to, żeby nos i usta przeciwnika zalepić tą ziemią-ciastem i w ten sposób go przydusić i odebrać mu siły. Dlatego w tej bójce chodziło głównie o łby; i gdy jeden drugiego chwycił za nogi, gdy walił go w brzuch, w krocze, gdy mu przyciskał szyję, to w tym celu, żeby sobie ułatwić drogę do łba i wgnieść ten łeb w błoto-ciasto i w ten sposób wygrać.

Rumiany był silny, odczułem to, gdy tylko upadliśmy na ziemię; i nie wiem, co by się ze mną stało i pewnie mój łeb byłby wepchany w błoto, bo Rumiany już leżał na mnie i kolanem walił mnie między nogi, gdyby nie jedna rzecz. Tą rzeczą była tasiemka na szyi Rumianego, bo i on, tak jak i ja, i Młodziutki, dostał od swojej matki albo od babki Boga Ojca na drogę.

Gdy wyczułem pod palcami na jego szyi tasiemkę, od razu wiedziałem, że trzeba za tę tasiemkę chwycić i skrócić ją, i tak pociągnąć, żeby się zacisnęła na szyi Rumianego; i od razu tak zrobiłem, i Rumiany zacharczał; no to ja jeszcze mocniej skróciłem tę tasiemkę na, jego szyi i on jeszcze mocniej zacharczał; a potem zaczął się głupio szamotać i sam sobie tę tasiemkę jeszcze silniej zacisnął na szyi, aż trochę osłabł. Wtedy ja drugą ręką zepchną-

łem go z siebie i wtedy ta tasiemka, której nie wypuszczałem z rąk, tak mocno się naciągnęła, że trzasła; ale Rumianego miałem już pod sobą i już wgniatałem jego łeb w błoto.

Hela — tak mi potem opowiadała — przez cały czas tej naszej krótkiej bójki krzyczała i wołała robotników, żeby nas rozdzielili; ja tego nie pamiętam, bo w bójce to było nieważne, w bójce chodzi tylko o wygraną. Ale już pamiętam, jak Korbas i brygadzysta pomogli mi wstać z ziemi i jak później podnieśli Rumianego. Gdy nas postawili na nogach, zaczęli się śmiać, bo na pewno wyglądaliśmy jak dwie bryły błota.

Przyjrzałem się Rumianemu; stał, ale nogi drżały pod nim, był oblepiony błotem, na jego bluzie rozpoznałem przyklejoną do drelichu mokrą gliną jak klejem dość szeroką tasiemkę i dość duży, powalany błotem medalik. Wtedy zrozumiałem, jakim sposobem odniosłem zwycięstwo; musiałem poszargać i zbrukać jego Boga, żeby wygrać. Rumiany stojąc na drżących nogach, przez to błoto, które miał na twarzy, wybełkotał — jeszcze się policzymy.

Korbas powiedział — idźcie się umyć; a brygadzysta dodał — betoniarze mają wodę w beczkach, idźcie się umyć.

Rozdział VI

Gdy tego dnia wróciłem do swojego mieszkania, był w nim już jeden z tych młodych, którzy przyjechali z Kieleckiego. On był młodszy ode mnie, miał chyba siedemnaście albo osiemnaście lat. Był nieduży, krępy, głowę miał okrągłą, twarz bladawą, na jednym policzku miał łukowatą, podobną do brzegu księżyca, bliznę. Popatrzył na mnie i od razu poznał, że ze mną coś się działo. Choć się umyłem i zeszkrobałem błoto z ubrania, to jednak nie wyglądałem na człowieka, który normalnie przepracuje swoje godziny i wraca do swojego mieszkania. Twarz miałem zaczerwienioną, podrapaną, pod lewym okiem był duży, schodzący w dół siniak. Więc ten z Kieleckiego, gdy przestąpiłem próg, zapytał się mnie — co z tobą było? A ja mu na to — nic, zadarłem tylko z jednym facetem.

— Co to za facet?

- Jeden facet z budowy... , O co? — O dziewczynę...

— O dziewczynę najłatwiej zdrzeć...

— Myślę, że będzie się chciał zemścić, nie wiem, co robić...

Gdy to powiedziałem, ten młody z Kieleckiego roześmiał się.

— Nie wiesz, co robić — zawołał wesoło — to ci, bracie, doradzę, słuchaj: nikt ci nie pomoże, ani matka, ani ojciec, ani brat, bo oni są daleko; i kolega ci nie pomoże, musisz liczyć na siebie.

Później podszedł do otwartego okna, ja zrobiłem to samo. Przed nami rozciągała się dolina, w dali stały maszyny i czerwone zaczątki murów. Niedaleko był płot w połowie obalony i sad; na drzewach dało się już rozpoznać pąki. Na skraju sadu stał stary drewniany dom, dom opuszczony, w ścianach zamiast okien i drzwi były dziury, strzecha zetlała i podziurawiona. Obok stał także

I drewniany, długi budynek — chlew albo obora, albo jedno i drugie razem. Przy ścianie była psia buda, przykryta wyschniętym łąjnem; ale psa nie było, duży czarny kot spał na niej.

Ten z Kieleckiego mówił dalej — powinieneś wiedzieć, bracie, że w takim wypadku trzeba liczyć tylko na siebie, kto ci tu pomoże, do kogo z tym pójdziesz, no do kogo... do księdza, do sekretarza... chyba że stąd uciekniesz i wrócisz do matki i ojca; ale przecież nie możesz stąd odjechać, bo przyjechałeś tu po to, żeby nie siedzieć z matką, ojcem, z rodziną, ale żeby być z daleka od nich i żyć o własnych siłach; a poza tym nie możesz stąd uciekać tylko dlatego, że zadarłeś z jakimś facetem o dziewczynę; ale po co ci to mówię, sam o tym wiesz.

Ten z Kieleckiego mówił dalej — młody jestem, ale zdążyłem poznać życie, bo tak mi się ono układało, że od dziecka żyłem bez matki i ojca; najważniejsze, to żeby być przygotowanym, trzeba zawsze coś przy sobie mieć.

Kot, który spał na tej budzie, zaczął się przeciągać, potem zeskoczył na ziemię, podszedł czujnie do szerniałej słomy, leżącej w małej stercie niedaleko tego długiego budynku, przysiadł, przypląszczył się i nieruchomo wpatrywał się w słomę; polował na myszy. Ludzie odeszli z Jomu na zawsze, a on został, bo kot nie przywiązuje się do ludzi, tylko do miejsca.

Gdy nie masz ojca, matki — mówił dalej ten z Kieleckiego — albo gdy zostawiłeś daleko swoich bliskich, tych, którzy by ci powiedzieli przyjemne słowo i którzy by się martwili, że już późna noc, a ty nie wracasz, i martwiąc się zaczęli cię szukać; i którzy by się ogromnie ucieszyli, gdybyś wrócił nad ranem zdrowy i cały, nie przebity, nie pokaleczony i nie pokrwawiony; gdy jesteś daleko od takich, to musisz się mieć na baczności, musisz być przygotowany; dobrze jest, gdy się zawsze ma coś przy sobie.

Kot, który czatował przy stercie starej, czarnej słomy, uniósł się delikatnie na łapach i wykonał skok. Można było zauważyć, że złapał mysz. _

Ten młody z Kieleckiego zrobił wtedy taką minę, jakby był profesorem, i powiedział — widziałeś, jak ten kot złapał mysz. Jeśli nie chcesz być myszą na tej budowie, jeśli ci' zdrowie miłe i życie miłe, i jeśli chcesz, żeby cię dziewczyna szanowała i żeby

cię szanował brygadzysta i koledzy w brygadzie, i jeżeli chcesz wytrwać tu na tym przeklętym błocie, to radzę ci jak bratu, z całego serca ci radzę — kup sobie sprężynowy nóż.

Potem włożył rękę do kieszeni i wyjął niewielką pochewkę, zrobioną z jasnej stali. Przycisnął ją i wtedy wyskoczyło z niej ostrze noża podobne do małego sztyletu. Zamknął z powrotem nóż i powiedział — widzisz, taki, spróbuj. Wziąłem od niego nóż, nacisnąłem wystający garbek i znów wydając cichy trzask wyskoczył sztylecik. Powtórzyłem to parę razy. Spodobała mi się ta rzecz, była niewielka, zgrabna i mocna.

Oddałem sprężynowy nóż temu młodemu z Kieleckiego, a on znów mówił dalej — masz to w kieszeni, nikt o tym nie wie; nie możesz przecież chodzić z lagą, ze śrubą, z kawałkiem żelaza, bo to od razu widać, gdzie to schowasz, do kieszeni się nie zmieści; ani żelazna kula na sznurku, ani skórzana pałka wypełniona proszkiem ołowiu nie jest tak dobra jak sprężynowy nóż; wierz mi, znam się, bo choć jestem młody, byłem w różnych tarapatach. Sprężynowiec, rzecz niewielka, trzymasz ją sobie w kieszeni, zawsze sobie z nią chodzisz. Wszyscy myślą, że nie masz nic przy sobie, a ty wiesz, że masz, i to, bracie, daje ci przyjemność; to, że oni nie wiedzą, a ty wiesz, jest dobre. Idzie naprzeciw cię facet, który wydaje ci się niepewny; myśli, że ty jesteś bez niczego i nabiera ochoty, by skuć ci mordę; ty wtedy wkładasz rękę do kieszeni, jak gdyby nigdy nic, jakby po chusteczkę albo zapałki; ale już czujesz w ręce swoją rzecz. Gdy cię facet zaczepia i próbuje cię uderzyć, wyjmujesz szybko sprężynowiec i ciach go... i ty wygrywasz... Jeszcze raz ci mówię, że sprężynowy nóż to dobra rzecz. Znam jednego, który może ci się o taki nóż wystarać, pójdziemy do niego jutro wieczorem.

Potem ten z Kieleckiego wyszedł z mieszkania, bo miał — jak mówił — ważną sprawę do załatwienia, a ja zostałem przy tym oknie. Patrzyłem na ten opuszczony dom i sad, który wnet zakwitnie, zakwitnie niepotrzebnie i nadaremnie, bo go obalą spychacze. Na pustym podwórzu, po którym przedtem na pewno chodziły krowy, konie, kury i ludzie, kot bawił się myszą. Nie zjadł od razu, bo się chciał nią nacieszyć, dlatego w zębach trzymał ją delikatnie, a później z zębów wypuszczał i udawał, że to niby daruje jej życie i wolność; ale gdy mysz oddaliła się, dopadał ją

i delikatnie chwycił w zęby, a później z zębów wypuszczał niby to na wolność.

Długo się bawił tą myszą, aż mu się ta zabawa w końcu znudziła. Chwycił ją mocniej, ścisnął zębami, przysiadł dla wygody i zaczął ją powoli zjadać.

Wtedy szepnąłem sam do siebie — muszę mieć sprężynowy nóż.

Powinienem się położyć i przespać; to byłoby mądre i każdy rozumny człowiek powiedziałby mi — miałeś dziś ciężkie przeżycie, rozbierz się, rozciągnij na łóżku, zamknij oczy i próbuj zasnąć; ale moje oczy nie myślały o spaniu, moje oczy nie chciały słuchać żadnych mądrych rad, były szeroko otwarte; tak szeroko, że aż mnie to bolało.

Stałem przy tym oknie i stałem, ale co mogłem wystać; no to wyszedłem z mieszkania, deszcz ustał, ale błoto nie wyschło, bo nie mogło przecież wyschnąć...

Byłem przy samym płocie sadu; lada dzień drzewa zakwitną, nażarty kot drzemał pod okapem obory. Gdy mnie zobaczył, poderwał się i uciekł, nabierał już dzikości.

Dalej były pola, przez zielone, podrośnięte zboże szły świeże ścieżki i rowy, a tam, gdzie nie było wykopów i rowów, zboże było zdeptane, zajeżdżone, stłamszone; jacyś ludzie stali na brzegu pól, patrzyli na zieloną równinę i nic nie mówili; pewnie nagadali się wcześniej.

Jedna kobieta schyliła się i rwała to zboże pomału i ostrożnie, po jednym ździebełku, tak jakby zrywała nie zboże, ale kwiaty; a gdy tego narwała tyle, że miała w ręce dość spory zielony bukiet, wpatrzyła się w niego i zaczęła mówić — co mi tam, co mi tam zboże, dadzą mieszkanie i robotę, co mi tam, co mi tam zboże... Powtarzała to i powtarzała coraz szybciej, powtarzała, jakby ją kto nakręcił niby katarynkę — co mi tam, co mi tam, co mi tam zboże... nie będę płakać, co mi tam zboże, nie będę płakać, nie myślcie sobie, że będę płakać, ani jedna łza nie polecą, ani jednej łzy nie upuszczę.

Jedną ręką trzymała ten całkiem zielony bukiet, a w drugą złapała zapaskę, podniosła ją i wytarła sobie oczy.,, i

Człowiek inaczej ubrany niż ci stojący na brzegu pól przybliżył się i powiedział — przecież mówiliśmy wam w jesieni, żebyście nie siali, bo wiosną wejdziemy tu z robotami. Gdy to powiedział,

ludzie pokiwali głowami, że tak; to znaczy, że było mówione — nie orzcie tu i nie siejcie, bo na wiosnę ruszy się tu z budową; nie zaprzeczali, że to słyszeli.

Ul No to dlaczego wjechaliście tu z pługami i dlaczego zasialiście? — pytał nieznajomy. Ludzie nic na to nie odpowiedzieli, tylko patrzyli na tego Ubranego, inaczej niż oni; był w gumowych butach, długiej, nieprzemakalnej kurtce i ładnym kaszkiecie.

Gdy ludzie patrzyli na niego milcząc jak niemowy, on znów wyjechał z tym pytaniem O powiedzcie, dlaczego oraliście, -gdy się mówiło, że wiosną zaczniemy tu robotę? Ale ont na to znów nic. Jak mieli mu odpowiedzieć, no jak...

Czy miała to być taka odpowiedź — zawsze oraliśmy jesienią... Gdyby taka była, to ten nieznajomy zacząłby się pukać w czoło i powtarzać — przecież się mówiło, że tym razem nie należy siać, przecież się mówiło...

Co by jemu przyszło z takiej ich odpowiedzi, a im z odpowiedzi jego?

Albo może mieli mu odpowiedzieć — ziemia stała i stała, tośmy wjechali i orali, albo może — myśmy nie mogli nie orać, myśmy nie mogli siać; albo może — myśleliśmy, że zielonego nikt (nie zetnie, że będzie się bał kary bożej, chcieliśmy was nastraszyć tą zielonością...

Czy tak by odpowiedzieli, czy inaczej, on by się sprzeciwił i nie byłoby zrozumienia, bo bardzo trudno o zgodę między tym, który zorał, a tym, który mówi, że nie trzeba było orać i siać. Tacy mogliby rozmawiać dzień i noc i nic by z tego nie^wyszło, tak już jest.

A potem pomyślałem sobie, że na tej budowie nie szanuje się zboża. Ale przecież ci, którzy prowadzili tam budowę, mówili, żeby jesienią nie orać i nie siać; choćby nawet mówili, nie powinni niszczyć podrośniętego już zboża; nie wolno niszczyć zboża i koniec: ale może budowa musiała być rozpoczęta; to i tak nie wolno niszczyć zboża, za. żadne skarby nie wolno...

To, że zboże zostało zniszczoną dodało mi strachu, który wciąż W©\mnie siedział; gdy odbiłem się od wrót rodzinnego domu, a może jeszcze wcześniej, może gdy wypowiedziałem do matki,

ojca, szwagra i dziadka słowa — jadę na wielką budowę już ten strach wszedł we mnie; ale ten strach zaraz został przerwany

moim myśleniem o zarobku, o obsparzeniu i u siebie, o mojej przyszłej pańskości; a później znów to myślenie zostało przerwane strachem i tak na przemian — marzenie i strach, strach i marzenie przechodziły przeze mnie.

Czasem drobna rzecz, -jakieś słowa brygadzystów albo majstra, który przyglądał się, jak pracuję — choćby* takie słowa — idzie, idzie nieźle; czasem coś innego, ptak lecący w stronę mojej rzeki, a niekiedy sama robota, same sztychy brane łopata, ziemia ładnie dająca się łopacie urywały strach i podkarmiały przyjemnie marzenie; a czasem znów coś z naprzeciwka tych dobrych rzeczy, ten drobny deszcz albo wrzask majstra, albo niespokojne stado Wron w powietrzu urywało przyjemne myślenie i marzenie i wywoływało strach.

Trzeba było dopiero takiej rzeczy, jak bójka z Rumianym, żeby i przyjemne myślenie, i strach przepadły, ale na krótko, na bardzo krótko. Po bójce mój strach urósł, ale za to był przecinany i przecinany jak słoma w sieczkarni podłączonej do kieratu myślą o Helenie; ale z tym to znów tak było, że myśl o Helenie wydobywała mnie ze strachu i w strach wtrącała i to tak wyglądało, że w jednej krótkiej chwili, jakby kto błysnął latarką. było i przyjemne myślenie, i strach; i nawet to wyglądało niby przyjemny strach albo straszne przyjemne myślenie.

— Odejdź z tej budowy, wróć do domu, przepłynij swoją rzekę nie przeinaczony, bez pańskiej miny i bez ubrania z wełny, przepłynij ją pokorny, z pochylonym łbem, wróć, będziesz znów wysiadywał na podniesionym brzegu sitowia, będziesz sobie tam siedział jak król na tronie, w podartych portkach, ale król.

Takie myśli przychodziły do mnie i od ostatnich słów Rumianego — jeszcze się policzymy, i od drzew, które niepotrzebnie zakwitną, i od tego podrośniętego już zboża, i od tej zieloności pobrudzonej smarami i benzyną.

— Nie wracaj, wrócisz wtedy, gdy będziesz przeinaczony, przepłyniesz swoją rzekę wystrojony i zadowolony... Wytrwasz tu, I wytrwasz, kup sobie tylko sprężynowy nóż; to dobra rzecz, a przy tym niewielka; trzymasz ją sobie w kieszeni, nikt nie wie, że ją masz, a ty wiesz; i to, że inni nie wiedzą, tylko ty sam, sprawia ci, bracie, przyjemność...

Rozdział VII

Gdy wracałem z pól, gdy byłem już niedaleko naszych baraków, spotkałem Helenę. Nie miała na sobie roboczego stroju, ubrana była jak kobieta — w suknię i lekki jasny płaszcz, głowę przykryła czymś podobnym do beretu, który ledwie się utrzymywał na grubych falach włosów; na nogach miała pończochy i brązowe półbuty.

Mówiła, że odwiedziła koleżankę i wraca do swojego baraku. Przyjrzała mi się i powiedziała — odprowadź mnie. Poszedłem z nią. Po chwili przystanęła, popatrzyła mi w oczy i spytała: boisz się Rumianego? Odpowiedziałem — co się mam bać... A ona na to — nie bój się Rumianego; i znów — nie bój się Rumianego. Pozłościły mnie te słowa, szedłem obok niej i nic nie mówiłem. Przed żeńskim hotelem pożegnałem się z nią, na pożegnanie włożyła mi rękę we włosy i poczochnęła czuprynę.

Wracałem szczęśliwy, ale to szczęście zaraz przeciął strach; a ten strach zaraz został przecięty sprężynowym nożem i znów byłem szczęśliwy, długo byłem szczęśliwy; bo gdy tylko strach zaczął wystawiać swój łeb, ja ten łeb ucinałem sprężynowym nożem...

Wszedłem do swojego mieszkania, nie było w nim nikogo; a chętnie bym do kogoś zagadał; przejrzałem się w szybie, włosy miałem stargane. Tak bym do kogoś zagadał; zdjąłem drelichową marynarkę, klapnąłem się dłonią w pierś, pod palcami wyczułem blaszkę; wtedy wesoło zawołałem — dobrze jest, Boże Ojcze, dobrze jest, Helena stargała mi włosy...

W nocy słychać było gwizdy i wycie psów; nocami wyją tu psy. Niektórzy mówią, że ten stary garbus, który stracił mowę, gdy mu zburzyli dom i sad, zwołuje te psy i z tą psią zgrają okrąży całą budowę i razem z psami wyje po nocach. Ludzie mówią jeszcze, że psy go lubią i słuchają i że on razem z nimi sypia, że kładzie się w środku tej psiej zgrai jak w ciepłym łóżku

i z tą zgrają śpi; i mówią też, że on, choć stary, jest silny i jak pies rzuca się na ludzi i może ugryźć.

Różnie mówią, bo nikt go nie widział i nikt nic pewnego nie wie. Są tacy, którzy biją się w piersi i wykrzykują, że to diabeł, bo w tym nie ma nic ludzkiego, a wszystko diabelskie; wielu w to wierzy, ale nikt nic na pewno nie wie.

Na drugi dzień w czasie roboty wymijaliśmy się z Rumianym, tak jakby jeden dla drugiego nie istniał, jakbyśmy przechodzili przez samo powietrze, w którym niczego nie ma. Ale to było udawanie, bo w gruncie rzeczy on siedział w moich myślach, a ja na pewno w jego, bo nie mogło być inaczej.

Nad rowem ukazał się biały łebek Młodziutkiego; postaci nie było widać, bo postać była w rowie, i to tak wyglądało, jakby sam łebek bez tułowia toczył się w moją stronę. Młodziutki przybliżył się do mnie i powiedział, że dziś wieczorem zaczyna się kurs dla tych, którzy się chcą podciągnąć w zawodzie, i że dobrze byłoby kurs zrobić. Taki kurs, razem z siódmą klasą, to by już coś było mówił Młodziutki, trzęsąc wesoło tym swoim białym łebkiem; a potem zaczął powtarzać — trzeba skorzystać, trzeba skorzystać, gdy się już przyszło i gdy się moknie na deszczu, gdy się człowiek babrze w błocie, to trzeba skorzystać.

Odpowiedziałem mu, że dziś nie mogę pójść, bo niedobrze się składa; że przyjdę jutro i że jeden dzień nic nie znaczy.

Późnym popołudniem Młodziutki poszedł na kurs, a ja z tym betoniarzem z Kieleckiego po sprężynowy nóż. Zrazu szliśmy granicą oddzielającą place budowy od pól. Tak idąc mogliśmy się przekonać, że budowa zajęła ogromny obszar, że się za nim zagęściło od maszyn, baraków i bud. Obszar ten ciągnął się aż po cmentarz; niedaleko cmentarza stały nie obrzucone jeszcze tynkiem mury nowych domów.

Weszliśmy w wieś, która była podobna do mojej rodzinnej wsi. Droga, przy drodze domy drewniane, kryte strzechą; z tyłu domów sady, za sadami pola. Droga szeroka, ale nierówna i błotnista.

Skręciliśmy w lewo i wąskim przejściem między dwoma starymi, czarnymi płotami doszliśmy do niskiego, białego domu-. Ten z Kieleckiego zagwizdał, z domu wyszła mała brudna dziewczynka; po chwili schylając głowę — bo drzwi były niskie — wyto

czył się człowiek dość wysoki, o zapadłej, może nawet zmiętej twarzy, taki jakiś ni młody, ni stary. Zbliżył się do nas, a ten z Kieleckiego od razu do niego — serwus, Maciek, przyprowadziłem gościa, który chce nabyć sprężynowy nóż...

— Sprężynowy nóż — powtórzył ten zmięty — sprężynowy nóż... dziś nie mam, miałem, ale poszedł przed godziną; został mi jeden, ale to mój.

Potem idąc wolno, weszliśmy do stodoły, stanęliśmy na zaśmieconym słomą, drzazgami i kurzem klepisku. W rogu stał duży snopek czystej, prostej słomy.

W stodole ten zmięty wyjął z kieszeni swój. sprężynowy nóż i trzymając go na dłoni niby zdechłą rybę, mówił — jutro będzie taki sam, tego nie mogę odstąpić, bo się do niego przyzwyczaiłem, żal by mi go było, człowiek jest miękki, przywiązuje się do rzeczy.

Potem zgrabnie podrzucił do góry tę zdechłą rybę, to znaczy ten sprężynowy nóż, chwycił go z powietrza tak jak trzeba, skoczył do snopka, nacisnął sprężynę i wbijając nóż w słomę, krzyknął szeptem — bach, w samo serduszko!

Potem cofnął się i znów powtórzył skok, i znów wbił nóż w słomę — bach, pod żeberko — wykrzyknął; a później, powtarzając skoki do snopka i wbijając nóż w słomę, wykrzykiwał — bach, w wątróbkę! Bach, w żołądeczek! Bach, w brzuszek! Bach, w gardziolko!...

W końcu stanął przed nami na rozkraczonych nogach, z zaróżowionymi policzkami i już jakby mniej zmięty i bardziej młody niż stary. Nóż zamknął i schował do kieszeni. Lekko dysząc powtórzył to, co powiedział na początku — swojego noża ci nie odstąpię, człowiek się z nim zżył, przyjdź jutro albo pojutrze, będzie taki sam...

Rozdział VIII

— Wróć do rodzinnego domu póki czas, przepłyn już teraz swoją wodę; to nic, że wrócisz nieobsprawiony, z pochylonym łbem, pokorny; gdy ci będzie smutno, pójdziesz w pola i usiądziesz sobie na wysokim brzegu sitowia, poczujesz się królem. Wstydzisz się...

Jeśli'nie chcesz wrócić do domu, to rzuć swoją brygadę i przenieś się do innej. Nie takie miały być twoje dni tutaj. Twój dzień miał być taki — wstać rano, ubrać się, zjeść, wziąć flaszkę z kawą albo herbatą, wziąć kromkę chleba i kawałek kielbasy. W robocie starać się; potem wrócić do hotelu, przebrać się, zjeść jaki taki obiad, odpocząć, a później pójść tam, gdzie się można czegoś nauczyć. Takie miały być twoje dni, a jakie są, jaki jest ten dzisiejszy... Z podejrzanym młodzikiem zrobiłeś kawał drogi, żeby nabyć sprężynowy nóż. Jak to mówiła do mnie Hela... Najpierw pytała się — boisz się Rumianego? A potem mnie uspokajała — nie bój się Rumianego, nie bój się... A potem szochrała mi włosy i to było najważniejsze. Gdybym odszedł z brygady, co by pomyślała... wiem, co by pomyślała... tchórz...

— Matulu, nie wrócę, nie mogę. Wrócę, matulu, chcę wrócić, ale nie mogę; nie umiem tego inaczej powiedzieć tylko tak — chcę wrócić do was, ale nie mogę.

Postanowiłem, że mój dzień będzie taki, jaki powinien być — zerwanie się z łóżka, śniadanie, robota, obiad, odpoczynek, kurs, spanie... z tym tylko, że chodził będę ze sprężynowym nożem... z Bogiem Ojcem i ze sprężynowcem...

W nocy znów wyły psy; wstałem, podszedłem do okna, zdawało mi się, że daleko za sadem, za tym sadem, który zakwitnie niepotrzebnie, pędziła zgraja psów, a z nimi ten stary garbaty, któremu odebrało mowę. Człowiek-pies biegł to na dwóch, to na czterech łapach, a psia sfora pędziła z początku w kierunku zie

lonego wzniesienia, ale przed wzniesieniem skręciła i poleciała na kraniec budowy, gdzie stawia się nowe bloki.

Na drugi dzień znów przybliżył się do mnie biały łebek Młodziutkiego. Młodziutki powiedział mi, że na tym kursie uczą murarki, a także obchodzenia się z dźwigami i że po skończeniu można więcej zarobić, a praca będzie lżejsza niż przy ziemi. Powiedział mi też, że pytał się, czy można się jeszcze zapisać. Odpowiedzieli mu, że można.

Ja mu znów musiałem powiedzieć, że się jeszcze wstrzymam z pójściem. Młodziutki zrobił smutną minę i tak na mnie popatrzył, jakby się urwało to, co nas łączyło, a potem poszedł.

Wyprostowałem się, podparłem się łopata, stanąłem tak jak odpoczywają ludzie pracujący przy robotach ziemnych i patrzyłem na oddalający się biały łebek Młodziutkiego. Wnet dołączył się do Matki i Heleny i razem z nimi dosuwał cieślom deski i okrągłaki.

Dziś o Matce, o tej Matce z budowy mogę więcej powiedzieć, niż mogłem na początku roboty. Wtedy wielu rzeczy nie rozumiałem, o wielu rzeczach nie umiałbym powiedzieć tak jak teraz, gdy wspominam; bo za te dwadzieścia lat człowiek musiał się nauczyć patrzeć na życie głębiej i zebrał także trochę doświadczeń.

Matka bardzo szanowała robotę, ona chyba uważała tę swoją robotę, za świętą; bo gdy niosła deskę to tak, jakby niosła coś świętego; jakby za chwilę miała powiedzieć — bądź pozdrowiona, święta roboto, która przyszłaś na tę równinę; bądź pozdrowiona, desko, bądźcie pozdrowione, gwoździe, łopaty, kilofy, rowy, doły, maszyny, deszcze, błota; bądźcie pozdrowione, pokaleczenia rąk, dziurawe mokre buty i mokre nogi, bo mogę sobie kupić za własne pieniądze chleba, kiełbasy, śledzia, wódki, piwa, obiad, pończochy, koszulę... Sama za swoje, za swoje własne, przeze mnie zarobione pieniądze; nie za pieniądze córki ani za pieniądze zięcia, za niczyje, tylko za swoje, sama za swoje... Dlatego bądź pozdrowiona, święta roboto, która przyszłaś na tę równinę...

Potem była przerwa na jedzenie. Poszliśmy do swoich flaszek z kawą i kromką chleba; każdy znalazł sobie miejsce, gdzie mógł usiąść i spokojnie zjeść posiłek.

Jadło się tak, jak się je na budowie: w jednej ręce kromka chleba, w drugiej flaszka z kawą; ugryzło się kromkę z tym, co

na niej było — ze smalcem, salcesonem, kiszka, wędzoną rybą i popiło się kawą; i znów się ugryzło chleba, i znów popiło, i tak aż do końca jedzenia. Flaszki zaraz się zaśliły i zabrudziły okruciami chleba i tego dodatku, który był na kromkach.

Były także kromki bez żadnego dodatku; pracowali tacy na budowie, którzy przynosili ze sobą na drugie śniadanie goluteńki chleb, żeby jak najwięcej pieniędzy zaoszczędzić; ze wsi tu przyszedli z tym przyzwyczajeniem do goluteńskiego chleba, z tym ogromnym apetytem do gołej kromki i nie chcieli wprowadzać nowych zwyczajów przyłączania do niej czegokolwiek, tak jak nie przyłączali ojcowie.

Chlebojady z kieleckich i rzeszowskich wsi kryli się ze swoimi gołymi kromkami, jedli je szybko i w ukryciu, niby złodzieje, bo się wstydzili tych, od których jechało kielbasą, kiszka, salcesonem i wędzoną rybą; a także chyba dlatego nie chcieli zanadto zbliżyć się do tych zapachów, żeby ich nie wzięła wielka, nie do odparcia ochota przykrycia swoich kromek jakąś wędliną. Chlebojady tak się zachowywali, jakby wciąż byli na czatach — żeby kto nie odkrył ich kromek bez żadnego dodatku, ich goluteńskiego chleba. Przemykali się tajemniczo niby cienie, niby pokorni zakonnicy z tymi swoimi goluteńkimi kromkami jak ze skarbem; jakby te goluteńkie kromki były samą kielbasą, samym salcesonem, samą kichą albo samą wędzoną rybą.

Jadłem siedząc na desce, którą położyłem przy brzegu wykopu; miałem chleb z salcesonem i kawę we flasce. Jadłem i patrzyłem na plac budowy — ziemia, zwały ziemi, góry ziemi, jakby się tu rozegrała straszna wojna. Za moimi plecami ktoś niespodziewanie się przesunął, nim skrzyłem głowę, usłyszałem głos Rumianego — my się jeszcze policzymy, braciszku, dostaniesz swoje, kochasiu, przyjdzie czas. Chciałem coś na to odpowiedzieć, ale Rumiany oddalił się szybko.

Po robocie nie poszedłem wprost do hotelu, ale odbiłem się od naszego rowu w inną stronę, bo chciałem być sam, żeby spokojnie pomyśleć nad słowami Rumianego i w ogóle nad tym, jak jest ze mną.

Dzień był chłodny, ale suchy; wnet znalazłem się na płaskiej łące, brnąłem przez wysoką trawę, która przypominała mi moją rodzinną wieś; brnąłem więc jakby trawą moich rodzinnych łąk.

Dalej rosło zboże; wśród pól trafiało się na ziemię gołą, zmordowaną, zajeżdżoną wielkimi, ciężkimi kołami; potem były znów łąki, a za nimi dość gęsty olszynowy zagajnik; z drugiej strony zagajnika był Ślepy Rów.

Ten rów wykopano w początkach budowy-przez pomyłkę; pijany brygadzysta przyprowadził tu zawziętych na pracę, ale okrutnie już zmęczonych robotników, którzy pochodzili z Rzeszowskiego i Kieleckiego, i kazał im brać wykop; i oni wydarli łopatami spory rów i nawet zaczęli kłaść szalunek na ścianach. Potem okazało się, że w planach tego nie ma; robota była daremna, nie chciano za nią zapłacić. Wtedy chlebojady i zupojady, którzy kopali ten rów, otoczyli brygadzystę i przystawili do niego swoje czerwone z wściekłości twarze; a nie ma nic straszniejszego, dzikszego i drapieźniej szego od chlebojada i zupojada, który za robotę dobrze wykonaną nie otrzymuje pieniędzy.

W tym kole utworzonym z wściekłych twarzy i oczu brygadzysta otrzeźwiał, bo pod takimi oczami musi się otrzeźwieć, klęknął na środku i klnąc się na Boga i wszystkich świętych, powiedział uroczyście, że wszystko załatwi; i załatwił. Nie wiem, co by się stało, gdyby chlebojady go zatłukli tymi swoimi suchymi kromkami chleba. W taki to sposób powstał ten rów niepotrzebny, samotny w głębi łąk i pól; robota tu jeszcze nie doszła, może nigdy nie dojdzie.

Rów na dnie z rzadka porósł trawą, olszyny wyciągnęły nad nim swoje gałęzie. Po deskach szalunku zszedłem w dół, usiadłem na odłamku deski leżącym na dnie. Znalazłem się w dziwnym domu, który zamiast podłogi miał zieloną trawę, gdzie ściany były częściowo z gołej ziemi, a częściowo z nadpróchniałych desek szalunkowych.

W tym dziwnym domu, w tym Ślepym Rowie pomyślałem sobie, że trzeba stchórzyć; i tak jakbym sam do siebie mówił; ale tak do siebie, jak do innego człowieka; jak taki, który się boi, mówi do takiego, który się nie boi.

— Powinieneś stchórzyć, no to co, że stchórzysz, masz czekać, aż dostaniesz w łeb drągiem albo nożem pod żebro; najlepiej będzie, jeśli już dziś odejdziesz ze swojej brygady i przeniesiesz się daleko, do innej roboty; musisz to zrobić, jeśli ci życie miłe, jeśli chcesz przepłynąć swoją rzekę, tak jak sobie wymarzyłeś —

przeznaczony, to znaczy w dobrobycie, przy pieniądzach, w zadowoleniu i ładnym ubraniu; musisz zmienić robotę i oddalić się od Rumianego. Jeśli chcesz na festynie w swojej rodzinnej wsi zejść się z chłopakami i sięgnąć do kieszeni, i wyjąć z niej grubego portfela, a z portfela pieniądze, jeśli chcesz mieć w palcach papierki pieniędzy — że niby niewiele ci na nich zależy — a później prac nimi o bufet i drzeć się — wódki! piwa! Jeśli chcesz przeżyć to szczęście, musisz odejść z roboty, którą masz teraz, i przenieść się do innej, i zgubić za sobą ślad; bo gdy tego nie zrobisz, Rumiany cię zgnoi; będzie cię śledził, pozna każdy twój krok, będzie szedł twoim śladem jak pies, aż cię dopadnie i zgnoi.

Matka na pewno powiedziała ci — odejdz z tej roboty, synu, strzeż się Rumianego; i ojciec tak samo powiedział; i dziadek.

Gdy siedząc w tej dziwnej izbie, czyli w tym rowie, przemyślałem, jak mam postąpić, i gdy ten bojący się i ostrożny człowiek, który był we mnie, przemawiał do tego nie bojącego się i nieostrożnego człowieka, który także był we mnie, gdy ten bojący się właściwie już przekonał tego nie bojącego się, cień przerysował rów w poprzek, stępiła nagle górna jasność, która szła od schyłego już słońca, i nagle odczułem w bliskości czyjaś obecność; potem usłyszałem miarowy szmer wysokiej trawy, która rosła po obu stronach rowu. Głowa Heleny ukazała się w górze, bo ona stanęła na brzegu wykopu i popatrzyła na mnie siedzącego w dole. Zdziwiłem się, a później ogarnął mnie wstyd, a ten wstyd przemienił się w obrzydzenie do samego siebie i wtedy nagle, w jednej sekundzie ta rozmowa we mnie odwróciła się i ten nie bojący się przemówił do tego bojącego się i powiedział mu wiele w tej krótkiej chwili, kiedy ani dziewczyna do mnie, ani ja do niej nic jeszcze nie powiedziałem, kiedyśmy tylko na siebie patrzyli, i wtedy cały, nie tylko w swej połowie, stałem się odważny i postanowiłem, że nie odejdę z roboty, i zrozumiałem, że dziewczyna przyniosła mi odwagę.

Gdy dziewczyna, którą lubisz, którą bardzo lubisz, za tobą, choć jest zmęczona, gdy nie poszła na obiad i giodfia brnie przez wysoką trawę, i jak pies wlecze się za tobą, bo się o ciebie boi, a idąc po twoich śladach dochodzi aż do Ślepego Rowu, w którym ty siedzisz zalękniony, brzydzący się swojego lęku, ale zalękniony, to wtedy przynosi ci ona odwagę.

I później już nie uciekasz z roboty, siedzisz w brygadzie, w której pracuje ta dziewczyna, i nie rzucasz roboty.

Nie rzuciłbyś nawet wtedy, gdyby się z jednego Rumianego zrobiło stu; bo już jesteś odważny, bo dziewczyna przyniosła ci do Ślepego Rowu odwagę. I już ci się wydaje, że nie musisz być tak mocno uwiązany niewidzialnym sznurem do matki, ojca, dziadka i do tej reszty, która została w domu na wsi; i że już nie musisz co chwila za ten sznur pociągać i zanudzać w sobie pytaniami tych domowników — matulu,, ojczy, dziadku, co mam teraz zrobić, czy mam uciekać z brygady, czy nie, czy mam się bać Rumianego, czy nie.

Już można poluźnić ten sznur, bo jest przy tobie dziewczyna, którą lubisz; i już ci się zdaje, że to, co złe, zawsze cię ominie, a to, co dobre, będzie przy tobie; a gdyby nawet co złego przyplątało, to łatwo sobie z nim poradzisz, bo dziewczyna cię lubi i ty ją lubisz; i choćby nawet coś straszego się przytrafiło, to straszne mniej będzie straszne, bo dziewczyna cię lubi i ty ją lubisz.

Wydaje ci się nawet, że ten stary blaszany Bóg Ojciec, pelen- tający się w kudłach piersi i kąpiący się w pocie, już ci jest niepotrzebny, bo jest ta dziewczyna.

Wyszedłem ze Ślepego Rowu, poszliśmy razem do stołówki, zjedliśmy obiad, a potem udaliśmy się do swoich baraków.

Rozdział IX

Gdy znalazłem się sam w moim mieszkaniu, mogłem sprawdzić swoją odwagę; i wtedy drgnęły te rozluźnione sznurki, które mnie łączyły ze wsią, bo one nie zostały zerwane, tylko rozluźnione odwagą, która weszła we mnie, gdy Helena stanęła na brzegu Ślepego Rowu.

Te niewidzialne sznury dźwignęły się z opadnięcia i napięły, jakby je kto podkreślił niewidzialną korbą — a -taką korbą zawsze jest samotność — i wtedy zaczęły po nich iść, jakby niewidzialnym telefonem, przykazania, napomnienia i dobre rady; waliło w moją stronę to całe dobroczynne mrowisko, ciągnęły do mnie rzeką, doliną, lasem, powietrzem, dołem i górą te opiekuńcze mrówki, wysyłane ku mnie dalekiemu ze środka mojej dalekiej wsi. I zaraz mnie te mrówki obsiadły, a każda z tym jednym, z tym, że sama odwaga to za mało, że odwagę trzeba czymś wzmocnić, coś do niej dodać, bo co pocznie taka golotka odwaga, taka odwaga-sierota; nikogo nią nie zdzielisz w łeb ani nie pchniesz pod żebro; bo z golutką odwagą to jest tak, jakbyś nadstawił pierś i krzyknął — wal w nią.

Czuję, jak ta moja rodzina, która mnie wyгнаła nie wygnając, bo w domu musi być odpowiednia ilość ludzi, i jak ta wieś przyczajają się i podchodzą do mnie z podszeptami — musisz uzbroić swoją odwagę, musisz ozdobić swoją odwagę.

Odpowiadam w sobie rodzinie i wsi — mam ją uzbrojoną i ozdobioną Bogiem Ojcem; a ta chytra stara wieś, która była we mnie, odpowiada na to cicho, najciszej, żeby nikt nie usłyszał — gdy masz odwagę, a przy odwadze Boga Ojca, to nadal jest tak, jakbyś odsłonił swoją pierś i krzyknął — wal w nią! I Rumiany walnie w nią, a dobry Bóg Ojciec, który wszystkim naokoło przebacza, ani się nie poruszy, będzie sobie dyndał na piersi, będzie sobie spał we krwi.

No to ja usłuchałem tych rad, które z sobą przywiozłem z za dużej rzeki i które wciąż do mnie stamtąd przychodziły; bo to były dobre rady, i jeszcze tego samego dnia poszedłem do zmiętego po sprężynowy nóż.

Chciałem do tego Boga Ojca, który, jak by nie było, ozdabiał moją odwagę, dodać ten sprężynowiec; na wszelki wypadek, gdyby przyszły trudne chwile; gdyby Rumiany albo jaki inny chciał mnie zgnoić i odebrać mi dziewczynę.

Nagle ten nóż wydał mi się rzeczą bardzo ważną i dlatego szedłem szybko do zmiętego Maćka, bo się bałem, żeby kto nie kupił wcześniej. Maszerowałem brzegiem budowy i co chwila mijałem spychacze, które przesuwały ziemię, i raz głośno, a raz cicho charczały.

Gdy doszedłem do sztachetowego płotu, gwizdnąłem, bo wiedziałem, że Maciek szybko wyjdzie, gdy się gwizdnie. Zjawił się w drzwiach, uśmiechnął się i powiedział — dobrze, żeś przyszedł, mam dla ciebie coś pięknego. Znów zaprowadził mnie do stodoły; tam wspiał się po belkach na słomę, a potem trzymając się dachowych łąt, sunął zgrabnie niby mucha sufitem aż po sam spód kalenicy. Wepchnął rękę w strzechę i wyciągnął stamtąd nóż zawinięty w biały papier, rzucił mi go z góry i krzyknął — łap! i ja go złapałem w obie ręce z powagą, delikatnością i przejęciem, tak jakbym chwycił nie sprężynowiec, a spadające dziecko.

A on schodząc wolno i z namysłem z tej wysokości, gdzie był schowany nóż, mówił niby do siebie, niby do mnie, a może do całego świata, do tego niepojętego, dziwnego świata, na którym jeden na drugiego się czai i jeden drugiemu chce coś odebrać; mówił o sprężynowcach — nie ma prawie dnia, żeby ktoś nie kupił sprężynowego noża; idą w świat sprężynowce, różni ludzie przychodzą kierowani przez kumpli; młodzików dużo; taki mówi bez obciachu — chcę kupić sprężynowy nóż — i nawet mu gęba nie drgnie; a i stary czasem przyjdzie, dzieciaty facet z dużym wąsem także przyjdzie; taki się trochę wstydzi, bo wie, że ja mogę pomyśleć — po co mu sprężynowy nóż; i twarz delikatna, ułożona, za okularami, także się czasem zjawi w tej stodole; po co uczonemu sprężynowiec. Sprzedając noże poznają świat; ja, bracie, więcej wiem o ludziach niż ksiądz.

Zmięty Maciek stanął na stosie słomy i mówił dalej z wielkim

rozrzewnieniem — jest popyt na sprężynowce; ludzie płacą, biorą je w ręce, i wtedy zmieniają się im oczy; a to znaczy, że zmieniają się w sobie, tak jakby się rodzili na nowo, do innego życia; i tyś, bracie, się zmienił, już jesteś nowo narodzony do zabicia albo do zabijania. Ludzie chowają sprężynowce do kieszeni, idą na budowę, idą w świat; a co to znaczy... wyprute bebechy, żołą- deczki, serduszka, kochane serduszka, gardziołka przebite, miejsca całowane przez matkę, przez kochankę, przehite; myślę czasem, bracie, co te moje sprężynowce wyczyniają w tych różnych miejscach, do których je zaniesiono, jak często są wyjmowane z kieszeni, co przebiły... Raz mi się śniła gromada nagich ludzi z nożami w piersiach, brzuchach, gardłach; ale ja, bracie, muszę handlować, bo nie mam zdrowia, a dzieci dużo; na nożach jeszcze jako tako się wychodzi...

Zmięty Maciek zsunął się ze stosu słomy na belkę, siadł na niej? i przebierając w powietrzu wiszącymi nad klepiskiem nogami, powiedział ■—świecie, świecie; a potem, jakby go kto zdzielił, zeskoczył szybko na klepisko i szybko podszedł do mnie ze słowami — rozgadałem się niepotrzebnie, płac, braciszku, i zwiewaj, i niech cię Bozia ma w swojej opiece, nożyk masz jak ta lala, nowiuteńki, jeszcze nikogo nie zadrasnął.

Gdy wracałem od zmiętego Maćka, światła jarzyły się już nad budową. W kilku miejscach było więcej świateł niż gdzie indziej, dochodziły stamtąd zgrzyty, a czasem pojedyncze ludzkie głojsy i jakby bulgoty, to znów śpiew.

To były odcinki budowy, którym zagrażało opóźnienie robót, dlatego pracowało się tam dzień i noc; robiła tam nocna zmiana, a byli i tacy, którzy pracowali na dziennej zmianie, a potem szli na noc na te zagrożone odcinki. Wielu dało się namówić temu partyjnemu, który nie tylko rozpytał słowa, ale w najtrudniejszych dniach i nocach brał łopatę i pracował z nami; a potem mył ręce w beczce z wodą, bo on nie był z tych nowo narodzonych, ulizanych działaczy, którzy sobie myślą, że samymi ładnymi słowami wyciśnie się z ludzi poświęcenie i ofiarność, tak jakby nie wiedzieli, że ich słowa nie wchodzą w człowieka, a odbijają się od niego jak groch od ściany.

A inni znów szli na nocną robotę tylko dlatego, że strasznie chcieli dodatkowo zarobić. No to przy tej nocnej robocie sporo

było tych chlebojadów i zupojadów z Kieleckiego i Rzeszowskiego. Bo chlebojad i zupojad to jest taki człowiek, który dorwał się do roboty jak do złota i wszedł na budowę jak do rajskiego ogrodu, oszołomiony i obłąkany. Wszystko sobie odłożył na bok — masło, kielbasę i rybę wędzoną, i duszę, i własne człowieczeństwo, a stał się wołem roboczym, maszynką nakręconą na robotę i tylko na robotę, i na pieniądze za robotę.

Chlebojad i zupojad wróci po to wszystko dopiero wtedy, gdy zarobi dużo pieniędzy i obsprawi się, gdy już zakończy się ta droga mozolna od chlebojada-maszynki, od zupojada-woła roboczego do człowieka, który usiądzie w ciepłym mieszkaniu i weźmie wnuka na kolana.

Ale na pewno znajdzie się taki chlebojad i zupojad, który będzie chciał przerobić robotę, nawet najogromniejszą robotę i wciąż będzie odkładał na później — i masło, i kielbasę, i rybę wędzoną, i zajęcie się własną duszą; wciąż na później i na później... aż do czasu, w którym nie będzie miał już siły po to odstawione masło, kielbasę, rybę wędzoną, po tę odstawioną duszę sięgnąć. Na pewno znajdzie się taki chlebojad i zupojad i znajdzie się taka „maszynka” nakręcona przez żywych, a bardziej przez umarłych, łaknących za życia pracy i chleba, nakręcona na robotę i tylko na robotę, aż do ostatniego tchu; i znajdzie się taki napędzany krzywdą umarłych wół roboczy, który już nie będzie umiał zatrzymać się i w tym swoim dobrowolnym jarzmie prychnąć i sapiąc dolezie na brzeg swojego dołu, a za pieniądze, które zarobił, postawią mu piękny grobowiec.

Młodziutki, choć jest bardzo młody, ma w sobie coś z chlebojada i zupojada; bo on także chce jak najwięcej skorzystać w robocie i jak chlebojad i zupojad jest skryty i przyczajony w tym swoim chodzeniu do szkoły i na kursy i uczeniu się; przyczajony do skoku po dobre życie, po eleganckie ubranie, ładne mieszkanie, ładne meble; po te godziny, kiedy usiądzie sobie wygodnie w ciepłe z wypiętym brzuchem i pomyśli spokojnie i mądrze o świecie.

I Korbasa ma w sobie coś z chlebojada i zupojada, i nawet Rumiany.

Ta starsza, podniszczona kobieta, na którą mówimy Matka, ma w sobie chyba najmniej z chlebojada i zupojada, bo ona żyje

dniem; ale w niej jest także odrobina z tych wołów roboczych, bo ona jak te woły nie chce nikogo prosić o chleb, chce go kupować za własne pieniądze.

I Wszyscy, którzyśmy przyszli ze wąj na tę budowę, nosimy Fw sobie większy lub mniejszy fladzik odcisnięty przez chleboja- dów i zupojadów.

Ale ja wchodzę już na inną drogę. Dziewczyna i sprężynowy nóż wpychają mnie na inną ścieżkę.

Gdy wracałem ostatnio od zmiętego Maćka, zrozumiałem, jak mnie odmienił sprężynowiec i że ten biedny, nieszczęśliwy Maciek, który musi sprzedawać noże, miał rację, gdy mówił, że to są jakby nowe narodziny.

To są nowe narodziny, bo od chwili, w której wzięłeś do ręki i schowałeś do kieszeni sprężynowy nóż, powinienes wiedzieć, żeś sobie go nie kupił do krajania chlebusia, a na inne okazje; i że sprężynowiec ma jakby wypisane na tych swoich błyszczących okładkach i na wyskakującym ostrzu, że nie był, nie jest i nigdy nie będzie tym nożem dobrodziejem do robienia kromek z bochenka albo do robienia fujarek z wierzbowych gałązek; i ma jeszcze sprężynowiec wypisane na sobie to upominanie się o ludzkie ciało, o miejsca główne na tym ciele; bo jemu nie chodzi o nogi i ręce, a raczej o podżebrza, brzuchy, piersi, plecy, szyje... A gdy jemu o to chodzi, to i tobie chodzi o to samo, bo niech ci się nie zdaje, że ty rządysz nożem, a nóż tobą nie. Już to samo, że go masz w kieszeni, odmienia ci duszę.

Niełatwo wypowiedzieć, jak tę duszę odmienia sprężynowiec, ale po tylu latach, w których się przecież człowiek własną skórą dowiadywał, jak to jest na tym świecie, po przeżyciu takich godzin, których by się za nic nie oddało, nawet za cały świat, i takich, które człowieka nauczyły tej najkrótszej, najsmutniejszej śpiewki — o życie, życie... po tym wszystkim, a także po nauczaniu się wielu rzeczy w szkole, do której poszedłem na stare lata, mogę powiedzieć, że gdy człowiek nabywa sprężynowiec, to tak, jakby dosiadł pięknego, szybkiego konia, który ma go powieźć do nieznanych krajów. Z jednej strony boi się, bo nie wie, jak będzie w tych nowych krainach, a z drugiej ciekawia go ziemię nieznaną; a nawet jest trochę dumny z tego, że siedzi na takim ognistym koniu, który z nim polecą jak ptak; z jednej strony się

boi, a z drugiej ma dla siebie jakby uznanie, że się jednak nie bał.

A można by pomyśleć, że sprężynowiec tak jest kupowany jak śledź, cebula, kiełbasa i że tylko kieszeń ci się zmienia, prawa kieszeń u portek, w której go nosisz; i że gdy idziesz szybko, to odczuwasz tylko, jak nóż uderza cię po udzie; a przedtem tego nie odczuwałeś; można by pomyśleć, że są tylko takie zmiany po kupnie sprężynowca.

Szedłem długą granicą dzielącą tereny robót od pól i patrzyłem na światło unoszące się nad budową i na to, co jest tymi światłami oświetlone. Tam daleko, na drugim krańcu, pod tymi silnymi lampami, to czerwieniejące, przyplaszczone do ziemi, to czerwieniejące rozmazane, podobne do rozlanej krwi, to jest początek nowego miasta.

A jednak zaczęło się miasto z tego cholernego bałaganu, z tych wrzasków i przekleństw zaczęło się nowe miasto.

Wszedłem między drzewa i zarośla, zrobiło się ciemno, bo światła zostały zasłonięte, psy zaczęły szczekać i wyc, coraz więcej tego szczekania i wycia; pomyślałem, że wcześniej zabiera się do swoich nocnych harców ten garbus w psa przemieniony, ten garbus-pies, wódz psów, śpiący z psami, jedzący z psami i okrążający z nimi całą dolinę, i obszczekujący budowę i pracujących na niej ludzi. Przecież to nie jest prawda... a może prawda...

Gdy wypijemy, wierzmy w garbusa-psa, gdy wypijemy dobrze i wódka rozjaśni nam głowy i powiększy wzrok, to go nawet widzimy, jak pędzi między drzewami i domami ze sforą psów, niby ruchoma smuga. Gdy nam wódka powiększy świat na szerokość i na wysokość, to wierzmy, że jest taka jedna jedyna chwila, w której człowiek może zamienić się w psa i przyjąć psią naturę, i przystać do psów; to znaczy, może stracić mowę i przejść na psie głosy — na szczekanie, skomlenie, warczenie, wycie, na to wycie po nocach; i może nabrać psich obyczajów i stronić od nieznanymi ludzi, a nawet może z chodzenia na dwóch nogach i tego -wyprostowania, i trzymania głowy do góry przejść na chodzenie na czterech łapach. Jest taka jedna chwila, w której to wszystko i jeszcze dziwniejsze rzeczy mogą się stać. A może się to zdarzyć wtedy, gdy człowiekowi przewrócą i rozburzą dom, i każą mu pójść z domu.

Wśród tych drzew wsunąłem rękę do kieszeni, pomacałem sprężynowiec, a później go wyjąłem, przygniotłem tam, gdzie trzeba, li ostrze wyskoczyło; ale przecież gdyby chodziło o tego garbusa- -psa, o tego króla psów bez domu i bez ziemi, to sprężynowiec niewiele by pomógł, bo ten garbus-pies raz był naprawdę tak

_ [jak te drzewa obok mnie, a raz był zjawą, smugą, jakby samym biegiem, samym kurzem biegu; a raz był istniejącym stworzeniem, człękopsem pełnym złości i skargi, a raz był samą złością i samą skargą bez ciała. Na takie coś sprężynowiec nie poradzi. Ale przecież go nie kupiłem po to, żeby się bronić przed garbusem- -psem, ale na życiowe potrzeby.

I odtąd już chodziłem ze sprężynowcem i byłem niby tym samym synem matuli i ojca, tym samym bratem brzuchatej siostry — może już nie brzuchata, może już urodziła — i tym samym szwagrem szwagra i wnukiem dziadka, a jednak nie byłem tym samym; bo już mnie miał sprężynowiec i byłem od nich, od mojej rzeki i od wysokiego brzegu sitowia odgradzony jakby mgłą.

Ze sprężynowym nożem chodziłem do roboty, na wódkę, do sklepu po chleb i salceson, wszędzie. Na wielki pochód do dużego miasta także z nim pojechałem. Przed dniem pochodu przyszedł ten partyjny, który opiekował się naszym odcinkiem robót i którego myśmy lubili, bo niczego nie owijał w bawełnę i nic nie robił po kryjomu, za naszymi plecami, tylko mówił tak, jak naprawdę jest; on mógłby z nas wydusić, co by chciał, bo on nas nigdy nie oszukał, dalibyśmy mu ostatnie portki, bo czuliśmy, że on nas szanuje. Gdy ludźmi zmiarkują, że się ich szanuje, to można z nimi zrobić wszystko, nawet na głód się zgodzą, gdy się ich szanuje i gdy się im mówi prawdę, a gdy poczują, że się ich nie szanuje, to koniec pieśni, zatną się, zagrzebią w sobie, i będą co innego robić, a co innego myśleć, i będą jak smutne, wystudzone maszynki.

Ale wtedy, na początku budowy, ten człowiek nie musiał nam wiele mówić, gdy przyszedł do nas przed dniem pochodu. Od razu pojęliśmy, o co mu chodziła chodziło mu o to, żeby temu dużemu miastu, do którego pojedziemy na pochód, i zasiedziały w nim z dziada pradziada ludziom pokazać naszą siłę; aby te białe, miejskie twarze powiadomić, że niedaleko budujemy nowe miasto,

a obok miasta fabrykę; 1 że nie jest tak, jak wiele z tych białych twarzy sobie myśli; bo zdarza się często-gęsto, że one się na nas boczą i przyglądają się nam z ukosa; cierpią albo gniewają się, gdy nas widzą, albo śmieją się z nas i mówią, że się im do wspaniałego grodu podsuwają chamy, bandziory, kurewki, pijacy, brudasy, analfabeci, nożownicy, przybłądy, wszarze...

Nie wiem dlaczego, ale przez cały czas pochodu, który ogromnie był podobny do kościelnej procesji, łapałem tylko te sterczące nad chodnikami bielutkie twarze mieszczan.

Gdy tylko zeskoczyliśmy z ciężarówek u początku długiej i szerokiej ulicy, już ich kilka wyłowilem z gęstwiny głów.

Ta, która sterczy przy długim wysokim murze, świdruje nas oczami, patrzy na papierowe projekty i na modele domów, na to niesione przez nas papierowe miasto, którego początek w rzeczywistości już istnieje; uśmiecha się, ale tak jak uśmiechają się ludzie starsi, gdy widzą zabawę dzieci, jakby nagle wesoła dziatwa wleciała w ulicę i bawiła się, i szumiała; skąd nagle tyle tej dzieciarni się nabrało...

A ta druga twarz, przysunięta do pnia starego, zabytkowego drzewa, skrępowanego obręczami — bo jest mocno nadpróchnia- ła — oparta o to próchniejące, - czczone drzewo, gniewa się na nas, drży ze złości, bo nie może znieść tego ogromnego pochodu. Ona na pewno nuci w sobie taką śpiewkę — zalew chamstwa, zalew głupoty, zalew chamstwa, zalew głupoty...

Ta trzecia, z którą zderzyliśmy się na skrzyżowaniu ulic obok głównego dworca, jest nadęta, pyszna i na pewno różne kraje widziała i różne miasta, i wiele książek czytała; ta ma nas za nic, patrzy na nas jak na śmiecie zmiecione z kątów na środek izby.

Ta znów spogląda na nas łagodnie i życzliwie, ale z wielkim zdziwieniem — tak jakby chciała się dowiedzieć, jak pracujemy, gdzie śpimy, co jemy, co myślimy i w ogóle, jak żyjemy i co jesteśmy, warci...

Maszerujemy tą ulicą, niesiemy dużą napisy mówiące o tej naszej budowie, dźwigamy prawie całą nową dzielnicę i fabryki zrobione z grubego papieru oraz obrazy wielkich ludzi. Baz po raz jakiś człowiek ze środka pochodu albo kręcący się przy kolumnach podawał okrzyki — niech żyje! Niech żyje! A my je powtarzaliśmy całym chórem i z ogromną siłą.

A ja wciąż dźwigając napis „nasze dłonie i nasze serca odda* my ojczyźnie” zerkam na chodniki i wyłapuję — bom się dziwnie na to uczulił — blade twarze mieszkańców dużego miasta.

Tamta patrząca na nas z zabytkowej bramy, jak z ram obrazu, boi się nas. Ogromna ilość, jakby naraz dziesięć procesji nowych, dziwnych ludzi, którzy podobno budują całe nowe miasto, z których nie wiadomo co wylezie, wpakowała się na ulice wielkiego miasta z chorągwiami, napisami i obrazami. Jest się czego bać; przecież to zbiegowisko ludzi, którzy się tu przywlekli z różnych zapadłych dziur. Z pewnością są wśród nich nożownicy i wszarze, a i brudasów, analfabetów i takich, którzy nie umieją się zachować przy stole, nie brak w tym zbiegowisku. Są z pewnością? także kurewki, te gorsze, dla nich; jakżeby się bez nich obeszła Jest się czego bać — myśli sobie może ta blada twarz mieszczanina stojącego w bramie.

Maszerujemy i maszerujemy, jesteście już w ulicy, która rm po jednej stronie piękne urzędowe gmachy, a po drugiej park ten kochany park miasta, który mnie się nie podoba i który mnie rozżala, bo tu drzewom brak tchu.

Gdy znaleźliśmy się w tej ulicy, ważna informacja przeleciała po kolumnach maszerujących — że zbliżamy się do trybuny honorowej. Ludzie zaczęli się prężyć i dopasowywać krok, a mnie nawet tu, w czasie tego przygotowywania się do porządnego przemaszerowania obok trybuny honorowej, podpadła nowa biała twarz; bo mnie coś takiego opanowało, że dybałem na te twarze i próbowałem je odczytać; bo właściwie ten pochód to było zderzenie ogorzałych spranych deszczami twarzy z bladymi twarzami mieszczan, to były wzajemne oględziny; to był niby pochód, bo w gruncie rzeczy to było podejsście z naprzeciwka tych dwóch twarzy i wzajemne przyglądanie się.

Ta twarz, którą przydybałem i która — można by powiedzieć — przy dybała mnie, gdy pochód zbliżał się do trybuny honorowej, miała na sobie wypisany ból; ona cierpiała z naszego powodu, choć myśmy jej nie wyrządzili żadnej krzywdy.

Gdyby nie ten pochód, który nas porywał i gnał jak stado, tobym doleciał do tej twarzy, która cierpiała, a także do tamtej, która się bała, i powiedziałbym im, że ja także się boję, bo musiałem pójść z domu i jestem teraz na ogromnej budowie, której

nie mogę pojąć. Przyjechałem tu, bo w domu był ojciec, matka, dziadek, siostra, która się liczy za dwóch ludzi, bo jest w ciąży, szwagier; i to wszystko przy jednej krowie, przy kilku gęsiach i kilku kurach; no to był mus jechania. Pracuję przy wykopach ziemnych; powiem szczerze — kupiłem sobie sprężynowy nóż, bo mi chodzi o dziewczynę, żeby ją obronić, gdy zajdzie potrzeba, nie nadaję się do tego noża, ale to był mus. Dawniej bili się szablami i szpadami i strzelali do siebie z powodu dziewczyny; nóż nie jest najgorszy, gdy się go porówna z szablą i rewolwerem.

Ale przecież nie mogłem podejść do tych twarzy, bo byłem w pochodzie, który już zbliżył się do trybuny. Trybuna była jak duży, rozciągnięty ołtarz, a w głównym, w tym najświętszym miejscu ołtarza stał szczupły, zmęczony człowiek i ładnie się do nas uśmiechał. Otaczało go sporo ludzi, którzy niby to przyglądali się kolumnom pochodu, ale w gruncie rzeczy patrzyli na tego szczupłego, zmęczonego człowieka, który stał w głównym punkcie trybuny.

I co jeszcze mógłbym powiedzieć twarzom mieszkańców dużego miasta, sterczącym nad chodnikami, opartym o stare drzewa i wychylającym się z zabytkowych bram... że sporo jest wśród nas takich, którzy nie umieją czytać i pisać; przeważnie są to ludzie starsi, którym życie tak się ułożyło, że szkoła, ich, a oni szkołę ominęli; uczą się dopiero teraz i wstydzą się, a niektórzy z nich, gdy skończą pracę, po kryjomu piszą gwoździem na ubitej ziemi.

I co jeszcze mógłbym tym twarzom powiedzieć... Że niektórzy przyszli na tę ogromną budowę, w której trudno się rozeznać, z wszami za kołnierzem; bo oni mieszkali w takich domach, które są lubiane przez wszy; to znaczy, w domach małych, gdzie jest jedna izba, a w tej izbie dużo ludzi i brak pieniędzy na czystość, bo czystość jest bardzo kosztowna, a brud tani.

I co jeszcze mógłbym tym twarzom powiedzieć... Że na naszej wielkiej budowie często trafi się kurewka; ale gdzie się nie trafi... Czy w eleganckim domu się nie trafi, czy w biurze, czy przy boku „grubej ryby” się nie trafi... Ten gatunek wszędzie zawędruje. Tylko gdy trafi się na naszej wielkiej budowie, to wtedy niejedna biała, wielkowiejska twarz mówi, że tam jest zgnilizna moralna; a gdy się trafi w gronie zacnych mieszczan czy w tak zwanych wyższych sferach, to wtedy mówi się — trudno,

miłość... Gdy to się dzieje w kopie siana albo na zielonej trawie, albo po prostu na gołej ziemi, to wtedy jest zgnilizna moralna, a gdy się to dzieje na piernatach, na materacach, w pluszach, to wtedy jest miłość. Są dwie nazwy na jedno i to samo; raz się to nazywa zgnilizną, a raz miłością, w zależności od tego, gdzie się odbywa — czy pod malowanym sufitem, czy pod gwiazdami...

Gdy mineliśmy trybunę, można było już iść byle jak, kolumny zaczęły się rozluźniać, ludzie po jednym, po dwóch, a potem już całymi grupami umykali na boki, bo ich ten pochód zmęczył, a i trochę znudził. Najgorzej mieli ci, którzy nieśli ważne napisy i ważne portrety; ci musieli dojechać tam, gdzie mogli to, co nieśli, dać do przechowania.

Ja ulotniłem się wcześniej[^] bo niosłem niewielkich rozmiarów hasło, które mogłem postawić pod drzewem i pójść sobie. Młodziutki umknął zaraz za mną. Heli nie mogłem znaleźć, bo się gdzieś zapodziała. Rumiany musiał iść do końca, bo on chcąc się przypodobać tym, którzy organizowali pochód, wepchał się do przodu naszej kolumny i niósł wraz z kilkoma innymi robotnikami najgłośniejszą, ale i najcięższą dekorację z największym napisem. Rumiany od pewnego czasu kręcił się koło działaczy i łasił się. Korbas także gdzieś przepadł, a Matkę tak rozochocił pochód, że z własnej woli postanowiła iść do końca, choć przecież nic nie niosła i mogła czmychnąć wcześniej od innych.

Weszliśmy w wielkomiński park, w którym było pełno ludzi; w wielkomińskim parku zawsze jest pełno ludzi i nigdy nie zdarzy się tak, żeby człowiek znalazł się sam na sam z drzewami, o co tak łatwo na wsi; tam, gdy człowiek chce, może być sam na sam z lasem, z kępą nadrzeczną i rzeką, i z ptakami, sam na sam z zagłębieniem, gdzie rośnie sitowie, z tą ogromną zieloną michą, której mi chyba najbardziej z wszystkim żal, bo to jest najpiękniejsze miejsce na ziemi; sam na sam z tym wszystkim, to znaczy sam na sam z sobą, a jednak pod czujnym, zatajonym okiem wsi.

Młodziutki pociągnął mnie na koniec bocznej, wąskiej alei, gdzie było najmniej ludzi; usiedliśmy na ławce, bo nas ten pochód trochę zmęczył, a on zaraz sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej zieloną kopertę, którą przed chwilą potrząsał, a później powiedział — tó jest list od matuli, wczoraj go dostałem, przechodzę

sobie kolo portierni, a portier mówi — jest list do ciebie — i to byt ten list od matuli.

Młodziutki potrzęsając kopertą mówił, że matula zawiadamia go o otrzymaniu pieniędzy, które on jej posłał z pierwszej wypłaty; pisze, że sobie te pieniądze położyła w specjalnym schowku i nie wydaje ich na nic, tylko w tym schowku trzyma, bo to są pieniądze z pierwszego zarobku syna; a takich pieniędzy dotąd w życiu nie dostała. Miała synów trzech — dwaj starsi od Młodziutkiego zginęli na wojnie; pozostał Młodziutki i młodsza od niego siostra. No to jak mogła ta matka otrzymać pieniądze z zarobku syna; a teraz je otrzymała i schowała je głęboko, i nie wydaje ich, i ma je nie jak pieniądze, nie jak te papierki, za które można kupić drożdży, soli, cukru, chustkę, zapaskę i Bóg wie co jeszcze — ale jak coś większego, jak dowód synowskiej dobroci, która nieczęsto zdarza się na tym świecie.

A potem nagle Młodziutki przysunął się do mnie i ściszył głos, jakby mi chciał wyjawic wielką tajemnicę i bał się, że ktoś może podsłuchać; ale ja wiedziałem, że gdy on się przysuwa, to będzie mi wychuchiwał do samych uszu to, co mi już parę razy wychuchiwał i wyszeptywał, co pierwszy raz wyszeptał mi na budowie w czasie tego przekłętego, drobniutkiego deszczu. Wiedziałem, że powie mi o wieczorowej szkole; i rzeczywiście namawiał mnie na tę wieczorową szkołę, żebym robił siódmą klasę, którą on robi, i żebym potem szedł dalej i dalej, tak jak on planuje. Przyrzekłem mu, że do wieczorowej szkoły pójde. Pomyślałem sobie — to nic, że masz sprężynowy nóż, mozesz ze sprężynowcem isc do szko- ły...

Później na tej ławce w alei wielkowiejskiego parku opanowała Młodziutkiego myśl o przyszłości. Mówił jak dziecko i stary zarazem; bo Młodziutki to był taki .człowiek, w którym dziecko mieszkalo ze starym.

Nie patrzyliśmy na tę wielką równinę, na której szła nasza budowa, ale tak jakbyśmy mieli ją przed oczami, gdy Młodziutki mówił o przyszłości. Lepiej ode mnie umiał ujrzeć siebie przeinaczonego w tym mieście, które mamy zbudować; potrafił to, co bylo teraz, odsunąć za siebie, a to, co miało nadejść, ukraść przyszłości i przysunąć do „teraz" i zrobic taką minę, jakby znikły wykopy, błoto i ubabrani ludzie, a zjawilo się gotowe miasto,

jakby już na ulicach tego miasta dudniły jego kroki. Tworzył jak cudotwórca całe gotowe miasto, choć ono nie było jeszcze zbudowane i dopiero się zaczynało, dopiero wyłaziło ze szlamu.

Siedział ze mną w jako tako cichym zakątku wielkomięjskiego parku, a właściwie to stroił się i prężył, w ładnym mieszkaniu przebywał i kapelusza na powitanie uchylał, i w ogóle pławiał się w tym wymyślonym czystym mieście; i mnie wrzucał w tę czystość i w tę elegancję nowego miasta, powstałego z jego myśli, a w rzeczywistości mającego dopiero nadejść; wrzucał mnie, gdy występował z namowami, żebym się uczył. Dałem się ponieść jego myślom i potem już razem tworzyliśmy różne obrazy i widoki, których jeszcze nie było, aż zrobiło się nam ciężko od tej lepszej przyszłości, którąśmy na siebie zwalili; i przywaleni, zmęczeni gadaniem o tej lepszej przyszłości, przestaliśmy mówić i prawie milcząc podnieśliśmy się z ławki, poszliśmy do autobusu i wróciliśmy do naszych baraków. Wieczorem wybrałem się na zabawę ludową.

Nie podobała mi się ta zabawa; za mało było na niej miłości i wstydu, a za dużo chamstwa; chłopaki rzucali się na dziewczyny jak psy na suki, a one na toinie. Wszystko można, ale nie tak. Przecież na wsi tak nie robili, a są ze wsi. Co się | nimi stało?... Tak, jakby ich spuszczone z łańcucha; bo wieś, ta stugłowa, tysiącglowa wieś, każdego, który w niej mieszka, trzyma jakby na łańcuchu; wciąż na niego patrzy, wciąż go upomina, w dzień i w nocy ma go na swoim stuocznym, tysiącocznym oku; nie schowasz się przed nią, gdzie dasz nura, na wsi nie można dać nura.

Matka, ojciec, dziadek, babka, krewni, sąsiedzi, żywi i umarli stoją ci za plecami i przypatrują ci się, i ty się ich boisz; niby nie boisz się, odszczekniesz czasem matce i ojcu, gdy ci mówią, że źle postępujesz; i wtedy może się komuś zdawać, że odrzucasz te upomnienia i że nie przejmujesz się matką i ojcem; ale w gruncie rzeczy ty się ich boisz. Jeśli się złościsz na nich i odszczekujesz im, i pyskujesz do nich, prosto do twarzy, prosto do oczu, to znaczy, że nie możesz machnąć na nich ręką i robić swoje, to znaczy, że jednak boisz się ich.

Na tej dużej budowie wszyscy są jakby urwani z łańcucha i przez to jakby trochę nieprzytomni. Na zabawie widać to najlepiej. Jest to zabawa jakby zwierząt, które potargały łańcuchy,

przeskoczyły płoty i uciekły ze wsi, czyli z tego porządnego więzienia; bo wieś to jest takie dobre, porządne więzienie, tam wszyscy wszystkich trzymają pod strażą.

Ale ta nieprzytomność po urwaniu łańcuchów minie; dziś wiem, że minie. Opamiętają się, zreperują łańcuchy, dorobią potrzebne kółka i łańcuchy się wydłużą, i tymi długimi łańcuchami przykują się do wsi. W mieście będą, na asfalcie, w eleganckich pokojach będą, ale jednak przykuci do wsi jak wierne psy; czasem jak złe wierne psy; i wiem, że wielu z nich, i wiem, że nawet ci, którzy upodobnili się do tych z dziada pradziada panów spacerujących po alejach wielkowiejskiego parku, powiedzą w starości i wyszeptają na łożu śmierci, poruszając słabymi ustami jak ryby wyciągnięte z wody, żeby ich pochować na wiejskich cmentarzach; wyszeptają jak dzieci, że chcą do matek i ojców.

Przypomniał mi się Młodziutki, on nigdy nie zerwał łańcucha. Dobra matula trzymała go na silnym łańcuchu. Młodziutki pójdzie w górę, chodzi na kurs, uczy się.

Budowa swoją drogą także człowieka zmienia. Co innego sianie, a co innego wysadzanie dynamitem zmarzniętej ziemi, co innego być na polu, a co innego na placu budowy. Na budowie musisz być ostry jak brzytwa, a przy sianiu nie. Budowa cię chwyta . w kleszcze, ściska, a ziemia cię rozprostowuje. Na budowie musisz się drzeć na całe gardło, pyskować, musisz wiele wrzasków przekrzyczeć, a przy sianiu pomówisz sobie do konia i siejesz.

Wyniknęliśmy się z dużego koła zabawy; Helena szła przodem, a ja za nią. Za plecami została muzyka i ludzki wrzask; z tyłu zostawiliśmy Rumianego. Przyszedł na zabawę późno i był lekko pijany, szukał Heleny, widziałem to, mnie nie zauważył i pytał się o nią tych, którzy ją znali.

Przedtem Helena tańczyła parę razy ze mną i innymi chłopakami; a potem dała nura w ludzką ciżbę, pobiegłem za nią; pomyślałem sobie — pokażę się jej, co powie... Powiedziała — nie podoba mi się tu, chodźmy stąd...

Gdy ci tak powie dziewczyna, która ci się bardzo podoba, gdy ci tak powie w środku zabawy, gdzie muzyka rżnie i bije w górę aż do samego nieba, gdzie jest tylu silnych, zdrowych chłopaków, którzy dyszą do dziewcząt — to nie możesz zachować równowagi ducha; bo to znaczy, że ona cię wybrała, ciebie jednego, jedyne

z wszystkich. Co wtedy dzieje się z tobą, co... do czego to porównać, nie wiem... i jak to faazwać... nie wiem... nic nie przychodzi mi do głowy, gdy chcę siebie opisać w tamtej chwili, po jej słowach — chodźmy stąd, nie podoba mi się tu, nie mogę znaleźć żadnych słów... Matulu, ojczu, dziadku, siostru, szwagrze i wy, sąsiedzi moi, tamtej chwili nie da się opisać...

Wyszliśmy z drzew, znaleźliśmy się na dużych płaskich polach. Wzięliśmy się za ręce i ruszyliśmy przed siebie. Gdyby nas wtedy kto zobaczył, mógłby się zapytać — dokąd idziecie, dzieci...

Weszliśmy na jakiś trawiasty teren, łąka to była czy nie łąka, a mpże to była droga, po której długo nie jeździły wozy i dlatego powoli zarastała trawą.

Przypominam to sobie, z męką przypominam sobie te drobiazgi; Miałem w ręce jej rękę — palce dość długie i dość twarde; dalej zaczynała się jej dłoń, zaczynała "się nagłym poszerzeniem i jednolitością na spodniej stronie ręki, na brzegu tej jednolitości, tam gdzie jest granica palców i właściwej dłoni, szły rzędem twarde zgrubienia, jakby plasterki odcięte z cienkiego rzemyka, za tymi niby plasterkami było spodnie wgłębienie dłoni, nierówne, niegładziutkie, a nad nim także niegładki wierzch ręki.

Mogłem się przekonać, że ta ręka starła się na budowie i nie pasowała już do tej dziewczyny; było ciemno, ale mogłem sobie przedstawić tę rękę nie pasującą do jej drobnej twarzy, do włosów układających się w fale i do jej nóg — prostych, wysokich i w ogóle do jej wysmukłej wiotkiej postaci.

Ta ręka pasowała już do budowy, nie do dziewczyny. Tak sobie dziś przemyśliwuję i przemyśliwuję, i mówię, że budowa wzięła już dziewczynie ręce; i mówię jeszcze, że te dość twarde palce to była jeszcze jakby budowa, jakby dalszy ciąg budowy; i ten zgrubiały, twardy i śliskawy brzeg dłoni najbardziej chyba należał do budowy; i ten szorstki wierzch także należał.

Dalej była kostka i wgłębiony pasek przegubu, i tu była granica. Tu kończyła się budowa, tu kończyła się ziemia, ciesielka, dechy, gwoździe, łopaty, deszcze, mgły, nawoływania majstra i brygadzysty; na tym wgłębionym pasku przegubu kończył się plac budowy, a zaczynała się dziewczyna; tuż pod rurką rękawa, nagłym ciepłem, które nadeszło z głębi jej ciała, i nagłą delikatnością skóry zaczynała się dziewczyna; moja i tylko moja dziewczyna;

matulu, ojcze, dziadku, siostru, szwagrze i wy, sąsiedzi, i ty, Boże Ojcze, i ty, sprężynowy nożu — moja i tylko moja.

Sprężynowy nożu, stróżu mój, Ty zawsze przy mnie stój, Rano, wieczór, we dnie, w nocy, Bądź mi zawsze ku pomocy...

Tak modlił się zmięty Maciek.

Szliśmy wciąż tą trawiastą ziemią i grzecznie trzymaliśmy się za ręce. Posunąłem się w górę jej dłoni i palce miałem tuż, tuż pod cienką rurką rękawa jej bluzki.

Gdyby nas wtedy kto zobaczył, mógłby się zapytać — dokąd idziecie, dzieci...

Szliśmy wciąż tą trawiastą ziemią, wolno szliśmy...

Taki był początek najlepszej wiosny i najlepszego lata w moim życiu; takiej wiosny ani takiego lata nie było przedtem ani potem i już nigdy, przenigdy nie będzie... A tak bardzo chciałbym się cofnąć do tamtej nocy i do tamtych tygodni i miesięcy, które po niej nastąpiły; gdy tyle czasu było przed nami, a ten czas — jak się wydawało — był jeszcze do urobienia niby glina, na rozmaite formy życia; a teraz to te dwadzieścia lat, które miało się przeżyć według wzoru pięknie wymyślonego i wymarzonego, zostały już zabrane i urobione na takie, jakie było, a nie na inne życie.

Cofnąć się, zdjąć z ziemi to miasto, wydrzeć czasowi czas i jeszcze raz zejść do dołu, po tamtą harówkę, ale i po tamtą miłość; zgodziłbym się na powtórkę tamtego błota, błota-mazi, błota-szlamu, błota-ciasta, gdyby się mogła wrócić tamta nadzieja wyszeptująca — przepłyniesz swoją rzekę w szczęściu. Wydzierałbym golusieńką ziemię spod tych dzisiejszych kamieni, gdybym mógł wydrzeć z pożerającego samego siebie czasu tamte chwile, w których po latach mających przyjść chodziło się jak po kolorowym odpuście.

Tamtej nocy po przejściu pól, które już nie były prawdziwymi polami, bo padały na nie ukosem światła rozwieszone nad budową ściskającą półkolem ziemię uprawną, i po przejściu podmokłych łąk, którym światłą budowy także odebrały nocną prawdziwość, wsunęliśmy się do Ślepego Rowu, chronionego przed lampami

gęstym, obszernym zagajnikiem, do tego rowu wykopanego przez chlebojadów i zupo jadów, w którym napełniłem się odwagą, gdy Helena stanęła na jego brzegu; stał się więc ten dół miejscem, które od razu polubiliśmy.

Weszliśmy do tego rowu z naręczami siana wydartego ze stojących w pobliżu kopek i tym pachnącym sianem wymościłiśmy jego dno i ściany. Przysposobiliśmy ten rów do miłości; i ten rów napełniony zapachem ziół i wietrzejącej ziemi był naszym pierwszym wspólnym domem, mieszkaniem i naszym pierwszym łóżem małżeńskim, choć nie byliśmy jeszcze mężem i żoną; ale gdyby odsunąć na bok ceremonię zaślubin, które związują ludzi tylko słowem i pismem, a wziąć to, co jest, co się dzieje, to właściwie byliśmy małżeństwem — bo, nim się to z całym ceremoniałem stało — sami bez niczyjej pomocy, bez księdza kościelnego i bez księdza cywilnego, i bez orszaku weselnego, z pomocą chyba tylko tej ciemności i tych pachnących ziół, w tym rowie zaślubiliśmy się.

Gdy w czasie tych zaślubin moja twarz była nad jej twarzą, medalik, który dostałem od matki na drogę, wysmykiwał mi się zza koszuli i dyndał nad jej ustami; a potem wplątywał się między nasze wargi; a później wplątywał się w nasze zęby, był ściskany i gryziony... i znów wisiał, i znów ocierał się o jej wargi, oczy, czoło, włosy...

Potem leżeliśmy twarzami do góry i patrzyliśmy w nocne, niskie powietrze. Było cicho i zdawało się, że na tej dużej dolinie nic się nie dzieje; tylko szmer pojedynczych grudek ziemi, zsuwających się ze ścian rowu, mówił, że naokoło zaczęła się wielka budowa.

Później srebrzysta blaszka medalika migotała nad jej twarzą i wplątywała się między nasze wargi i zęby i znów była ściskana i gryziona.

Potem leżąc obok siebie pod niską powalą chmurnej nocy obmyślaliśmy, jak to razem przepłyniemy dużą rzekę, jak to razem, ładnie ubrani i zadowoleni, wejdziemy w wieś... Srebrzysta blaszka znów zamigotała nad jej twarzą, wciskała się i wciskała między nasze wargi i zęby.

Gdy dziś po tylu latach o tym mówię, dołączam do tego moje długie przemyślenia, to znaczy do siebie tamtego dołączam siebie

dzisiejszego, któremu życie i szkoła, i przeczytane książki coś jeszcze dodały; czyli jakby nas dwóch opisuje tamte zdarzenia i nieraz, trudno mi się połapać, czy opowiadam ja dzisiejszy, czy tamten.

Opisując tę noc mogę jeszcze dodać, że wykopany omyłkowo przez chlebojadów i zupojadów rów stał się nie tylko naszym pierwszym wspólnym mieszkaniem i. naszym pierwszym łóżem małżeńskim, ale także naszym kościołem bez księdza, organisty i bez chórow; i mogę jeszcze dodać, że ten dół był dla nas czymś więcej niż domem, łóżem małżeńskim, czymś więcej nawet niż kościołem. To było miejsce, gdzie te nasze zaślubiny nappełniły nas wielką siłą i wielką dobrocią do świata, do ludzi, zwierząt, do robaków, do najmniejszej grudki ziemi; a także wielką wdzięcznością za noc, za siano, za rów, w którym odbyły się nasze zaślubiny.

Z tą siłą, dobrocią i wdzięcznością wyszliśmy z rowu o ledwie szarej godzinie świtu; ziemia przykryta była mgłą, pod którą skryły się pola i place budowy; wyraźniej rysowały się tylko wierzchołki drzew, szczyty dźwigów i górne części nowych murów pierwszej dzielnicy miasta będącej w budowie.

Gdy znalazłem się w swoim hotelu, wsunąłem się do łóżka, ale nie po to, żeby przespać tych kilka godzin, które pozostały do rozpoczęcia pracy, ale po to, żeby się nacieszyć tym, co się stało w nocy, tymi naszymi dobrowolnymi zaślubinami i tym, że poznałem ciało i duszę dziewczyny.

Wizerunek Boga Ojca wiszący na mojej szyi wysunął mi się zza koszuli i upadł na poduszkę. Srebrzysta blaszka była zgięta i porysowana. Przypomniałem sobie, że w czasie naszych zaślubin, gdy moja twarz była nad jej twarzą, medalik wysmykał mi się zza koszuli i wisiał nad jej ustami, i wplątywał się między nasze wargi i między nasze zęby, i był ściskany i gryziony.

Długo wpatrywałem się w te zgięcia i rysy na srebrzystej blaszce, a wpatrując się myślałem — jesteś kimś; naprawdę poślubiłeś Helenę.

A później, po raz pierwszy od dnia, w którym matka opasała mi szyję świętym sznurkiem, wziąłem medalik do ręki i niby najwierniejszy czciciel Boga Ojca całowałem srebrzystą blaszkę, a właściwie te pogięcia i porysowania, te znaki naszych zaślubin.

Na budowie byłem pierwszy i bardzo dobrze mi się pracowało, choć nie zmrużyłem oka, po prostu nie czułem ziemi pod łopata, tak jakby ziemia była piórami albo pianą, a nie ciężką, zbitą, sklejoną masą; aż brygadzysta się dziwił i mówił, że daję dobry przykład wyteżonej, pełnej poświęcenia roboty, a także — jak mądrze dodał — wysokiej świadomości społecznej; i dodał jeszcze, że gdyby wszyscy tak pracowali, ta dolina ujrzałaby miasto wcześniej, niż się planuje.

Nie wiedział, biedaczysko, że jestem po zaślubinach, że poznałem ciało i duszę Heleny i że to ciało i duszę otrzymałem w nocy, w rowie, w kochanym rowie, wykopanym przez chiebojadów i zu- pojadów, i że z powodu tych zaślubin nie czuję ziemi pod łopata i łopata bierze ją tak lekko, jakby brała pióra albo pianę; i że robię szalunek, pasuję okrągłaki do desek i deski do okrągłaków, przybijam gwoździe szybciej i lepiej niż wczoraj, a dzieje się to dlatego, że przeżyłem te zaślubiny i z tego powodu lubię wszystkich naokoło i nawet do Rumianego nie mam pretensji, bo go zwyciężyłem nie tyle tym zaciśnięciem na jego szyi świętej tasiemki, ile tymi moimi z Heleną zaślubinami, tym dopiero rzuciłem go mocno na ziemię i zdusiłem; i tak się czuję, jakby mi było go żal, i odczuwam ochotę podejścia do niego.

Wydrapałem się na brzeg wykopu i szedłem brzegiem w kierunku tego miejsca, gdzie pracował Rumiany. Myślałem, mówiłem w myśli sobie — gdy on zachowa się ostro i nieprzystępnie i wyjdzie z tą swoją groźbą, i powie ci, że się z tobą policzy, to ty jednak zachowasz się spokojnie i łagodnie, bo już możesz się tak zachować i możesz być dobry, boś go dokumentnie zwyciężył tym, że ciebie, a nie jęgo wybrała ta dziewczyna.

Zerknąłem w dół wykopu, Rumiany ciągnął szalunek u samego spodu i dlatego był pochylony; ujrzałem tył jego głowy, czarne, gęste włosy były mokre od potu i przyklejone na karku; a dalej był ciemny, brązowy kark.

Patrzyłem na ten silny kark — między obrzeżem włosów a kołnierzem drelichowej bluzy zauważyłem biały pasek nie opalonego ciała; domyśliłem się, że to ślad po niedawno zdjętej tasiemce, po tej świętej tasiemce, którą mu matka uwiązała u szyi razem z jakimś medalikiem, gdy tu jechał; a teraz po tej tasiemce pozostał biały śladzik, który jeśli się jej z powrotem nie założy, wnet znik-

nie; niechby tylko przyszło słońce i przygrzało Rumianego pracującego w pochyleniu, to wnet się zatrze ten śladzik i nikt już nie pozna, że na tym karku kiedykolwiek była tasiemka z nawleczonym na nią medalikiem; i już nawet Rumiany, gdy zajdzie potrzeba, może mówić, że nigdy nie miał na szyi żadnej tasiemki ani żadnego sznurka i że nikt nigdy nie zakładał mu medalika, i że on także nie powiesił na sobie Boga Ojca.

Dałem znak ręką Młodziutkiemu, a ón cicho zbliżył się do mnie; potem kiwnąłem na Matkę i na Korbasa i oni także podeszli do tego miejsca, gdzie ja stałem, i w czwórkę ukradkiem patrzyliśmy na ten biały śladzik opasujący zamiast tasiemki silny kark Rumianego. '

Można było pomyśleć, że brak świętej tasiemki jest przejściowy, że się ona zestarzała i postrzępiła i trzeba ją zmienić i że wnet Bóg znów wjedzie na jego byczy kark; ale można było także pomyśleć, że nie wjedzie, bo Rumiany chce bardzo szybko, iść w górę, i że się mu już nie chce pocić przy tych wykopach.

A gdyśmy się oddalili, Korbas powiedział, że nie wolno wyrzucać tego, co się dostało od matki; a Matka, ta Matka z budowy, odrzekła, że różnie w życiu bywa; Młodziutki nic nie mówił. Ja byłem bardziej za Korbasem niż za Matką, choć ona wiele przeżyła i nigdy nie puszczała słów na wiatr; ale i Korbas wiele przeżył, bo był niemłody. Korbas przeżył, ale i ona przeżyła.

Nie można było zbyt długo rozwodzić się nad tym, czy wolno, czy nie wolno odrzucić to, co się dostało od matki, bo praca czekała i brygadzysta zaczął posykiwać i pomlaskiwać z niecierpliwości.

Rozdział X

Poszedłem do swojej roboty, do swojej łopaty, tego dnia lekkiej jak piórko, i do swojej ziemi lekkiej jak pianka, i do swoich myśli o Helenie, i do swojej nadziei, że znów wybiorę się z nią do Ślepego Rowu —tak go nazwały chlebojady i zupojady — i znów nazbieram świeżego, pachnącego ziołami siana, żeby wymościć nasze łóżko małżeńskie.

I tak się stało, że ten dół przez wiele dni i nocy był naszą wspólną izbą i naszym łóżkiem małżeńskim, i że w tym dole na sianie, pod gwiazdami, daliśmy życie naszemu synowi, naszemu dziecku jedyńemu. Postąpiliśmy jak chamy, jak dzikusy nieokrzesane, jak zbłąkane psy... albo może jak biedne, wyrzucone dzieci, które z miłości wyrządziły sobie krzywdę.

Wstydzilem się, że to nasze dziecko powstało w rowie, na gołej ziemi, ale próbowałem nie dawać się wstydowni; rzucałem się na niego zażarcie i myślałem sobie w duszy, że nie tylko na łózkach, nie tylko na siennikach i piernatach płożone są dzieci. Nie wszyscy, kórzy chodzą po tej ziemi, zostali stworzeni na prześcieradłach. Jest spora ilość tych łózkowych, tych prześcieradłowych, ale i wielu jest takich, którzy zostali spłodzeni gdzie indziej, wielu jest innego łęgu.

Do pięknych pokoi wchodzi, ale i do różnych dziur się wciskają, w różnych miejscach Wadą się ludzie, żeby się potem rodziły dzieci — na łózkach, na gołej ziemi, na snopach, na wozach, w polach, izbach, sieniach, w dolach, na śmieciach, pod dachem i pod gwiazdami, tam gdzie pachnie i tam gdzie śmierdzi mnożą się ludzie.

Przybiegła pod to stare, stojące samotnie drzewo, skąd zwykle wyruszaliśmy wspólnie do Ślepego Rowu. Stała przede mną

z pokudłanymi, zmotanymi włosami, oczy miała zaczerwienione, ale suche, oddychała szybko. Nagle zaczęła się klepać po brzuchu i wykrzykiwać — będę miała dziecko, będę miała dziecko!...

Czy z tym nowym życiem w sobie i z tymi okrzykami przybiegła jak ze szczęściem, czy jak z nieszczęściem? Tak to było w niej poplątane, zmieszane, że raz mogło się zdawać, że wychwala swój brzuch, bo jest zadowolona ze swojej ciąży, a także ciekawa tego drugiego życia, które w niej powstaje, i w swoim zadowoleniu nie boi się nikogo, i wystawia się bezwstydnie na cały świat z tym nowym życiem w sobie niby jaki mocarz.

A raz znów. mogło się zdawać, że to drugie życie w sobie uważa za nieszczęście i że z nieszczęścia te wykrzykiwania, a te poklepywania z nienawiści do własnego, ciężarnego brzucha.

To spadło na nas nagle, bośmy się nie zastanawiali, do czego może nas zaprowadzić ten Ślepy Rów; i myśleliśmy, że zawsze będzie on tym samym Ślepym Rowem dla powtarzania jednych i tych samych zaślubin i że nigdy w tym rowie nie wypowiemy słowa — dziecko.

Dlatego ja także, gdy przybiegła do mnie z tą wiadomością, nie wiedziałem, czy mam się drzeć z radości na cały głos, że będę ojcem, i pysznić się tym swoim przyszłym ojcostwem, czy mając przed sobą tę całą budowę, to błoto rzygające za każdym krokiem i to nasze dobrowolne wygnanie się ze wsi, i to życie nasze — skulić się i skomleć.

Wprowadziłem ją do Ślepego Rowu już uspokojoną, ale smutną; położyliśmy się na sianie, nadchodziła noc ^ pogodna, wysoka aż po same gwiazdy. Włożyłem rękę pod jej suknię, dogrzeba- łem się do brzucha, był ciepły, spocony, napięta skóra unosiła się miarowo pod jej już spokojnymi oddechami. Wiele razy tak dłoń trzymałem, ale przedtem było inaczej, teraz trzymałem rękę na naszym dziecku, które cicho spało pod tą napiętą, spoconą skórą.

Jest jeszcze czas, można je wyrzucić, można je wyszarpać i wyrzucić; robi się tak często-gęsto na tym świecie i na tej równinie także. Jest taka izdebka o dobrze zasłoniętych oknach i dobrze zamkniętych drzwiach, gdzie się to odbywa.

A robi się to dla świętego spokoju wiejskich matek i ojców, dla utrzymania porządku i utrzymania tego ładu, według które

go dopiero po legalnym ślubie ludzie mogą mnożyć się jak króliki.

Co robić z tym zatajonym w niej pod napiętą, spoconą skórą winowajcą, jak go osądzić i jaki na niego wydać wyrok? Wiele zawinił, bo zgłasza się wtedy, gdy nikt go nie potrzebuje; przychodzi, gdy budowa się rozszalała, a szalona budowa nie potrzebuje rodziny, odrzuca starych i odrzuca dzieci.

Szalona budowa lubi tylko młodych i zdrowych, takich, którzy mogą pociągnąć robotę. Niech przeklinają, ale niech ciągną robotę, niech piją wodę z flachy, ale niech ciągną robotę, niech się kłują nożami, ale niech ciągną robotę; wszystko, co dobre i co złe, dla szalonej budowy.

Ładne słowa, głaskanie główek dzieci, wszelkie cackanie się, wszelkie mazanie i roztkliwianie się, a także ożenki i płodzenia szalona budowa, niby chlebojad i zupojad kiełbasę, odrzuca w przyszłość, aż do zbudowania miasta i fabryki; bo nie może być tego i tego — i szalonej budowy, i cackania się, i głaskania główek dzieci. Albo jedno, albo drugie, tych dwóch rzeczy się nie pogodzi, tak jak nie pogodzi się ognia z wodą. Musi się wybrać jedno — albo dziecko, albo szaloną budowę.

W tym Ślepym Rowie jak na sądzie powinniśmy rozstrzygnąć, czy ma nas być dwoje, czy troje. Warunki na budowie przemawiają za dwójką, bo mieszkamy w barakach, ona w żeńskim, ja w męskim, jemy w stołówce, nie zawsze w ciepłej wodzie się myjemy, pracę mamy ciężką, nieraz trzeba na gołej ziemi prześle- czeć cały dzień, bo brygadzysta, majster, inżynier syczą niby złe gęsi, że plan napięty, że betoniarze wołają o rów — te wściekłe bestie, które biją fundamenty, wciąż łakną rowu niby głodny chleba.

Budowa, która cię żywi, odziewa i daje spanie na piętrowym łóżku, i daje zarobek, która sprawiła, że mogłeś się wygnąć ze wsi i mogła być zachowana odpowiednia ilość ludzi w twoim domu, która ci obiecuje miasto i dobre życie, która cię karmi nieustannie tą śpiewką — przepłyniesz swoją rzekę przeinaczony, staniesz na drugim brzegu z pańską miną i grubym portfelem, ta budowa, która się rozszalała, doradza ci, że na dziecko i ślub za wcześniej.

Na wieś nie możesz się oglądać, bo się ze wsi wyгнаłeś; wrócisz

do niej, żeby się jej pokazać tylko wtedy, gdy szalona budowa odpowiednio wypcha twój portfel i ofiaruje ci wreszcie pańską minę.

Helena także nie. może wrócić do wsi, bo co - by powiedziała jej matka i ludzie. Wieś nie znosi zaokrąglonego brzucha u dziewczyny, wieś stoi jakby na czatach i przygląda się dziewczynom, patrzy, jak idą, jak się chwieją, jak się zginają i jak siadają, bo chce w ich postaciach i ruchach przyłapać to nielegalne dziecko, żeby później krzyczeć, złorzeczyć, załamywać ręce i płakać.

Przygląda się także dokładnie młodym mężatkom, patrzy, jak idą, jak się chwieją, jak się zginają i siadają, bo chce w ich postaciach i ruchach przyłapać jałowość ich ciał, żeby później krzyczeć, przeklinać, złorzeczyć, załamywać ręce i płakać.

To, że nie można wrócić do wsi, także doradza, żeby pójść do tej małej, zatajonej izdebki o dobrze zaryglowanych drzwiach i szczelnie zasłoniętych oknach, gdzie usuwa się niepożądane ciąży. Mądrzy chłopcy, którzy nie chcą być ojcami, bo chcą się przedtem należycie obsprawić, stoją w sadzie i nasłuchują jęku swoich dziewczyn, które cierpią; ten jęk wprowadza chłopców z budowy w wolny, kawalerski stan i w swobodne dorabianie się życia pięknie wymarzonego. -

Nie ma jeszcze miejsca na świecie dla tego dziecka, które się w niej rozpoczyna, i niewiele tu może pomóc myśl, która natrętnie pcha się w te moje rozważania i rozstrząsania, w ten sąd nad tym śladzikiem człowieka, skazanym przeze mnie na śmierć, jeśli można uśmiercić to, co jeszcze nie zaczęło żyć, a może już zaczęło... myśl o takiej pogodnej i ciepłej niedzieli przyszłości, kiedy pójdziemy na daleki spacer w trójkę, to znaczy z tym dzieckiem, które teraz w niej powstaje.

Ten niedzielny obrazek ojca, matki i syna albo córki idących w zadowoleniu ulicami nowego miasta, a potem polami i łąkami był za utrzymaniem życia w niej zaczętego. Ta słoneczna niedziela przyszłości to był jakby adwokat trzymający stronę tej znikomości, która chce nam wszystko zburzyć, rozwalić cały porządek dochodzenia do życia pięknie wymyślonego.

Leżę obok milczącej Heleny i tak jak ona patrzę w gwiazdy, po raz pierwszy w tym Ślepym Rowie oboje tak długo patrzymy w gwiazdy, po raz pierwszy tak długo nie mam pod sobą jej oczu

i twarzy, i po raz pierwszy medalik nie wplątuje się nam między wargi.

Co pewien czas jakaś gwiazda leci w dół, a gdy spadnie gwiazda, umrze człowiek, niekiedy spadają dwie naraz. Helena nic nie mówi, słucha w milczeniu, gdy jej opowiadam o tej małej dokładnie zamkniętej izdebce, w której kilka jęków usuwa wszystkie kłopoty.

Znów spadła gwiazda, ale Helena się jej sprzeciwiła i powiedziała spokojnie, że to dziecko powinno żyć; tak jakby nie mieszkała i nie pracowała na tej szalonej równinie, tak jakby była ślepa i głucha.

Ślub nie może wchodzić w grę, a jeśli ślubu nie będzie, jaką nazwę jej dadzą, między jakimi nazwami się znajdzie — na wsi będzie suką, a w dużym mieście kurwą.

Pojedziesz na wieś, przestąpisz próg rodzinnego domu, wtoczysz się do izby z wypiętym brzuchem i przechylona do tyłu. — Witaj, suko — zawoła matka — witaj, suko — zawoła ojciec.

Co im odpowiesz? Że nosisz w sobie dziecko miłości, że ci nie zależy na sąsiadach ani na księdzu, na niczym, że ci jest wszystko jedno.

Usłyszysz wtedy — nie obrażaj Boga, suko... Na końcu każdego zdania'— suko... na końcu każdej myśli — suko... w każdym zakątku — suko...

A mieszkańcy dużego miasta o takiej mówią — kurwa. Możesz się walić po sercu i przysięgać, że jest to dziecko miłości, możesz się buntować i przeklinać, mogą ja walić w mordę, mogą dźgać sprężynowcem na lewo i prawo — nie zabijemy tych słów.

Znów spadła gwiazda i Helena znów się jej sprzeciwiła i powiedziała, że nie powinno się zabijać tego dziecka.

Mówiła tak, jakby żyła na bezludnej wyspie, a nie między tą zgrają przybłądów, jakby ją życie nie zagnało na tę piekielną równinę, gdzie nim zbuduje się miasto, powinno się żyć bez żon, bez mężów, bez matek i ojców, bez dzieci, gdzie najlepiej nadałby się zakon ślubujący budowie.

Ma ta szalona, budowa swoich zakonników. Są tu nawet dwa zakony.

Chlebojady i zupo jady to jedno bractwo. Są tu oni niby zakon pokutników, ale pokutują nie za to, co nabroili w przeszłości, nie

za codziennie żarte obiady, bo takich nie pożerali, nie za ciepłe miękkie łóżka w wygodnych mieszkaniach, bo przecież w takich nie sypiali, nie za chleb z kiełbasą, salcesonem i wędzoną rybą, jedzony nim tu przyszli, bo żarcie chleba obłożonego wędliną odkładali niby przyjemną rozpustę na przyszłe dni, a na razie pozostawali przy chlebie suchym, chyba tylko takim samym chlebem obkładanym.

Są więc na pokucie za to, co „nabroją” w przyszłości, gdy zarobią dużo pieniędzy, za przyszłe .spanie w ciepłych, wygodnych łóżkach, za obżeranie się chlebem z wędliną, za mycie się w ciepłej wodzie i za chodzenie w niedzielę w bielutkich, czystych koszulach.

A drugi ten jakby zakon składa się z samych młodych, którzy są przez szaloną budowę najbardziej ze wszystkich kochani, bo są wśród nich tacy dziwni, którzy dobrowolnie idą tam, gdzie jest najtrudniej, gdzie zepsuły się maszyny i trzeba je zastąpić rękami; i nie dadzą się prędko zegnać z roboty, bo to są tacy dziwacy, którym nie* tyle pieniędzy pachnie, ile sama robota, sam widok tego, co robią.

Dziś nie ma już tych dwóch zakonów, nigdzie, na żadnej budowie nie uświadczy się takiego zakonnika.

Ci przynależni do bractwa chlebojadów i zupo jadów, żyjąc z własnej woli na голуśkim chlebie i zupie albo zapracowali się na śmierć, albo zdążyli dopłynąć raz na zawsze do kromki chleba obłożonej wędliną, niby do upragnionego brzegu, i tym samym porzucili zakon.

Nie ma już tego zakonu zaprzysięgłego wielkiej budowie w imię dośnięcia kromki chleba obłożonej kiełbasą — przez nich samych wielką siłą woli odrzuconej w przyszłość, nieraz aż w pobliże granicy życia, nieraz bezwiednie aż poza tę granicę. Może w jakichś miejscach płaczą się jeszcze jego niedobitki ale kto je dojrzy...

Nie ma już i tego drugiego zakonu, zakonu złożonego z dziwnych, zawziętych młodych ludzi, noszących znak ZMP, którzy zaprzysięgli wielkiej budowie w imię jej samej, żeby miasto i fabryka były szybko zbudowane, i koniec. Co jedzą i piją teraz i co będą potem jeść i pić, gdzie śpią i jak mieszkają teraz, i jak będą mieszkać potem, to ich nie obchodziło; do niczego nie dokładali,

nie dołączali wielkiej budowy, tylko do niej samej, tak jakby ta wielka szalona budowa była w środku pustego świata, jakby się wokół niej rozpostarła cisza i pustka.

To był „zakon” młodzików zakochanych w ciężkiej i szybkiej robocie.

Coś się stało i dziś nie ma już takiej miłości... Na kim teraz oprze się wielka budowa, gdy rozpadły się te dwa zakony, które ją ciągnęły. Nie ma ona już swoich zagorzałych „zakonników”, wymarli albo żyją wystudzeni, albo może nadgnici.

I nas, i naszą paczkę z odcinka robót ziemnych zagarniały te „zakony”, bo choć jedliśmy chleb z wędliną, ale mieliśmy dusze chlebojadów i zupojadów, a Młodziutki był jakby w tych dwóch „zakonach” naraz, bo rozżęskniony za dobrodziejstwami przyszłości przyozdobił się znakiem ZMP, czyli znakiem drugiego „zakonu”.

A ja w tym czasie byłem chlebojadem i zupojadem najokrutniejszym, bo namawiałem Helenę, żeby poszła do tej małej, zatajonej izdebki, gdzie sprytna kobieta usifwa ciężę dziewczyn. Miałem duszę okrutnie rozżęsknioną za tym, co sobie obiecałem dać w przyszłości, i gotów byłem wiele poświęcić dla należytego zbudowania sobie dni przyszłych, i gotów byłem nawet zabić dziecko miłości.

Leżymy na wznak w Ślepym Rowie i patrzymy w gwiazdy. Ona wciąż powtarza — nie wolno zabić tego dziecka — bezmyślnie, bez żadnego zastanowienia, bez liczenia się z tym, jak żyjemy, skąd przyszliśmy i dokąd idziemy... Jak nakręcona katarynka — nie wolno zabić tego dziecka...

Wsunęła swoją rękę pod suknię, doszukała się mojej dłoni, którą trzymałem na jej* brzuchu, położyła swoją dłoń na mojej i znów powtórzyła — nie wolno zabić tego dziecka...

A te jej słowa były jak prośba, jak zakłęcie, które miało mnie ubłagać i przestraszyć zarazem. Potem szybko swoją dłoń wysunęła spod sukni i nie mogąc się zatrzymać w tym powtarzaniu, znów powiedziała — nie wolno zabić tego dziecka... A to było niby cichy krzyk, niby bunt, niby rozkaz.

Ale natrafiła na okrutną i upartą duszę chlebojada i zupojada, który jej odpowiedział — nie poradzimy sobie. Milczała, odczułem, że zbrzydziły ją moje słowa.

Rozdział XI

Milczeliśmy oboje i naraz, nie wiadomo skąd — czy spod gwiazd, czy | tego olszynowego zagajnika, czy spod ziemi, nie wiadomo skąd doleciał głos — wyłaż, braciszku, policzymy się.

Był to głos Rumianego. Chwyciłem nóż. Bałem się, ale co innego można było zrobić.

Matka, ojciec, wszyscy moi domownicy i sąsiedzi, wszystko, co było we wsi, podeszło do mnie w jednej sekundzie i nagle zo- krutniało i doradzało mi — teraz już nie ma innej rady, musisz wybrać dobry punkt, w który uderzysz, najlepiej zrobisz, gdy będziesz mierzył w któreś miejsce we wgłębionym pasie podże- brza. Zaszedłeś już tak daleko, że musisz się nie tylko bić, ale musisz się starać zabić. Nie usłuchałeś naszych wcześniejszych rad i teraz musisz już chcieć zabić, bo co innego zrobisz, chyba zostawisz dziewczynę i uciekniesz, a na to nawet ja, twoja matula, nawet ja, twoja siostra ciężarna, nawet ja, twój dziadek, nawet ja, najstarsza kobieta we wsi — nie zgodzimy się. Myślałeś, że samo posiadanie sprężynowca uchroni cię, że pomoże ci sama modlitwa do noża: sprężynowy nożu, strózu mój...

Wyłaż już, wyłaż, chłopcze, bo dziewczyna krzyczy, a on czeka ze swoim sprężynowcem. Dwa ostrza już odbiły, wyłaż... Na wszelki wypadek pożegnaj się ze swoimi dalekimi bliskimi, spójrz na nas po raz ostatni przed wyjściem z dołu, a potem już nie za- przątaj sobie nami głowy i myśl tylko o zabiciu Rumianego... wyłaż już, wyłaż, bo dziewczyna krzyczy i piszczy, a on czeka na brzegu i potrząsa swoim sprężynowcem, i wola cię.

Przebiegłem rów wzdłuż, wyskoczyłem na brzeg już bez nikogo w myśli, odepchnąłem Helenę, która wybiegła do przodu i za- przesunął się nagle gdzieś bardzo daleko, na sam koniec świa-

Przychyliłem się jak trzeba, lewą ręką tak trzepnę w prawe, uzbrojone ramię Rumianego, że minie mnie jego sprężynowiec, a prawą, którą na razie nam opuszczoną i niby luźnie wiszącą? spoczywającą, wparuję mu nóż pod żebra... i niech go zaleje krew.

Ale nie zalała go krew i nie wparowałem mu noża pod żebra, bonim zbliżyłem się do niego, Rumiany stojąc pod widnym niebem i mamrocząc przekleństwa wyciągnął obie ręce niby dwie gałęzie, a potem bulgotając wciąż przekleństwa wykonał niezgrabny obrót i przeharatał swoim sprężynowcem kawał powietrza, a potem nogi się pod rrim ugięły i trzasnął sobą o ziemię, i leżąc twarzą do ziemi, wbulgotywał w nią brzydkie słowa.

Zrozumiałem, że jest mocno pijany, podszedłem do niego, ale Helena zaczęła płakać i odciągać mnie. Wsunęliśmy się w olszynowy zagajnik. Dopiero między drzewami przycisnąłem guzik sprężynowca i ostrze skoczyło na swoje miejsce, a potem rogiem chustki, którą miała na szyi, otarłem jej oczy.

Po drugiej stronie zagajnika był pas suchej trawy, tam usiedliśmy, żeby pomyśleć, co się stało i co się może stać, ale zamiast myśleć i mówić o tym, jak należy postąpić po zejściu z Rumianym, dotknąłem delikatnie jej ramię, potem delikatnie ułożyłem ją na trawie twarzą do nieba i nic nie mówiąc, powtórzyliśmy te nasze zaślubiny. Skrzepiliśmy się kochaniem, ale byliśmy smutni. Szybko odprowadziłem ją do baraku. Chciałem być sam. . Wiedziałem, dlaczego chciałem być sam. Nie po to, żeby wrócić do swojego baraku, wdrapać się na łóżko i próbować spać, ale po to, żeby szybko wrócić tam, gdzie Ślepy Rów, bo mi się nagle wwierciła w głowę taka jedna myśl, tylko dla mnie samego, nie do podzielenia się z nikim, nawet z robaczkiem malutkim, tylko do podzielenia ze mną samym, najtajniejszym — myśl, że nadarza się okazja, żeby wyprostować sobie drogę życia, a jeśli już zupełnie nie wyprostować, to uczynić ją .mniej pozakręcaną.

Uczynić mniej pozakręcaną, to znaczy uwolnić się od tego cienia, który wciąż snuje się za mną, i uwolnić się od tej męczącej gotowości chwycenia za sprężynowiec, i od tego męczącego sprawdzania ziemi i powietrza wokół siebie; i żeby można sprężynowym nożem uciąć gałązkę z wierzby i zrobić z niej fajarkę, i swobodnie kroić nim chleb i kiełbasę, i żeby szpicem sprężynowca, gdy zajdzie potrzeba, a taka potrzeba często zachodzi, wyskrobywać ziemię zza paznokci, i żeby można robić to z uspokojonym duchem.

Ale na to jest tylko jeden jedyny sposób, który mi nagle został podsunęty przez świetną okazję, która może się już nigdy więcej nie zdarzyć. Nagle strasznie wyraźnie zrozumiałem, że mój sprężynowiec nie może być na służbie fajarek, chleba i paznokci, zanim go nie umoczę we krwi, i to jest ta zapłata, jaką muszę dać, żeby sprężynowy nóż był do przyjemnych rzeczy i żebym ja zaznał spokojnych chwil.

Szedłem szybko krótszymi ścieżkami, przemykałem się ciemnym pasem ziemi, poza obrębem światła rzuconego na plac budowy przez silne, wysoko powieszzone i w dół skierowane lampy.

Pod tymi lampami budowa wyglądała jak dziwny, niepojęty świat, który wydobył się spod tej wielkiej równiny i zaraz się schowa. Domy nie były jeszcze obrzucone tynkiem i gdy się na nie patrzyło z daleka, zbijały się w jedną masę, w taką jakby nierówną, zębatą górkę, oblaną czymś czerwonym, czymś krwistym. Przedtem, gdy zaczęły wychodzić dopiero spod ziemi, wyglądały z daleka nie jak krwista górką, ale jak coś krwiste rozlane.

Szedłem szybko, budowę miałem za plecami, musiałem zrobić ostry zakręt, żeby obejść grząskie wgłębienie, i znów miałem przed sobą budowę, dźwigi siedziały na placach niby jakieś ogromne nożaste owady, jakieś większe od drzew i domów dziwaczne komary z opuszczonymi w dół żądlami. Najwięcej ich przy tych czerwonych domach, przy tych jakby górach zakrzepłej krwi pierwszej dzielnicy miasta. Ziemia w moich oczach kołysała się niby okręt i światła pchały ją raz w tę, raz w drugą stronę.

Za brzegiem tego okrętu były ciemne pasy ziemi, dobre dla króla psów, dla tego garbusa przemienionego w psa i dla jego zajadłej sfory; dobre dla szukających miejsca na miłość, dla obmyślających pięknie przyszłe życie i dla wisielców.

Tu w'każdą noc coś się dzieje, dochodzą stąd różne głosy — znaki, a nie słowa, bo słowa mogą zdradzić. W tych głosach-znakach najczęściej urywanych świstów, które mogą znaczyć — jestem tu, idę do ciebie, dziewczyno, idę do ciebie, kumplu, przyjechałem z kraju świata, spać nie mogę, bo pokochałem dziewczynę. Te

głosy-znaki mogą mówić, że za chwilę ktoś się ucieszy, że za chwilę ktoś się przeniesie do Bozi.

A ile rzeczy dzieje się w tych zaroślach bez wyraźnych głosów- -znaków, bo tylko w jakiejś najcichszej zadyszce albo w zupełnej cichości majstrują tam młodzi niepotrzebne, przez nikogo nie oczekiwane, jeszcze nie narodzone, a już znieawidzone dzieciątko i później w takiej samej zadyszce albo w zupełnej cichości to dzieciątko duszą.

Przez chwilę miałem przed sobą tylko pierwszą dzielnicę miasta, które już dobrze wyszło nad ziemię. Teraz już można wybrać sobie mieszkanie, nie naprawdę, ale dla zabawy; bo myśmy się czasem bawili jak dzieci i nagle ni stąd, ni zowąd prostowaliśmy się, i potem opierali na łopatach, i patrzyliśmy na te domy, na same mury i na ślepe dziury w murach, i nagle któryś mówił — widzicie te dwa okna, ja tam będę mieszkał; a drugi wybrał sobie jakieś inne ślepe otwory w ścianie i chwalił się — tam są moje okna; a nawet dziecinnie się pytał — widzicie mnie w nich? — Tak jakby się rozdziwił i był w jednej chwili wkopany w ziemię i za szybami, których jeszcze nie ma.

Czasem dwóch chciało te same okna, to znaczy te ślepe dziury w murze, i każdy z nich chciał udowodnić, że wybrał je sobie wcześniej i nawet przy tym dochodziło do kłótni

Młodziutki rozpoczął tę dziecinną zabawę w wybieranie sobie okien i pierwszy sobie wybrał, bo on najlepiej z wszystkich umiał się rozdziwić i zrobić z siebie jednocześnie teraźniejszego i przyszłego, a nawet tak umiał mówić i tak się zmienić na twarzy i w oczach, że bardziej był przyszły niż teraźniejszy, i kogo jak kogo, ale jego widzieliśmy w tych ślepych otworach jak w prawdziwych elegancko oszklonych oknach.

Ja także miałem swoje okna, wychodziły na łagodny, ledwie się zaznaczający i nie psujący równinności tej doliny spad ziemi, gdzie nie pójdzie budowa, bo tam zasadzi się drzewa i zrobi park.

Sam umiałem pięknie myśleć o przyszłości, ale Młodziutki jeszcze bardziej mnie podciągnął w marzeniu i na dobre zamieszkałem w golutkich murach jak w eleganckim, szykownym mieszkaniu. Widziałem w nim siebie, Helenę i nasze dzieci. Widziałem nas stąd wyjeżdżających do rodzinnej wsi, aby przepłynąć naszą rzekę w szczęściu, i widziałem nas wracających, wchodzących po

schodach i ze schodów schodzących, i stąpających cichym chodem po dywanach, bo w mieszkaniu eleganckim jest cichy chód, a w domu wiejskim chód głośny.

Przez wiejską izbę, w której jest podłoga, idziesz głośno, słyhać cię jak konia, a w eleganckim mieszkaniu idziesz cicho jak ptaszek. Tam jest koński chód, a tu będzie ptasi chodzik.

Gdy przenieśliśmy się sami albo Młodziutki nas przeniósł do przyszłości, to nam się zdawało, że chodzimy lekko, lżej nawet niż ci z dziada pradziada stąpający panowie, że zgrabnie przebieramy nogami i stąpamy lekko i cicho niby szczygiełki.

Rozdział XII

Cichym, ptasim, szczygiełkowym chodem zbliżyłem się do Ślepego Rowu. Rumiany leżał jeszcze, spał charkotliwym, bezpiecznym, prawdziwie pijackim snem; przy jego wyciągniętej ręce na- macałem otwarty sprężynowiec, zatrzasnąłem go i schowałem do swojej kieszeni.

Ale nim klęknąłem przy nim i nim schyliłem się, żeby się mu dobrze przypatrzeć, a jeszcze bardziej, gdy byłem na klęczkach i mogłem łatwo, tak łatwo jak pomacać trawę, na której klęczałem, albo wziąć do ręki leżącą w trawie grudkę ziemi, gdy mogłem tak łatwo uczynić mniej pozakręcaną moją drogę życia. Ło włącznie było trudno.

Gdy poruszył się i ułożył na boku i gdy przy tym ruchu zsunęła mu się marynarka aż do połowy piersi, i gdy było jeszcze dogodniej i jeszcze łatwiej, to tym samym zrobiło się jeszcze trudniej; i gdy tak leżał z rozmamłaną piersią i odsłoniętą szyją, i gdy mnie tą rozmamłaną piersią i gołą grdyką jakby prosił i mocno namawiał, żebym prostował moją drogę życia, póki czas, póki jest noc i on twardo śpi, żebym prostował bez obawy, bo na tej szalonej budowie nie sprawdza się dokładnie i nie przelicza ludzi. Ludzie znikają i wracają, znikają i nie wracają i nie ma żadnych alarmów z tego powodu; bywa, że po jakimś czasie znajdzie się kogoś w wodzie, pod krzakiem albo w ziemi napoczętego już przez robaki, znajdzie się i. nic wielkiego się nie dzieje.

Gdy on innie tak prosił tym swoim najdogodniejszym dla mnie leżeniem i gdy zdawało się, że jest najłatwiej, było najtrudniej. Łatwiej byłoby uczynić mniej pozakręcaną moją drogę życia i nie mieć już tego cienia, który się snuł za mną, gdyby on się przebudził, wstał i zaczął bluzgać przekleństwami, gdyby mi wygrażał i potrząsał sprężynowcem; no to ja klęczący i schylony nad nim jak nad podłogą kościoła w podniesienie, wiedząc, jak bardzo

trudno jest wyprostować swoją drogę życia, pragnąłem jego przekleństw i pogroźek, bo to by mi pomogło.

Było tak, jakby on mnie prosił i jakbym ja go prosił i żaden z nas nie chciał prośby wysłuchać.

Mój otwarty sprężynowiec wysłuchałby jego prośby, sprężynowiec rwał się do prostowania drogi mojego życia i prostowałby i ręka się rwała, i nawet ten mózg w głowie przyświadczał nożowi i ręce i podszeptował, że nadarzyła się dogodna okazja, która drugi raz może się nie zdarzyć. Ale to inne, które jest w człowieku, a którego nie umiem nazwać, bo to nie ma porządnej nazwy, nie dawało się nożowi i ręce, i nawet głowie.

Tó ono przywlekało bezwstydnie do ciebie klęczącego z nożem cały świat i kazało światu na ciebie patrzeć, a najbliżzej przysuwało do ciebie swoją wieś, twoich domowników i sprawiało, że ten cały świat z wystawioną do przodu swoją wsią i twoimi bliskimi na ciebie patrzył; i sprawiało, że wśród tych patrzących byłeś i ty, i ty także na siebie samego patrzyłeś; i sprawiało, że rozkolebały się miliony dzwonów, że usłyszałeś ogromne dzwonienie i że ty także byłeś przy sznurze dzwonu i sobie samemu dzwoniłeś na alarm.

Mając w uszach to wielkie dzwonienie, uniosłem się z tego trudnego przychylenia, z tego jakby pobożnego, ale jakby bardzo trudnego ukłonu danego wyprostowanej, łatwej drodze życia.

Później z tym samym dzwonieniem w uszach i głowie wstałem z klęczek, uspokoiłem nóż i rękę i odszedłem od Rumianego, który nadal spał. W miarę oddalania się od niego żalose, jęklive dzwonienie przemieniało się w szybką, wesołą muzykę; i już z tą wesołą muzyką w- sobie wyszedłem z gęstego olszynowego zagajnika i znalazłem się wśród pól, które naraz wydały mi się jedną wielką podłogą do tańca i zabawy, oświetloną na dalekich brzegach wysokimi lampami budowy.

Nie wiedziałem, że gdy nie wyprostuję przy Ślepym Rowie mojej ścieżki życia, że gdy się sprzeciwię nożowi i ręce, która' była z nim w zмовie, to zagra we mnie ta szybka muzyka i stanę się taki rześki i wesoły, że pola i noc uznam za wielki festyn i że zapragnę tańczyć na tym festynie. z Heleną 1 z tym dzieckiem w niej, że zapragnę cieszyć się z Heleną ciężarną i że pozakrę- caną drogę życia uznam za drogę łatwą.

Ale nie wiedziałem też, że to niedługo minie, bo już w tej godzinie przed świtem, gdy już jako tako mogłem przypatrzeć się nożom, minęło to rozweselenie i odstrzeliłem ostrza sprężynowców, i noże położyłem na dłoni. Leżały na niej niby dwa zdechłe piskorze albo niby dwa za długie wierzbowe liście; a gdy tak leżały i gdy się im bacznie przyglądałem, to ten jego wydał mi się większy i ostrzejszy. Nie był większy i ostrzejszy, ale takim mi się wydał, był na pewno z tego samego „sklepu” co i mój, ale zdawało mi się, że jest z innego, lepszego „sklepu”; był ten nóż z pewnością Maćkowego chowu, a zdawało mi się, że jest lepszego chowu.

Ale co to znaczyło, z jakiego jest „sklepu” i jakiego jest chowu, gdy był wystarczający dla swojego przeznaczenia.

Później wziąłem sprężynowce w dwie ręce i zacząłem przyciskać ich sprężyny, noże trzaskając zamykały się i otwierały na pewno jednakowo, a mnie się zdawało, że trzaskają różnie, że jego trzaska lepiej, że ostrze jego noża otwiera się szybciej i jest ruchliwsze.

Później tak ułożyłem otwarte sprężynowce, że ostrze jednego dotknęło ostrza drugiego, że noże się pocałowały; a gdy sprężynowce były w tym styku, tym pocałunku, to mi się także zdawało, że jego jest ostrzejszy, większy i ruchliwszy.

Rumiany wyśpi się na brzegu Ślepego Rowu, a potem się obudzi i wstanie, włoży rękę do kieszeni i nie znajdzie w niej swojego sprężynowca, zacznie go szukać, będzie wpatrywał się w ziemię i trawę, nie znajdzie go. No to co, żę go nie znajdzie, jeszcze tego samego dnia pójdzie do zmiętego Maćka i nabędzie nowy.

Maciek zaprowadzi go do stodoły, wygrzebie nóż zza strzechy i sprzeda Rumianemu, sprzeda mu nóż dla mojego serca, tak jak mnie sprzedał dla jego serca. A przedtem odbędzie może to nabożeństwo na cześć noży, których sprzedawanie pozwala mu nie tylko żyć, ale także zgłębiać życie, i może jeszcze wygłosi tę modlitwę do noża-aniola-stróża i koniec. Rumiany będzie już przy nowym sprężynowcu i znów będzie włókł się za mną cień, i znów będzie ta droga nie wyprostowana.

Gdzieś się podziało to moje rozweselenie i na powrót, z jeszcze większą siłą niż przedtem zapragnąłem prostować swoją drogę życia, póki czas, póki nie ma jeszcze porządnego świtu. Kto by pomyślał, że znów będę wracał do Ślepego Rowu, że

będę biegł, aby jak najszybciej się tam znaleźć i aby to jak najszybciej było już za mną. Już nic do mnie nie miało przystępu, wydarłem się z otoczenia wszelkich wymyślonych obrazów, wydobyłem się na zupełną wolność z wszystkich napomnień i już nie mogła mnie dognać moja rodzina ani moja wieś, ani te dzwony, które przedtem tak rozkolebały się we mnie; i już byłem uwolniony z wszelkiej kłótni we mnie, bo tak się stało, że ja, moja ręka i nóż związały się w jedno. Ale Rumianego nie było już na brzegu Ślepego Rowu.

Może nie powinienem mówić, że w ten sposób chciałem wyprostować swoją drogę życia, może powinienem się tego wstydzić; ale tak po prawdzie, gdyby ludziom można było zajrzeć do środka duszy, gdyby można ich zupełnie przeświecić i poodkrywać, to z pewnością u wielu natrafiłoby się na takie schowki w których jest przetrzymywana ochota prostowania swojego życia za pomocą czyjejś śmierci. Tylko do człowieka umarłego albo namalowanego na obrazie nie przychodzi nigdy ochota zabić drugiego, ale te schowki są szczelnie pozamykane ładnymi słowami, uśmiechami, tą całą codzienną mową.

Może także nie powinienem mówić, że ja i Helena zaślubiliśmy się w rowie, na sianie, i że w rowie, na ziemi przykrytej sianem, stworzyliśmy to nasze dziecko, ale myślę sobie, że w różnych miejscach kładą się ludzie, aby się potem rodziły dzieci. Dlaczego ziemia, dlaczego dół ma być gorszy od tych pachnących, miękkich łóżek, w których śpią i w których mnożą się bogaci; w gruncie rzeczy na jedno wychodzi — czy to jest na gołej ziemi, czy na łóżku, na snopach, na worach, na śmieciach, w polach, izbach, sieniach, pod dachem, pod gwiazdami, tam gdzie pachnie, tam gdzie śmierdzi.

Znów wlokłem się do baraku po nie przespanej nocy, miałem wiele nie przespanych nocy i każda z nich była iakby szkołą.

Nie przespana noc lepiej wypróbuje człowieka niż dzień; gdy nie śpisz w nocy, to znak, że albo z wielką siłą dążysz do czegoś, albo stoisz nad brzegiem przepaści.

Gdy przez całą noc nie zmrużyłeś oka, to znaczy, że miałeś sposobność dobrze samego siebie przetestować i naprawdę dowiedzieć się, czy nad ranem masz być z siebie zadowolony, czy masz się samego siebie brzydzić.

W nocy wyłazi z ciebie to, co w tobie prawdziwe, i wiesz lepiej niż w dzień, jak jest z tobą, i widzisz się tak, jakby na ciebie została rzucona nie ciemność, lecz jaskrawość.

Jakim byłem w jaskrawości tamtej nocy? Byłem rozdarty, bo ■ już życie — o życie, życie już życie wparowało mi w duszę dwa haki i ciągnęło ją nimi w dwie przeciwne strony, i rozdzierało ją na dwie połowy.

Gdy tu jechałem z tym chłopskim Bogiem udreńczonym, byłem cały jednaki; to, co przemyśli wałem, i to, co czułem i co mnie rozrzewniało, było z sobą dobrze sklezione; a teraz doszedłem już do takich dni, w których to, co wychodzi z przemyślenia, prowadzi mnie w inną stronę niż to, co jest z uczucia, z rozrzewnienia mojego.

Zostać na budowie — za to drze jeden hak, uciec z budowy — za to drze drugi hak.

Iść dalej pozakreślaną drogą życia, czy zniecka użyć sprężynowca i wyprostować ją sobie. Zostawić to dzieciątko, żeby dojrzało w niej, czy je z niej wyrwać przed czasem i dać na zatracenie. Czy ma się We mnie ostać ta muzyka pierwsza — przepłyniesz swoją rzekę przeinaczony, pobiegiesz na ten spęd wędrujących synków wsi i ustawisz się wraz z innymi na pokaz przed kościołem albo na festynie — czy ta muzyka ma grać we mnie, esy mam ją uciszyć?

Ziemia tego dnia nie była lekka, nie miała w sobie nic z tej ziemi branej lekko łopata, a właściwie'samą radością niby pianką, niby trociny, jak się to działo po naszych pierwszych nocnych zaślubinach.

Moja dziewczyna była niedaleko, krzątała się wśród desek, okrągłaków, gwoździ, młotków, wśród tej całej rupieciarni, która zawsze się wlecze za robotami ziemnymi. Ciągnąc wykop, śledziłem jej ruchy, były swobodne, zwinne, brzuch jeszcze nie zdradzał jej, był w granicach dozwolonych przez świat.

Stamtąd, gdzie stały domy pierwszej dzielnicy miasta, dochodził łoskot żelaza i krzyki ludzi, bo montowano nowy dźwig do podawania cegieł. Pamiętam, że właśnie wtedy, gdy ten dźwig stawiano i gdy strasznie łoskotało żelazo i przeraźliwie darli się ludzie, moja dziewczyna zbliżyła się do mnie i pod osłoną tego

łaskotu i wrzasku powiedziała ;— zrób tak, żebyśmy nie musieli zabijać tego dziecka — i zaraz te słowa poparła paroma łzami, które ukradkiert otarła, aby nikt me zauważył płaczu.

Tego dnia, w którym ustawiono ogromny dźwig przy murach pierwszej dzielnicy miasta, po raz pierwszy zapłakała Helena i zaraz zmiarkowałem, że był to płacz malutki z wierzchu, a ogromny w środku.

Tego dnia ziemia była prawdziwą ziemią i życie było prawdziwym życiem, bo zacząłem pojmować, że jednak trzeba wejść w jarzmo i pociągnąć swój wóz z tym, czym go sobie naładowałem.

A naładowałem go sobie miłością do dziewczyny, przedwczesnym dzieciątkiem, sprężynowcem Rumianego wycelowanym w moje serce, moim sprężynowcem wycelowanym w serce Rumianego i tą muzyką pierwszą, która kazała mi drzeć i drzeć ziemię, żeby się obsprawić i z łaciną gębusią przybyć na „targowicę” koło kościoła albo na błonie na festyn, na tę „targowicę”, na której poklepuje się, niby konie, synków wsi przybyłych z miast i niby koniom wystawia się im ceny.

Lustruje się ich od stóp do głów, a ludzkie oczy najłapczywiej wbijają się w ich kieszenie i w ich portfele. Chciałyby je prześwi- drować, żeby ujrzeć, ile w nich jest.

Stoją więc przed południem przy kościele, a po południu w miejscu zabawy wędrujący synkowie wsi, a stoją jakby tylko ich kieszenie, kryjące wielką tajemnicę wydzieraną i wydzieraną przemyślnymi oczami ludzi; i gdyby się udało wdrzeć pod słyszalną mowę wsi wysyłaj aęej swoich synków do dużych miast i na wielkie budowy, toby*się pod tą mową słyszalną, pod tym — idź, synku, idź, jedź, synku, jedź, i niech cię Bóg Ojciec i Matka Boża prowadzi — mogło napotkać spodnią, niesłyszalną mowę, tę nieszczęsną mowę wsi, płynącą niby rzeka podziemna — nieś, synku, w świat, nieś swoją kieszeń spłaszczoną i pustą, to płótno przy płótnie, i niech cię Bóg błogosławi, aby się ładnie zaokrą- , gliła i rozděła twoja kieszeń w tym świecie, do którego wyruszasz, niech z Bogiem wyrusza w świat twoja kieszeń, synku, i niech z Bogiem wraca rozděta, cielna zarobkiem.

— Zrób tak, żebyśmy nie musieli zabijać tego dziecka — po-

wiedziała Helena. Nie wiem, jak opisać to, co się ze mną działo, gdy mi te słowa powiedziała na budowie i gdy je wsparła łzami.

Myślę o tym, widzę w sobie tamtą chwilę, długi ciąg rowu, zwały brył, ziemię poprzebijaną drewnem i żelastwem, a w dali ten ogromny dźwig i próbuję siebie opisać w tamtej chwili, i mówię, że gdy mi to powiedziała, to tak jakby stanęła przy korbie czasu i podkreśliła ją szybciej, i zwała mi na grzbiet więcej lat, niż miałem, albo jakby zamknęła drzwi za moją młodością, albo jakby się wreszcie przebiła przez to wszystko, co sobie obmyśliłem, przez to marzenie ładniutkie o życiu spokojnym i statecznym i przez tę muzykę ponaglącą i wołającą mnie przemienionego, obsprawionego i zadowolonego na brzeg mojej rzeki, jakby się przebiła przez to wszystko do tego najgłębszego miejsca w człowieku, które jest nie tknięte przez żadne sprytnie zamysły, przez żadne chytryści, które jest czyste.

Oddalała się, szła do swoich drobnych czynności przy deskach, gwoździach, młotkach, okrągłakach, zbliżała się do Matki i Młodziutkiego, po chwili skręciła w bok i zniknęła za stosem wąskich, byle jak porzuconych desek szalunkowych.

Stałem po szyję w dole i patrzyłem na świat już nie tylko tymi dwoma oczami, które się ma pod czołem, ale jeszcze tym jakby trzecim, tym prawdziwie ludzkim, wyzwolonym okiem, któremu tak trudno się przebić do zobaczenia człowieka i świata, bo jest ono przytrzaśnięte, oślepięte tymi wszystkimi sprytami, chytrymi planami i zabiegami i tym całym zdyszczanym pędem, a właściwie przepychaniem się łokciami do dobrobytu, do porządnego śniadania i porządnego obiadu, i porządnej kolacji, do ubrania z wełny, do wygodnego mieszkania; i stało się tak, jakbym nagle zatrzymał się w biegu, aby się spokojnieprzypatrzeć światu i ludziom.

Na linii tego'mojego spokojnego, wyzwolonego oka stoi Matka, ta Matka z budowy, stoi i jest wyprostowana, a to znaczy, że spoczywa, że bierze w siebie duże łyki powietrza i wzmacnia się tym staniem, i szykuje się do przychylenia, a właściwie do serii przychyleń, bo ona teraz zbiera rożrzucone na ziemi stare deski szalunkowe, oddarte przez betoniarzy z fundamentu i przeniesione na nasz odcinek.

Matka stoi wyprostowana, to znaczy, że zażywa tego — można by powiedzieć — małego odpoczynku, tego w naszej pracy z różnych odpoczynków najlichszego, w którym człowiek ledwie przestaje pracować i ledwie zaczyna odpoczywać.

Wyliczając zdarzające się w naszej pracy odpoczynki, od tego mizernego postania przez chwilę trzeba zacząć. Ono wyrównuje człowiekowi kości, szkielet ze zwierzopodobnego zgięcia przechodzi w ludzkie wyprostowanie, człowiek z niuchania ziemi, z sapania, z nierównego łykania powietrza, rozwleczonego nad samą ziemią, z tego powietrza robaków, glist i kretów unosi się do powietrza ludzkiego, którego nie zre, a które spożywa po pańsku, po magnacku.

Ale robota mu przypomina, aby nie przekroczył granicy czasu, poza którą różaniec grzbietu mógłby zapomnieć, że był w ruchu i że zaraz ma być znów w ruchu, i poza którą krew mogłaby zapomnieć, że była we wrzeniu i że zaraz ma być znów we wrzeniu, bo to jest taki odpoczynek, w czasie którego człowiek tajemnie drży i cicho tyka niby motor, który przerwał na chwilę bieg maszyny, ale musi ją zaraz w bieg wprowadzić, czyli jest to odpoczynek na obrotach i przez to jakby zmieszany z pracą.

Trzeba tu jeszcze dodać, że to przelotne wyprostowanie ciała i podniesienie twarzy, i rozdziawienie gęby dla spożycia kilku, a może kilkunastu łyków powietrza z nieco wyższych sfer, że ten naj mizerniejszy z odpoczynków był najczęściej stosowany przez natrętnie tu raz po raz wspomnianych chlebojadów i zupojadów, bo chlebojad i zupojad to jest motor, który nigdy się na dobre nie ucisza, ale wciąż drży i tyka i wciąż jest niecierpliwy, bo wciąż pragnie, żeby mu jak najwięcej tej ziemi wydartej zaliczono. Szkielet chlebojada i zupojada jest z gatunku szkieletów, w których każda kosteczka jest rozpalona, a ciało chlebojada i zupojada jest z gatunku ciał, w których każde włókno jest naciągnięte niby cięciwa łuku; bo chlebojad i zupojad to jest łuk napięty; a krew chlebojada i zupojada jest z gatunku krwi, w której każda kropelka jest zagotowana; a to wszystko dla przyszłości rozpasanej, dla lubego grzechu przyszłości, to znaczy dla nażarcia się do syta, dla tego grzechu tak dzień po dniu, nieraz aż do grobowej deski uciekającego sprzed nosa.

Zdarzy się, jeśli ci na to pozwolą te tygrysy, te gończe psy budowy, betoniarze, że usiądziesz sobie na okrągłaku albo na kancie szalunku i to jest odpoczynek, który idzie zaraz po tym chwilowym wyprostowaniu kości i postaniu sobie; jest odpoczynkiem lepszym, ale bardziej niebezpiecznym, bo przy takim odpoczynku szkielet za bardzo się uspokaja, a i dusza chce sobie swobodnie podumać w czasie tego drugiego odpoczynku, czyli tak odpoczywając przygotowujesz sobie ból ponownego rozruchu/

W jeszcze większym stopniu na usypianiu kości i dumaniu duszy polega odpoczynek, przy którym siedzisz i plecy opierasz o byle co; dlatego ten trzeci odpoczynek jest jeszcze bardziej niebezpieczny niż drugi, bo przygotowuje ci on jeszcze większy ból rozruchu.

A jeśli chodzi o branie w siebie powietrza, to przy robocie je zresz, przy pierwszym odpoczynku spożywasz, przy drugim smakujesz, przy trzecim delektujesz się nim.

Odpoczynkiem szczególnego rodzaju jest odpoczynek ludzi pracujących łopata, ma on w sobie coś z zasypiania kości i coś z dumania duszy, ale w znacznie mniejszym stopniu niż trzeci, a nawet drugi. Polega on na tym, że górną albo dolną częścią brzucha — w zależności od tego, czyś duży, czy mały — opierasz się na łopacie, a właściwie na trzonku łopaty zakończonym przydatnym bardzo w tym wypadku poprzecznym trzymadłem. Wyglądasz wtedy jak przechylony i podparty pień.

Za najlepszy uważam odpoczynek w przerwie na drugie śniadanie. Sadowisz się, jak chcesz, i jesz, i wtedy ci się zdaje, że jesteś w domu i że budowa jest jedną wielką izbą, a my wszyscy w niej niby rodzina, niby ojcowie, matki, bracia i siostry. Ciało nie ma ochoty do zasypiania, bo ono całe, a nie tylko gęba, zajęte jest jedzeniem, bo to jest jedzenie w środku izby-budowy i na szczycie apetytu, a nie w restauracji, nie na niższych piętrach apetytu, gdzie tylko mamle gębusia.

Gdy mowa o tym odpoczynku, muszę znów z natrętnym uporem wrócić do zupojada i chlebojada, aby powiedzieć, że on nie odpoczywał w czasie przerwy śniadaniowej, bo on musiał wstydliwie kryć się z tą swoją suchą kromką chleba i z tą swoją przeźroczystą jak łąza herbata; i dlatego musiał być czujny, aby mu kto nie wydarł jego tajemnicy.

Ta chytra czujność i zawziętość w gonieniu niedościgłej przyszłości dodatkowo pożerała mu siły i nie pozwalała skorzystać należycie z żadnego rodzaju odpoczynku, nawet z tego najpierw wymienionego, lichego odpoczynku, stworzonego jak gdyby tylko dla chlebojadów i zupojadów, od których wspominając moją robotę, nie mogę się oderwać, bo mi się mocno wparowali w pamięć.

Rozdział XIII

Ale wracam do Matki, która właśnie zażywa przelotnego odpoczynku, wracam, aby powiedzieć, że mizernie wygląda i staje się coraz chudsza i bledsza ta pocieszycielka Młodziutkiego, a teraz pocieszycielka nas wszystkich, niby dobry ksiądz, niby dobry spowiednik parafii czwartego odcinka robót ziemnych. Bo to nasze życie z wierzchu, to znaczy robota, spanie i jedzenie, należało do brygadzysty, majstra, inżyniera, kierownika kwater robotniczych, a nasze życie tajemne, nasze życie grzeszne należało do tej Matki z budowy.

Wszyscy z wszystkim mogli do niej przyjść; mogłeś do niej przyjść i powiedzieć jej — mam go ochotę zabić, wparuję mu nóż w samo serce — a ona cię wysłuchała do końca, wszystkich twoich żalów, nieszczęść i chęci zabicia cierpliwie wysłuchała i powiedziała na ostatku —• nie zabijaj go — i tyś bracie, nie zabił i ostało się życie, może plugawe, może żyde niewarte życia, ale ostało się.

Mogłeś do niej przyjść i powiedzieć — skrzywdziłem dziewczynę niewinną, skrzywdziłem dziewicę czystą, Matko, zrobiłem dziecko czystej dziewicy, co począć z tym. dzieciątkiem ledwie tykającym w jej brzuchu, z tym zegareczkiem życia, co począć, Matko? Ona cię wysłuchała do końca i powiedziała — nie zabijaj, bo nie masz prawa zabijać.

Mogłeś do niej przyjść i powiedzieć — dusza moja płacze, Matko, dusza moja nie wie, co począć, dusza moja każe mi uciekać z budowy i wrócić tam, skąd przyszedłem — i ona cię wysłuchała do końca, wszystkich lamentów twojej duszy wysłuchała i powiedziała na końcu — nie wracaj, syneczku, nie wracaj, zostań tu, w tym błocie, syneczku, zostań.

Zwróciłem uwagę na tę niezwykłą Matkę już w wagonie, gdy jechałem na tę ogromną budowę, broniła wtedy przed Rumia-

nyra Młodziutkiego upitego i śpiącego w tym, co z siebie wybluz- gał; a potem przy wódce już na budowie słuchałem jej nieoczekiwanych słów — synkowie moi, pamiętajcie, żebyście sobie zawsze kupowali wszystko za swoje własne pieniądze, wódkę, piwo, portki, koszulę... za swoje własne pieniądze.

A potem przyglądałem się jej pracy, gdy brała i nosiła deski szalunkowe, ta praca dawała jej łóżko w hotelu robotniczym, kielich wódki, kawał kiełbasy i przyjemność użyczenia i brania przyjaźni, czyli właściwie wszystko, co na tym świecie jest najważniejsze.

Ale robi się nam coraz bledsza Matka czwartego odcinka robót ziemnych, ^obi się coraz chudszy ten spowiednik parafii czwartego odcinka robót ziemnych.

Gdy to mówię o Matce, to przeskakuję czas do przodu i opisuję tę chwilę, w której po słowach Heleny — zrób tak, żebyśmy nie musieli zabijać tego dziecka — i po jej odejściu do swoich zajęć i zniknięciu za dużą stertą okrągłaków i desek, stałem w rowie z wychyloną nad ziemię głową i przyglądałem się Matce wyprostowanej niby tyczka, Matce mizernej, zażywającej przelotnego odpoczynku. Do tego opisu dodaję trochę z dni późniejszych, a głównie dołączam to, co wyniosłem z późniejszej mojej rozmowy z Matką, z tej — można by powiedzieć — spowiedzi u wielkiego spowiednika parafii czwartego odcinka robót ziemnych.

Spowiedź ta odbyła się w tajnej bimbrowni, mieszczącej się w drewnitni, obok chlewika, w którym rechotały świnię.

Przyszedłem tam, aby wychylić garnuszek samogonu i pójść sobie, ale spotkałem tam Matkę, siedziała samotnie na pniaku w kącie szopy przy garnuszku księżycówki, postawionym na desce, siedziała jakby na uboczu gromadki pijanych i pogrążonych w pełnej szczęśliwości „dzieci” budowy z różnych odcinków robót.

Nie byłem pijakiem, ale lubiłem od czasu do czasu palnąć sobie szklaneczkę albo garnuszek wódki — dla marzenia, dla rzewnego przybliżenia do siebie swojej doliny, dla przybliżenia do siebie przyszłości, a oddalenia terażniejszości; i Matka nie była pijaczką, ale lubiła od czasu do czasu wypić z nami.

Nie było na budowie pijaków, to znaczy takich, którzy by się dali zniszczyć, stłamsić wódcę na amen. Nasze picie było inne.

Niekiedy zaraz po robocie, skądś, z jakiejś tęsknoty, z jakiegoś dziwnego rozrzewnienia, z innego niż zwykle popatrzenia na świat, z jakiegoś śpiewu albo kwilenia duszy narodziła się flacha. A gdy się narodziła, to wędrowała z rąk do rąk niby śliczna kurewka, ale myśmy jej nie całowali, bo umieliśmy z flachy pić bez mamla- nia szklanego cycka. Wlewaliśmy wódkę higienicznie, z góry do otwartych ust i patrzyliśmy w niebo rozciągnięte nad budową. Ale to nie było pijaństwo, to było piękne, szlachetne przeżycie.

A bywało i tak, że przed robotą majster, inżynier albo jaki działacz zaczął nas podbechtywać, żebyśmy wybrali ziemi ponad normę, i dla wzmocnienia tych słownych podbechtywań wbił czerwoną chorągiewkę w tym miejscu, do którego powinniśmy dojść z wykopem po przekroczeniu normy; ale brygadzysta był mądrzejszy i gdy naganiacze odeszli razem z tą wygodną deklamacją o ojczyźnie, zarządził składkę na litrową flachę, a gdy ona skądś, nie wiadomo skąd przybyła, zagrzebał ją w ziemi obok chorągiewki i powiedział spokojnie — wychylimy ją, gdy do niej pociągniemy rów; i rów szedł szybko do chorągiewki, i doszedł.

Dygotaliśmy ze zmęczenia i wycieraliśmy brudnymi chustkami pot z twarzy, i brudziliśmy te chustki jeszcze bardziej naszym brudnym potem, tak że nie mogły już tego brudu pomieścić, i odczuwaliśmy ojczyznę dla nas trudną, a dla naganiaczy łatwą; a brygadzysta wygrzebywał flachę; braliśmy ją na przemian w drżące, zeszywniałe od łopaty palce i piliśmy tym wyżej opisanym, higienicznym sposobem, ale to nie było pijaństwo, to było także piękne, szlachetne przeżycie.

Powiedziałem, że odczuwaliśmy ojczyznę dla nas trudną, a dla naganiaczy łatwą. Jeśli chodzi o tych, którzy namawiali nas do przekroczenia normy, to były ich różne rodzaje, byli tacy, którzy napędzali nas samym swoim przykładem, jak ten pierwszy, który przepracował z nami niejedną noc; takiego właściwie nie powinno się nazywać naganiaczem, lecz przyjacielem. Było sporo takich, którzy naganiali, napędzali ojczyzną; spacerował sobie taki po budowie z tą ojczyzną niby muzykant z trąbką i wygrywał — ojczyzna czeka, ojczyzna wzywa, ojczyzna daje, ojczyzna dużo da, wszystko dla ojczyzny.

Ten pierwszy, ten naganiacz samym sobą, wszystko mógł z nami zrobić, a ten drugi, ten naganiacz ojczyznę, złościł nas i nie

wiele u nas wskórał. Był i trzeci naganiacz, taki, który badał naszą wytrzymałość. Gdy zrobiliśmy więcej niż trzeba, on domagał się — zróbcie jeszcze więcej; gdy zrobiliśmy jeszcze więcej, on znów zróbcie jeszcze więcej; tak jakby robił na nas doświadczenie — ile wytrzymamy.

Podszedłem do Matki, usiadłem na grubym kawałku drewna, trzasnęliśmy się garnuszkami i wychyliliśmy sporo; i przyszła chwila pięknej rzewności, ale takiej, która nie odbiera trzeźwości, w której trzeźwość wchodzi jakby na wyższe piętra, aby mieć szerszy widok, w której dusza ludzka aż drży, aż kwiczy z ochoty, żeby się popaść razem z innymi duszami na zielonej łące przyjaźni. A tu jeszcze drewnutnia bosko wypiękniała pod małym światłem uwieszanej na ścianie latarki, młode świnię zaśpiewały ślicznie w przyległym chlewiku, a chłopakom tego pijącym w drugim rogu szopy i słyszającym ten „śpiew”, tę jakby orkiestrę piszczałkową, pociekła ślina ze szczęścia.

Byłem tak trzeźwy i miałem taki bystry wzrok, że przez szpary w ścianie drewnutni prawie widziałem człowieka-psy z jego wierną sforą, który sparzony światłami budowy przygnał aż w pobliże naszej drewnutni; widziałem, jak mi się tworzył na oczach i jak mi się nie mógł całkowicie stworzyć, bo gdy był o krok od pełnego stania się wyraźną postacią człowieka-psy, rozpływał się w szalonym biegu, rozpływał się w mgłę biegu razem ze swoją wierną sforą.

Byłem tak trzeźwy i miałem tak świetny słuch, że wśród „śpiewu” dochodzącego z chlewika i wśród głośnego prychania pijących, i wycia sfory psiego króla, usłyszałem wyraźnie niby bicie dzwonu, głos — chciałem go zabić, Matko.

Byłem tak trzeźwy i tak dokładny, że po usłyszeniu tego głosu zacząłem się zastanawiać, czyj głos usłyszałem, i doszedłem do wniosku, że to był mój własny głos.

A później usłyszałem — już byłem nad nim pochylony i już rękę miałem na nożu, bo chciałem nożem prostować drogę mojego życia— i to także był mój własny głos.

A potem znów w chlewiku „zaśpiewały” zwierzęta i o ścianę drewnutni otarł się niby silny wiatr orszak psiego króla, a ja znów usłyszałem głos — wolałem ja zgnoić faceta, niż żeby on mnie zgnoił — j. to także był mój własny głos.

A potem w tej grającej szopie ponad wszystkie pieśni, prychnania i kwiki, ponad wszystkie, samą tylko szczęśliwość, nic więcej nie oznaczające głosy „dzieci” budowy pijących bimbler z blaszanych garnuszków, wzbił się głos — ale go nie zabiłeś, synku i to już nie był mój, ale Matki głos.

A potem w tej drewnitni, w tym niebie rozspiewanym usłyszałem — nie zabiłem go, i to był mój własny głos.

A potem był wielki Matki głos — r nie zabijaj go, synku — i potem jeszcze raz ten sam głos Matki, pod którą zachwiał się pniak, pniak-konfesor — nie zabijaj go, synku.

Słyszałem potem siebie mówiącego w rogu tego małego nieba — skrzywdziłem dziewczynę i dziewczyna mnie skrzywdziła.

Chłopak do chłopaka powiedziałby brzydko — rozprułem dziewczynę, rozprułem dziewczę, ale ja miałem przed sobą Matkę, czyli tego wielkiego spowiednika parafii czwartego odcinka robót ziemnych, którego szanowaliśmy, i dlatego ja wyraziłem się — skrzywdziłem dziewczynę — a nie tak, jak się mówiło między chłopakami.

Trzeba tu jeszcze powiedzieć, że gdy to piękne miasto, które zbudowaliśmy, nie było jeszcze miastem, tylko ziemią, błotem, marzeniem, przekleństwem, kiedy było jeszcze przyszłością mieloną i mieloną, po stokroć imieloną w młynach rozrzewnienia i rozmarzenia, kiedy było dzikim wrzaskiem, chamstwem i świętością najdroższą, było wtedy tak samo niedobre dla czystych dziewcząt, dla dziewic, jak i teraz, gdy stało się rzeczywistością. Przyleciała taka niejedna dziewczuszka na budowę, wyrwała się spod oka matuli i spod skrzydeł wsi, wsi anioła-stróża, i nie czując na sobie bystrych oczu rodzicielki i całej wsi szybko i bez i-eszty oddała się budowie, to znaczy jakiejś modrookiej albo czarnookiej żywej części budowy.

Tu znów niby mucha natrętna przepycha się do -mnie chlebojad i zupojad — czy już z nim nigdy nie skończę — przepycha się do mnie, bo jeśli chodzi o te czyste dziewczuszki, to wielu dybało na nie, tylko prawdziwy, stuprocentowy chlebojad i zupojad nie dybał. Bo on wśród tych dobrych, smakowitych rzeczy odkładanych na potem umieszczał także igraszki z dziewczyną; bo prawdziwy zupojad i chlebojad jest cielesnie czysty, ale duszę

ma grzeszną, duszę ma zapaskudzoną myślą o rozpasańiu, które sobie kupi od czasu przyszłego za swoją pracę; o rozpasańiu, to znaczy o żarciu śniadań, obiadów i kolacji we własnym mieszkanku, przy stole nakrytym białym obrusem, o nocnych igraszkach z ciepłą żonką; bo prawdziwy, stuprocentowy chlebojad i zupojad bawi się myślą o lubych grzechach niby kot myszką; niby kot odkładający pożarcie tej myszki, zupojad i chlebojad przenosi w przyszłość tych lubych grzechów spełnienie, bo prawdziwy, z krwi i kości chlebojad i zupojad ma wyrafinowane podejście do życia, według którego należy zgodzić się na świętość w imię lubego grzechu przyszłego, w imię lubego'zarcia, w imię lubego pofiglowania z dziewczyną, bo on jest świętym dla grzechu, bo do jego lubego grzechu nie ma innej drogi, jak tylko ta, która prowadzi przez świętość.

Ale też jeśli chlebojadowi i zupojadowi uda się do „grzechu” dopłynąć, jego „grzech” będzie pełniejszy i piękniejszy od podobnych grzechów wielu innych ludzi, bo będzie zrodzony przez świętość.

Odszedłem trochę od tej mojej spowiedzi w bimbrowni, ale znów wracam i mówię, że zwierzyłem się Matce z moich z Heleną „zaślubin” w tym rowie-łóżku. Matka położyła swoją suchą dłoń na moim ramieniu i dała mi rozgrzeszenie, ale dała także pokutę. Za pokutę miałem troszczyć się o to jeszcze nie narodzone, a potem narodzone dziecko. Przyrzekłem też Matce, że będę się uczył i po skończeniu kursu odejdę z robót ziemnych i przeniosę się do murarki, przy której tak się nie naharuję, a więcej zarobię.

Mówiła trzymając wciąż tę swoją lekką jak motyl rękę na moim ramieniu — na mur, syneczku, na mur, już czas, abyś siedział na murze.

To wyjście na mur było drugim krokiem do przodu, jeśli za pierwszy uznać wyruszenie ze wsi na budowę i rozpoczęcie roboty przy wykopach. Co pewien czas ktoś po przejściu odpowiedniego przeszkolenia wyląził z rowu i szedł do bardziej fachowej roboty, najczęściej do murarki, ale także na dźwig, na ciężki samochód, do zawodu spawacza, ślusarza, a na jego miejsce w rowie przychodził nowy ze wsi, „nowy chytrusek albo nowy chle- bojadek i zupojadek, nowy kandydat do świetlanej przyszłości, do

przepłynięcia swojej rzeki w szczęściu. Nieśmiały a zawzięty, lękliwy a zażarty, chętny a nieufny, czasem dziecko prawie, które szybko urosło do sprężynowca.

Różne tu nadciągały dusze, różne dusze zaczynały od łopaty, ale łopata szybciej niż inne narzędzie przechodziła z rąk do rąk, kielnia już nie tak szybko, ale i kielnia przechodziła.

Z naszej brygady najpierw rzucił łopatę i wysmyknął się Młodziutki; to było do przewidzenia, bo on od samego początku do tego wysmyknięcia dążył.

Powiedziałem już, że Młodziutki miał w sobie sporo z chlebojada i zupojada i jak oni wielu rzeczy unikał i wiele rzeczy odkładał na potem. Kielbasy, ryby wędzonej, kromki z wędliną nie odkładał, ale już polowanie na dziewczuszki odkładał, unikał także ciągnącego się obrzeżem budowy pasa zarośli, gdzie działy się rzeczy groźne, tajemne i przez ojców i matki zabronione, gdzie — jak już mówiłem — używano niezwykłej mowy — znaków, znaków najkrótszych, gdzie od czasu do czasu facet faceta dźgnął nożem, gdzie — zdarzało się — płodzono niepotrzebne dzieci i gdzie te dzieciątka uśmiercano.

Wódki raczej unikał, wypił trochę, ale na szersze picie nie poszedł, choć przecież w pijanym widzie tu jechał.

Rozrzewnienie, które człowiekowi odbiera siły, odkładał ale marzenia nie, marzenia jako dokładnego widzenia swojej przyszłości, i w tym był prawdziwym zupojadem i chlebojadem, bo każdy taki żyje marzeniem, bo czuje się samotny i marzenie ma za najlepszego przyjaciela.

Młodziutki pierwszy opuścił naszą brygadę i poszedł na dźwig, stał się operatorem ogromnego dźwigu.

Jego mały biały łebek został włożony za szybę wysokiej klatki, obracał ramieniem ogromnej maszyny i podnosił nim betonowe belki, pojemniki z ceglami i prznosił je na mur.

Co można jeszcze powiedzieć o Młodziutkim, o tym niedużym, mizernym, z białym łebkiem Młodziutkim — że on rwał się do rzeczy wielkich, do wielkiej maszynerii, która zaczęła przychodzić na budowę. Powąchał trudnej, ręcznej roboty na wsi i na budowie i dlatego wielbił maszyny, które pracują za człowieka; nieraz puszczał wodze marzeniu o tych rzeczach i wymyślał różne ogromne maszyny, które wszystko zrobią za człowieka, nawet dom

postawią, nawet miasto zbudują; ruszą takie potwory i przyjdą na dolinę, ludzie ładnie ubrani siądą przy guzikach, naciśną jeden, drugi, a te potwory zaczną budować miasto, ludzie będą mieć bielutkie ręce, bo nie będą musieli rękami pracować.

Takie to widoki wymyślał Młodziutki i to nawet po trochu zaczęło się sprawdzać, bo gdy skończył kurs dla operatorów, poszedł na dźwig, wziął w swoje malutkie ręce lewarki i poczuł pod sobą ogromną maszynę.

Cieszył się bardzo tą pracą; gdy rano szedł do roboty, już w samym chodzie była ta uciecha, ale w tej pierwszej radości, w tym pierwszym szczęściu, które spotkało go na budowie, był jeden duży brak — że nie widzi go wieś, gdy on siedzi wysoko w tej klatce dźwigu.

Ale — wydaje mi się — że on sobie z tym jakoś radził, bo on był specem od przenoszenia myślą rzeczy z czasu do czasu i z miejsca na miejsce. No to on z pewnością przeniósł myślą tę swoją wieś znad dużej rzeki i ustawił ją naokoło dźwigu, i ludzi ze swojej wsi także obok tej ogromnej maszyny poustawiał i tak sprawił, że jego matula stanęła w najdogodniejszym miejscu dla ujrzenia oszklonej klatki, w której on siedzi; i dalej tak pokierował myślą, że widział siebie oglądanego i podziwianego niby księdza na kazalnicy.

A gdy ich tak swoją sztuką wymyślania i marzenia poustawiał, mówił do nich w sobie — to ja, to naprawdę ja, nie myślcie sobie, że to kto inny, bo to jestem ja, z waszej wsi, z naszej wsi nad dużą rzeką...

'Nastał czas stopniowego wychodzenia naszej paczki z rowu, bo wnet za Młodziutkim wygrzebał się z wykopu Korbas, ten Korbas, który znał się na ciesielce i trochę na stolarce. Poszedł do stolarni krytej, bo już był niemłody i bolały go kości, gdy siedział w ziemi; bo ziemia jak to ziemia, rodzi zboże, drzewa, różne piękne kwiatki, ale rodzi także reumatyzm.

Gdy się do niej przybliżasz i wgrzebujesz w nią, gdy chcesz się jej z bliska przyjrzeć albo gdy się położysz na ziemi i przytulisz do niej niby dziecko do matki, to ona wtedy daje ci na pamiątkę reumatyzm, żebyś o niej pamiętał.

Dostaje się i na wsi tę pamiątkę od ziemi, ale nie tak często jak przy ciągnięciu wykopów na budowie, bo na wsi masz ziemię

BJRUW JJVU UUGUU^ O W ŁUMC IIUTAE IUCIMĘ UUUKUIO OICUIC, BJRUU
głowa jest wolna.

Bywało — młody, a z reumatyzmem, z tą przedziwną chorobą- -skakanką, która po człowieku chodzi na oślepi, może ci ominąć stopy i kości w stawie stopowym, a złapie ci kolana, a czasem i kolana ci ominie, a odezwie się w krzyżu albo zachce się jej czego innego i polecą do łokci, szyi albo w dłonie, z reumatyzmem nigdy nic nie wiadomo.

Bywało — młody, silnie zbudowany, twarz ogorzała, oczy błyszczące, ruchy szybkie, gwałtowne, tak szybkie i gwałtowne, że niejednen człowiek wielkomejski i delikatny mógłby pomyśleć, patrząc na niego — zdrowy, groźny cham, zdrowy, groźny dzikus; albo — bandzior; albo — byk. A on ma już podarunek od ziemi-matki, tę ślepią skakankę, tę bolesną elektrykę, ten reumatyzm; i gdy na niego nie patrzy żadne ludzkie oko, tylko oko losu, ściąga spodnie i kalesony i naciera sobie , kolana ciepłym, śmierdzącym smarem i pojękuje cicho, i myśli sobie o tym, co mu dała budowa — że dała mu zarobek, mieszkanie, kromkę chleba z wędliną i że dała mu także reumatyzm na pamiątkę, żeby jej nie zapomniał, gdy na dolinę przyjdzie miasto.

A gdy to miasto przyszło, niejednemu siedzącemu w wysokim, ciepłym mieszkaniu przypomina się budowa tymi biegającymi, bolesnymi iskrami, które wprost z ziemi skoczyły do jego kości.

Rozdział XIV

Długo siedzieliśmy w tej tajnej bimbrowni i siedzielibyśmy dłużej, ale właściciel szopy szepnął nam znacząco — zmiatać, bo sadem przeszedł podejrzany gość. Nie było „przepróż”, musieliśmy pójść, rozeszliśmy się w różne strony, przez pewien czas szedłem z Matką, która wciąż wbijała mi do głowy tę dobrą pokutę, kazała mi patrzeć w dwa główne kierunki tej pokuty, to znaczy w dziecko i w mur.

Jeśli chodzi o darowanie życia temu dziecku, to otrzymałem już dwa silne nakazy, pierwszy wtedy, gdy Helena przysłała na brzeg wykopu ze słowami — zróbmy tak, żebyśmy nie musieli zabijać tego dziecka — gdy dogrzebała się do tego najbardziej ludzkiego, nie tkniętego i czystego miejsca we mnie, gdy otworzyła mi niby trzecie oko, oko patrzące sumieniem; a drugi był w tej dobrej pokucie, jaką otrzymałem po tej jakby spowiedzi i jakby rozgrzeszeniu w tajnej bimbrowni, a potem, gdy byłem już na murze, przyszedł trzeci nakaz — nasilniejszy.

Przez pewien czas szedłem z Matką, słuchałem, co mówiła, i patrzyłem w jej mizerną, podobną do zmiętego papieru twarz, a później pożegnaliśmy się, ona skierowała się do swojego, a ja do swojego baraku.

Potem skręciłem, zrobiłem niewielkie zakole pustą, wolną przestrzenią, chciałem trochę pochodzić.

Przed sobą miałem światła budowy i miasta; to, co przedtem nazywałem miejscem czerwieniejącym, które z daleka wyglądało jakby przykryte zaciekami krwi, stało się już znacznie szerszym i wyższym, rdzawym zakrzepem; tak jakby ziemia została skaleczona i teraz ta rana się 'goi; bo gdy sobie tak przemyśliwuję i przemyśliwuję, i szukam jakiegoś dobrego nazwania dla tej naszej budowy, to przychodzi mi myśl, że budowa miasta to jest niby gojąca się, wciąż gojąca się rana.

Ominąłem swój barak, wszedłem w jakiś sad, zbliżyłem się do czekających na rozwalenie, opuszczonych zabudowań chłopskich, wykopy podeszły do płotu i wnet pójdą dalej.

Wiele takich budynków rozwalono i wiele sadów zrównano z ziemią. W czasie tego silnego naporu budowy i masowego rozwalania domów pojawił się na tej budowie ten człowiek-pies, ten psi władca dowodzący szczekającą sforą niby król; powstał z chłopą, który się uparł i nie chciał się dać wysiedlić, nie chciał wyjść z domu. Jego rodzina odeszła, a on nie, bo się uparł, i żadne naglenia nie pomogły, bo nie pomogą ani prośby, ani groźby, ani klęknięcia, ani całowania, ani przekleństwa, gdy chłop się tak naprawdę uprze, to znaczy, gdy odejdzie z niego wszelkie myślenie, wszelkie rozumowanie, a zostanie tylko sam upór.

Trzeba było brać go siłą, podeszło do niego dwóch mundurowych, wzięli go pod pachy, z jednej i drugiej strony, niby drużbowie pannę młodą wybierającą się do ślubu, ale on zaparł się nogami o wysoki próg i mundurowym trudno było go wypchać, ale nadal trzymali go tym drużbowym sposobem i naciskali, tak naciskali, że aż unosili do góry i z pewnością udałoby się im przepchać go przez ten próg izby, ale on wykorzystał dogodny dla siebie moment i jak nie człowiek, jak wściekły pies chwycił jednego z tych mundurowych zębami za rękę i nie chciał puścić; a może nie mógł, bo może się mu szczęki zacisnęły, że nie mógł ich otworzyć.

Ugryziony mundurowy krzyknął z bólu i próbując wyrwać swoją rękę z tych zębów, ciągnął chłopą po całej izbie niby uczepionego psa, aż w końcu ją wyrwał. Teraz mundurowi już się nie patyczkowali i porzucili ten drużbowy sposób wyprowadzania z domu, wykręcili 'Chłopu ręce i przygnietli go do podłogi; ale chłop wszedł już na dobre w zwierzęcy obyczaj, bo gdy był przygnieciony i twarz miał na dole, po raz drugi chwycił zębami mundurowego, tym razem za nogę, ale to już nie mogło być tak silne ugryzienie jak w dłoń, którą można wziąć dogodnie w zęby niby kromkę chleba; nogę trudniej chwycić w zęby i to w dodatku nogę mundurowego, ubraną w porządne spodnie i obutą; dlatego mundurowy z łatwością wyszarpnął swoją nogę z zębów chłopą. W końcu chłop umordował się i został wzięty za tę swoje wy

kręcone ręce i za spodnie na tyłku, podniesiony do góry niby rzecz, niby pakunek, ale pakunek wydający z siebie przeraźliwy, nie ludzki, a już zwierzęcy, psi głos; i niby pakunek wyniesiony z do- mu, przeniesiony przez sad i dopiero za sadem, na polu postawiony na czterech podporach, na kolanach i rękach; i ten chłop na tych czterech podporach niby ławeczka stał na polu i z tej — tak mówią — pozycji widział, jak spychacz uderzył w jego dom i jak ten dom się zawalił.

A gdy przyszedł wieczór, zaczął wyć, zwołał sforę psów i na czworakach pomknął z nimi do pasa gęstych zarośli, rosnących na obrzeżu budowy, i zaczął swoje królowanie wśród psiej sfory.

Gdy nam wódka poszerzy i podniesie świat, wierzymy w człowieka-psa bez domu. Może po rozstaniu się z Matką widziałem go tam daleko, gdzie kończą się światła?

Budowa tak już się rozszerzyła, że trudno było wydostać się ze światła, które nad nią wisiały, i w ten czekający na rozwalenie chłopski dom były skrajne światła budowy; i to wyglądało jak teatr, jak cichy teatr bez aktorów, chociaż właściwie po pewnym czasie pojawił się aktor, jedyny aktor grający rolę gospodarza, całej rodziny, matki, ojca, dzieci, grający rolę całej wsi — bury kot.

Wyskoczył przez dziurę w ścianie, która niedawno była oknem, nie bał się, jeszcze nie zdziaczał, łasił się koło nóg, zapraszał do wejścia do pustej izby i kuchni, gdzie sprawował rządy.

Ludzie odeszli, a on został, bo kot przywiązuje się do miejsca, a nie do ludzi, kot bardziej lubi dom niż człowieka. Może go nawet namawiano do odejścia razem z ludźmi, może wołano go i czekano, żeby skoczył na wóz, ale on nie chciał, bo kot bardziej wierzy w dom niż w człowieka. Może go nawet wzięto siłą i wepchano do drewnianej paczki albo do zamykanego pręcianego kosza, ale on skorzystał z pierwszej okazji "i wymknął się ludziom, i wrócił do swojego domu, i za żadne skarby nie daje się wysiedlić.

On pierwszy, a ja za nim wszedłem przez nie istniejące drzwi do tego domu-trupa. Niedalekie, skrajne światła budowy były w rozdziawioną nie istniejącymi oknami i drzwiami ścianę, tak że w środku było widno jak w dzień.

Gdy przestąpiłem wysoki próg, znalazłem się w sieni i od razu

łem stary, nadpróchniały stół, który już na nic nie mógł się przydać, na ścianie uczezione u dwóch dużych, wystających gwoździ wisiały dwa dziurawe, bezużyteczne worki, w suficie sieni był otwór, wejście na strych.

Kot pomrukując czule i radośnie, prowadził mnie w głąb pustego domu.

Przestąpiłem drugi wysoki próg, wszedłem do kuchni, gdzie po ludziach ostała się ławka stojąca na czterech rozkraczonych nogach tuż przy samym oknie, a właściwie przy dziurze w ścianie, która niedawno była oknem; w tę dziurę w tylnej ścianie domu wchodziły światła budowy, bo ten dom i to całe chłopskie podwórze czekające na niwelacyjne roboty znalazły się jakby w obcęgach budowy i dlatego były oświetlone na przestrzał, z dwóch stron.

Kot wskoczył na piec kuchenny i siadł obok garnka-żelźniaka. Dlaczego mieszkańcy tego domu nie wzięli żelźniaka? Nie wzięli, bo jest pęknięty na całej długości.

W kuchni było dwoje drzwi, tak samo jak u nas, cały układ domu taki jak nasz; sieni, w sieni drzwi do kuchni i do izby, w kuchni drzwi do sieni i także do izby, no to w izbie muszą być do kuchni i-do sieni.

Ta ławka stojąca w kuchni taka sama jak nasza, stołu nie ma, ale tak jakby stał, bo gdy jest ławka, to według niej można tę kuchnię w mgnieniu oka umeblować i uczynić ją taką jak nasza.

Na ławce siedzi dziadek, bo to jego ulubione miejsce, wąsy siwe, opadnięte, z drugiej strony stołu ojciec, wąsy duże, czarne, ledwie poprzetykane siwizną, na odsuniętym od stołu krześle siostra, już bez tego swojego wzdętego brzucha, bo już urodziła, napisali mi; trzyma na kolanach dziecko, na progu drzwi prowadzących do izby siedzi szwagier, włosy czarne, wargi ściśnięte, matka stoi przy kuchni i gotuje. A ja w myśli wśród nich siedzę. Liczę ich — raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć — sześcioro, znów za dużo, pięcioro byłoby w sam raz, palce pięciu dusz wycelowane w dziadka.

W mowie co innego, w mowie — dziadku, zjedlibyście co, dziadku, połóżcie się spać, bo jutro musicie wstać raniutko, dziadku, dorzućcie siana krowie. Taka jest ta żywa mowa, a palce pięciu dusz wycelowane w dziadka w innej, ważniejszej sprawie — nas musi być pięcioro.

Ich musi być pięcioro, dziadku, w tym naszym domu musi być wciąż pięcioro, ten dom nie może znieść szóstki.

Najpierw ja, ten szósty, zostałem wykłuty palcami pięciu dusz, a teraz ty, dziadku, jesteś wykluwany, boś szósty; każdy szósty będzie wykłuty poza dom tymi palcami, tymi widłami pięciu dusz.

Ja szósty, a więc zbyt czyny, mogłem pójść na wielką budowę, a ty szósty, niepotrzebny, dokąd pójdziesz, ty pewnie donikąd.

Mówią ci młodzi — idź, dziadku, i zarzuć siana krowie, ale w tym domu jest ich więcej do tego wrzucania siana aa drabinę w oborze, do najmniejszej roboty jest ich kilkoro, nie ma tam roboty, dla której można by trzymać dziadka, bo dziadek jest aż szósty.

Pozostała w takim wypadku tylko ta droga donikąd i ty musisz w tę drogę wybrać się jak najszybciej, bo nad tym naszym domem dynda uwieszona u losu cyfra —15.

Ale nadejdzie czas — powiedziałem, nadejdzie, bo ja dzisiejszy mówię, jak ja tamten, i dlatego „dziś” nazywam przyszłością — a więc nadejdzie czas, w którym na wsi będzie się odpędzać od dziadków śmierć i życzyć im długiego życia i sił do roboty ponad siły na ziemi, z której uciekną młodzi.

Ale wtedy, gdy siedziałem w tym opuszczonym domu, stojącym jeszcze jakimś cudem na skraju budowy, gdy siedziałem w nim niby w moim rodzinnym domu, byłem jeszcze jakby pod naporem piątki domowników. Wyrzucony przez pięć dusz poza ich święty, nietykalny krąg chciałem pognać tę piątkę, chciałem się zaharować jak wół, żeby ta piątka powiedziała o mnie — jest na lekkim chlebie, na wielkiej budowie. Niechbym potem zapłakał w kąciku,

widziany tylko okiem losu, ale niechby ta piątka i wieś myślały, że pędzę życie o lekkim chlebie.

Tak, tak, bury kocie, chcę pognać tę piątkę i chcę z dziada wyjść na pana i zostać tym dziś modnym zdiadapanem. Już się nawet trochę oddziadałem, bury kocie, bo śpię na sprężynowym łóżku, mogę sobie pojeść i mam pewną ilość swoich własnych pieniędzy, mówię dzień dobry inżynierowi, który kieruje budową,

i on mi odpowiada także — dzień dobry; myję się przed robotą i po robocie, przed jedzeniem drugiego śniadania na budowie myję ręce w beczce z wodą, którą mają betoniarze, czyli jest już w moim życiu coś z pańskiego życia, ale z dziadowskiego jest jeszcze bardzo dużo, bo jak dziad wódkę piję garnuszkami w tajnej bimbrowni, w tej wsi, której się udało i wielka budowa nie zburzy jej, bo jak dziad codziennie o dziesiątej przed południem cyckam flaszkę z kawą, bo jak zupełny dziad zaślubiłem Helenę bez księdza kościelnego i cywilnego, bez marsza weselnego i bez chórów, bo jak stuprocentowy dziad zaślubiłem ją w otwartym rowie, pod gwiazdami, na gołej ziemi przyprószonej sianem, jak zupełny dziad wkopałem się z tą moją miłością w ziemię, bo jak stuprocentowy dziad zmajsztrowałem w tym rowie dziecko.

Tak, tak, bury kocie, jest jeszcze w moim życiu bardzo dużo z życia dziadowskiego, a przede wszystkim jest ta nieszczęśliwa i okrutna dziadowska dusza, która żyje długo i przeżywa dziada, i wchodzi w zdiadapaną.

Zdiadapanem zostanę wtedy, gdy otrzymam mieszkanie w nowym domu, gdy będę jadł w domu trzy razy dziennie, gdy będę spał z Heleną na tapczanie, gdy będę mógł mądrze dumać o świecie.

Kot siedział na moich kolanach, mruczał i może przypominał sobie niedawne swoje życie razem z ludźmi w tym domu, a potem zeskoczył i zaprosił mnie do dużej izby.

W dużej izbie stał zrobiony z prętów, ale już powyginany, pełen zadziórów stojak na kwiatki; kwiatki powędrowały z ludźmi, a stojak został, bo był już stary, po co go przewozić na nowe miejsce.

Z izby drzwiami przez sień wyszedłem na dwór, kot odprowadził mnie do samego płotu, dalej nie poszedł, wrócił do domu, bo, jak już powiedziałem, kot, gdy ma do wyboru człowieka i dom, zawsze wybierze dom.

Ale jutro, pojutrze, a może nawet dziś dom zostanie rozwalony, co wtedy stanie się z kotem... Wszystko sobie jakoś poradziło, ludzie, choć z ogromnym żalem, ale pojechali do innej wsi i tam będą gospodarzyć. Wzięli z sobą krowy, konie, kury, pies poszedł

i ludźmi, a kot z miłości do domu został na niepewne. Co będzie, gdy rozwalą ten dom?...

Kot na pewno zobaczy to rozwalanie, schowa się w chwasty albo w jaką dziurę i stamtąd będzie widział, co spychacz wyprawia z jego domem, i wtedy zdziwi się i przestraszy, i to będzie początek jego dzikości, a później na dobre zdziczeje, będzie stronił od ludzi, przeniesie się w pola i zarośla, budowa zepchnie go do stanu dzikich kotów-prajców.

Za sadem był kawał pustej, gołej ziemi, za tą brązową, przygotowaną pod wykopy ziemią leżały w nieładzie betonowe dźwigary, dalej teren nieco się podnosił, przechodził w kopiaste wzniesienie, które stanowiło wschodni kraniec budowy.

Gdy stanąłem na tym wzniesieniu, światła rozwieszane nad budową przybladły, bo zaczynało świtać, ale brzask i wschodzące słońce objęły równomiernie budowę, tak że stała się ona wyraźnym rysunkiem i można było ujrzeć i zrozumieć jej strefy, a także pojąć, co się w tych strefach dzieje i co się będzie dziać.

Stojąc na tym wzniesieniu mogłem lepiej niż skądinąd ujrzeć miasto takie, jakim będzie w przyszłości, czyli uwierzyć, że ono jednak będzie i ze człowiek, który tu z kraju świata przywędrował z tobołkiem, będzie w tym mieście żył; bo jak je zobaczyć z samego środka, z tego zagrzebanego w ziemi środka budowy, z błota, z wrzasków, z przekleństw; z tego środka możesz zobaczyć niewielki krąg, taki tylko krążek budowy, a jeśli chodzi o czas przyszły, to można ujrzeć godzinę, dzień, najwyżej tydzień.

A z tego wzniesienia widzisz długi, paroletni ciąg przyszłego czasu i wszystkie strefy budowy, strefę domów i murów, strefę wykopów, strefę ziemi pod wykopy przygotowanej, strefę przygraniczną, pustą i bezpieczną, strefę przygraniczną zarosłą krzakami i niebezpieczną.

Nie pójde już do swojego mieszkania, nie chce mi się spać, pochodzę jeszcze trochę, a później pójde pod barak Heleny i poczekam, aż wyjdzie, i razem pójdziemy do roboty. Mam przecież jej przekazać ważne wiadomości — że dziecku naszemu darowałem życie, że już kocham to, co chciałem zabić, i że poważnie myślę o ożenku.

Czekałem na nią siedząc na niskiej ławce bez oparcia, ustawio-

nej na placyku przed drewnianym barakiem; wokół ławki ziemia usłana była akacjowymi liśćmi, podniosłem jeden z nich, żeby sobie powróżyć — dziad, pan; dziad, pan; dziad, pan i tak dalej... na ostatni listek wypadł pan, a gdy mi wypadł pan, pojawiła się moja kobieta w mrocznym korytarzu drewnianego baraku; u samego wyjścia ujrzałem ją niby obraz w¹ ramach, ujrzałem ją już ze śladem przyszłej matki, z łagodnym łukiem brzucha pod roboczym odzieniem.

Rozdział XV

Tego dnia przed robotą dowiedzieliśmy się, że Rumiany odszedł z czwartego odcinka robót ziemnych, bo jak już powiedziałem, rozpoczął się czas wychodzenia naszej paczki z rowu do innych zawodów. Najpierw poszedł Młodziutki, po Młodziutkim Korbas, a po Korbasie Rumiany.

Łopata Rumianego stała samotnie, oparta o ścianę małego, podręcznego magazynu, zbliżył się do niej nowy, nowo przyjęty, nie znany nam jeszcze bliżej młody, niski, czarniawy; zdjął wierzchnią bluzę, pomiędzy brudnymi brzegami koszuli błyszczała srebrna blaszka medalika. Idź z Bogiem, synu — powiedziała mu matka, gdy odjeżdżał z domu. Ale nie wiadomo, co z niego wyrośnie, po jakich strefach budowy będzie go nosiło, może po tej strefie zarośli niebezpiecznej, a jednak lubianej, « może nie...

Wziął łopatę w dwie ręce, potrząsał nią, przyglądał się jej, obracał w rękach, wczepiał ją w swoje ciało; co zrobi z nim ta łopata, dokąd go ta łopata zaprowadzi... Na razie zeskoczył w dół, wziął w siebie dużo powietrza i wbił żelazo w ziemię.

Rumiany od łopaty poszedł w działacze. Młodziutki wylazł z rowu przez naukę, a Rumiany przez noszenie ciężkich transparentów na pochodach, przez rozpylanie słów na zebraniach i przez zdjęcie ze swojego karku świętej tasiemki.

Od tego czasu, gdy widzieliśmy biały śladzik nad jego kołnierzem, na jego byczy kark nie wjechał ani Bóg Ojciec, ani Syn Boży, ani Matka Boża; biały śladzik po tej świętej tasiemce, który przez jakiś czas utrzymywał się na jego skórze, nikł pod powietrzem i słońcem i Rumiany stał się całkowicie, w każdej cząsteczce swego ubioru świecką postacią i poszedł w działacze, dostał lepsze mieszkanie i mówiło się na niego — działacz etatowy.

Ale jednego dnia, kiedy się najmniej spodziewał, chłopaki przynieśli mu jego świętą tasiemkę s nawleczonym na nią medalikiem do biura, w którym urzędował.

"v Znaleźli ją na łóżku w poprzednim mieszkaniu i umyślili sobie, żeby ją odnieść Rumianemu.

Kilku chłopaków wybrało się do niego z tą zgubą, z początku szli jakby nigdy nic, ale w pobliżu baraku, w którym urzędowali działacze, jeden wysunął się do przodu i wziął tasiemkę w dwa palce, a reszta ustawiła się za nim i to tak wyglądało, jak mała procesyjka.

Gdy ktoś się zapytał, w jakiej sprawie tak idą, odpowiadali — odnosimy Rumianemu medalik, bo sobie go zapomniał.

Na korytarzu biura chłopak prowadzący tę procesyjkę wysunął jeszcze bardziej do przodu rękę, w której trzymał medalik, i zagadywał napotkanych ludzi o to, gdzie urzęduje Rumiany, a gdy mu odpowiadano, że ma on teraz ważną naradę w sprawie zobowiązań, to ten chłopak bardzo się cieszył i pytał, które drzwi na tę naradę prowadzą.

Potem ta procesyjka wpakowała się do dużej izby, pełnej ludzi, i mając przed sobą medalik uwiązany na brudnej tasiemce, zbliżała się do stołu prezydialnego, za którym wraz z kilkoma działaczami i robotnikami siedział Rumiany.

Początkowo nikt nie wiedział, co się dzieje, albo może myślano, że wali delegacja z zobowiązaniami, ale później Rumiany zorientował się, o co chodzi, i zaczął krzyczeć — proszę wyjść, proszę wyjść! Mamy ważną naradę!

Ale było już za późno na to, aby chłopaków zawrócić, i procesyjka dotarła do stołu prezydialnego, i ten jej przewodnik wyprostował się i podniósł rękę do 'góry tak, że wszyscy zobaczyli, co w niej trzyma, a później zwracając się do Rumianego, powiedział dobitnie — przynieśliśmy ci medalik, boś go zapomniał wziąć ze starego mieszkania.

Po tych słowach położył srebrzystą blaszkę i brudną tasiemkę na papierach z zobowiązaniami załogi, które leżały na stole prezydialnym, i ruszył ze swoją procesyjką do wyjścia.

Gdy już jestem przy tym fajnym psikusie, który obmyślili chłopcy, muszę powiedzieć, że ten Bóg Rumianego przechodził różne koleje losu. Najpierw — jak myślę — był w rękach jego matki, babki albo innej osoby kochającej Rumianego, a potem zawisł na jego byczym karku i przyjechał z nim na budowę; później ja obraziłem jego Boga, gdy w bójce pragnąłem udusić

Rumianego tą świętą tasiemką i tak ją zacisnąłem na jego szyi, że aż tę tasiemkę zerwałem. Wtedy cała tasiemka i medalik oblepione były błotem i musiały być umyte w beczce z wodą, którą mieli betoniarze; i Bóg znów zawisł na szyi Rumianego.

Potem został z jego karku zdjęty i schowany w łóżku; czyli najpierw został włożony na kark ku pomocy, a później ku pomocy z tego karku zdjęty.

Potem posłużył chłopakom do dobrego psikusa, a później został roztrzęsioną ręką swojego właściciela strzepnięty ze stołu przyzwalnego na podłogę; a później tą samą roztrzęsioną ręką z podłogi podniesiony i schowany do kieszeni; a później przez pewien czas w jakimś nieznanym miejscu przechowywany,

Aż przyszedł taki dzień, w którym został ze schowka wyciągnięty, tasiemka została uprana, a blaszka wyblyszczona glaspapierem i ten odnowiony Bóg na bielutkiej tasiemce zawisł znów na byczym karku Rumianego; bo Rumiany stracił posadę jako działacz etatowy, gdyż się tam na nim poznali i wygnali go. Wtedy on obraził się i żeby dokuczyć działaczom, znów powiesił na swojej szyi medalik.

Gdy porządkuję tamte dawne zdarzenia i układam jedno za drugim, tak jak przechodziły w czasie, doprasza się swojej kolejki przyjazd matki Heleny na naszą budowę.

Matka jak to matka, nie umie długo gniewać się na dziecko i gdy ono od niej ucieknie i pójdzie w świat, ona węszy i węszy, niucha i niucha niby zwierzę zalęknione i w końcu wyniucha to miejsce, gdzie jej dziecko przebywa, i zjawi się niespodziewanie albo da znać listem, że wybacza i przyjeżdża. Tak było i z tą matką, Helena podsunęła mi pod nos zieloną kopertę i powiedziała — czytaj, a gdy przeczytałem, zapytała — co teraz będzie?

I ona, i ja wiedzieliśmy, co to za istota wiejska matka, że jest w niej to, co najpiękniejsze w człowieku i zwierzęciu, i że oczy wiejskiej matki są urobione z najbystrzejszych oczu ludzi i zwierząt, i że spryt wiejskiej meitki jest urobiony ze sprytów najsprytniejszych ludzi i zwierząt.

I wiedzieliśmy także, jak zachowują się wiejskie matki, które przyjeżdżają w odwiedziny do niezamężnych córek pracujących w miastach i na budowach. Gdy matka wiejska zobaczy córkę, której długo nie widziała, to najpierw wlepia wzrok w jej brzuch.

Już na dworcu kolejowym, gdy ta córka z uśmiechem zbliża się do matki, matka z początku niby patrzy na ten uśmiech, na głowę. na nogi córki, niby ogląda, jak jest obsprawiona, jak jest [ubrana, jakie ma buty i suknię, ale w gruncie rzeczy dokładnie, choć ukradkiem, lustruje jej brzuch. Chce się przekonać, czy jest taki sam, z jakim córka wyjechała z domu. czy się nie wypięł do przodu i nie zaokrąglił, czy nie wygiął córki do tyłu.

A potem ta wiejska matka nagle przerzuca wzrok z brzucha córki do góry i wpatruje się w jej oczy, bo ta sprytna wiejska matka dobrze wie, że oczy zdradzają człowieka, że oczy córki powiedzą, jak naprawdę jest z jej brzuchem, czy on jest rzeczywiście płaski i nie tknięty, czy ściśnięty i zamaskowany, czy był on pod grzechem, czy nie...

Matka przebaczyła Helenie za wcześniej tę ucieczkę z domu; lepiej byłoby, gdyby się z tym przebaczeniem wstrzymała do czasu, w którym uporządkujemy nasze życie, ale ona przebaczyła wtedy, gdy brzuch Heleny był już lekko uniesiony.

Chwyciliśmy się więc tego starego sposobu, myśląc, że może się uda. Dobrze, znające się na rzeczy dziewczyny powiedziały Helenie, że w takim wypadku taśma bandaża lepsza jest niż pas.

Poszedłem z Heleną do olszynowego zagajnika, w gęstych krzakach obnażyła się, klęknąłem przy niej niby przy świętej figurze i przyłożyłem jej do brzucha rolkę bandaża; ale nim zacząłem ją opasywać powiedziała mi, żebym posłuchał, jak to nasze dziecko porusza się w niej. Przycisnąłem głowę do jej ciepłej, napiętej skóry -i objąłem ją prawym ramieniem.

Przez chwilę trwaliśmy w tym dziwnym zespoleniu w środku najgęstszych krzaków olszynowego zagajnika, ona wyprostowana, a ja przy niej klęczący i przywarty do jej nagości całą połową twarzy.

Nie było wtedy ani szumu drzew, ani żadnych odgłosów budowy, ani żadnego świergolenia ptaszków, tak jakby się te drzewa W zagajniku i to żelazo i ja budowie, i te ptaszki w gałęziach umówiły, że uspokoją się na tę chwilę, w której zapuka do świata to nasze dziecko, w rowie, na gołej ziemi przykrytej sianem, spłodzone.

A potem nagle świat i czas ruszyły do przodu, drzewa zaczęły szumieć, ptaki świergotać i skwierczeć odległe dźwigi. A ja za

brałem sędę do ściskania Heleny bandażem i zacierania na niej znaków ciąży. Chodziłem wokół jej nagiego brzucha i pleców niby koń w kieracie i z wyczuciem napinałem bandaż, aby jej nie ścisnąć za mocno i nie uczynić za małej tej klatki, w której siedział nasz nielegalny ptaszek.

Gdy brzuch został odpowiednio przyplaszczony, odbyła się próba dziewiczego, panińskiego chodu. Usiadłem na zwałonym drzewie, a ona defilowała przede mną tam i na powrót. | Przydała się ta defilada, bo dzięki niej mogliśmy wprowadzić do jej ruchów i sposobu trzymania całej postaci ważną poprawkę, to znaczy lekkie pochylenie do przodu, potrzebne do zatarcia tego wielce podejrzanego u dziewcząt przegięcia do tyłu, które z pewnością pochwyliłaby swoim bystrym okiem wiejska matka i już by miała punkt zaczepienia, i już by z wielką łapczywością wpatrywała się w córkę i nieustannie dokonywała pomiarów jej postaci, aż do wywęszenia grzechu.

Ale wiejska matka nie byłaby wiejską matką, gdyby się dała nabrać na bandaż i na pochylenie do przodu, i na niby niewinne oczy, i żwawe, niby dziewicze ruchy córki, i na ten jej bardzo radosny szczebiot.

Ona chyba już na dworcu kolejowym wywęszyła ciążę córki, może już przy powitaniu namacała odmienione kształty swojej jedynej córeczki, która uciekła z domu i pojechała na wielką budowę, i rzucona została losiem w sam środek zgrai takich samych jak ona przybłądów, w sam środek tej mieszaniny złożonej z jurnych dzieciorobów, zupojadów i chlebojadów, marzycieli spragnionych miłości i wymyślających pięknie przyszłe życie, poetów nie umiejących pisać, czcicieli Boga i takich, którzy odrzucili medaliki otrzymane na drogę od matek. Każde bractwo na swój sposób walczyło o jej duszę i ciało.

Gdyby w miłości popadła na stuprocentowego chlebojada i zupojada, byłaby to miłość czysta, tak czysta, że aż odłożona na potem, nie spotykana w innych bractwach tej szalonej budowy; bo ze swoim kochanym chlebojadzikiem i zupojadzikiem wiłaby i wiłaby, długo by wiła gniazdko i dopiero w gotowym, zasobnie uwitym, ciepłym gnieździe położyłaby się z nim dla spełnienia miłości i z:majstrowania dziecka. Ale ona w miłości popadła na marzyciela, który potrafił pię-

nie wymyślić swoje i jej życie przyszłe, lecz nie umiał takiego życia stworzyć. Już przez to, że ją zaciągnął do zimnego gniazda w ślepych rowie na te przedwczesne zaślubiny i przedwcześnie spłodził jej dziecko, i temu dziecku darował życie, świadczyło, że nie umiał zbudować sobie losu. A i ta trudna jej przeprawa z matką świadczy, że nie umiał pokierować swoim i jej losem.

Matka chyba już na dworcu kolejowym wywęszyła ciężę córki. Może już w chwili, gdy ją ujrzała w tym wymuszonym, niby dziewiczym podbiegu i żalonym udawaniu dziewictwa i świeżości, w tym cygaństwie ruchów wyniuchwała odmienny stan córki. A może, gdy ją objęła i przycisnęła do siebie w czasie powitania, stwierdziła, że ciało córki jest sztywne i twarde jak drzewo, a może wtedy, gdy jechały autobusem zauważyła coś takiego, co by jej mówiło — moja córka będzie matką.

Już chyba z tą wiedzą weszła do mieszkania Heleny w hotelu robotniczym, bo gdy się tam znalazła sam na sam z córką, na wszystkie jej słowa o robocie i zarobkach, o jedzeniu i mieszkaniu odpowiadała krótko — tak, tak; a potem niby to z wielką dobrocią — tak, tak, córeczko; a potem niby to z jeszcze większą dobrocią — tak, tak, kochana córeczko.

A w końcu nagle, zaraz po tych niby to bardzo dobrych słowach — tak, tak, kochana córeczko wparowała rękę pod jej suknię, jakby była nie matką, a rozbuchanym kochankiem, i położyła swoją dłoń na jej twardym jak kamień brzuchu, i rozpędzona w tym swoim udawaniu dobroci powtórzyła jeszcze raz — tak, tak, kochana córeczko.

A potem od niej odskoczyła jak od człowieka zarażonego, pluła na nią i wyszła, i tak skończyła się ta wizyta.

Ale ona i to wybaczy, matka jak to matka, nie umie długo gniewać się na dziecko.

Czatowałem niedaleko kobiecego baraku i zaraz po wyjściu matki wpadłem do Heleny, siedziała na łóżku i płakała, łzy kapały na podolek, otarłem jej twarz rogiem prześcieradła, podniosłem ją i postawiłem na środku izby; a potem zadarłem jej suknię do góry i odwiązałem bandaż, zaczęła oddychać równo i swobodnie. Ale jej twarz musiałem znów otrzeć z łez.

Rozdział XVI

Był to czas, w którym trwało wychodzenie naszej paczki z dołu, to przenoszenie się do innych robót. Trzeba tu powiedzieć, że wielka budowa to niby szkoła, w której dół, decha, okrągłak i ziemia, to znaczy robota przy wykopach i szalunkach, to jest "niby-ta pierwsza, początkowa klasa, do której najpierw zapisują się „przybłądy” ze wsi.

Jeśli te „przybłądy”, te dzieci szkoły-budowy wytrzymają w pierwszej klasie, która jest w rowie, jeśli się zżyją z deszczem i błotem i jeśli się nie zleknią rycia w ziemi, mogą po pewnym czasie i po odpowiednim przyuczeniu przejść do drugiej klasy, to znaczy stanąć na murze; bo murarka to jest druga klasa tej wielkiej szkoły-budowy, do której przenoszą te „przybłądy” ze wsi po zmordowaniu pierwszej klasy.

Ale poniekóry bystry „przybłąda”, mający wciąż w pamięci błogosławieństwo matki i ojca i chodzący wciąż z ich napomnieniami i radami niby owca z dzwonkiem, i słyszący wciąż ten dzwonek alarmowy — pilnuj się, synku, pilnuj, bój się Boga, synku, i pilnuj się, bój się Boga, kłaniaj się majstrowi i pilnuj się, synku, i staraj się — poniekóry bystry „przybłąda”, mający duszę rozdzwonioną tym dzwonkiem, może nawet po odpowiednim przeszkoleniu ominąć drugą klasę i przeskoczyć z klasy pierwszej do trzeciej, czyli wyjść z rowu i wywindować się na spychacz, na duży samochód, na dźwig, czyli przejść do tej wielkiej maszynarii, która się wciąż rozmnaża na placach budowy.

Taki skok z pierwszej klasy do trzeciej wykonał Młodziutki i siedzi sobie teraz w klatce dźwigu, i cała wieś rodzinna, którą sobie myślą pod dźwig podprowadza, ogląda go w tej wysokiej klatce.

Trafi się i taki sprytny, który wyrzuci ze swej duszy ten dzwonek alarmowy, czyli te wszystkie napomnienia i dobre rady matki

i ojca, który zedrze ze swojej szyi medalik założony przez matkę i po trzykroć krzyknie głosem wielkim — niech żyje, niech żyje, niech żyje! Taki może przeskoczyć przez drugą, trzecią i przez dalsze majsterskie, techniczne, inżynierskie i dyrektorskie klasy i od razu z pierwszej przejść na profesora od naganiania innych do roboty.

Kręci się po budowie sporo takich profesorów, ale my ich nie lubimy. Lubimy tylko tego, który się nie bał deszczu i przepracował z nami całą noc, gdy robota była spóźniona i trzeba ją było skończyć w terminie.

W dalszym ciągu jesteśmy w tym czasie, -w którym nasza paczka wygrzebuje się z dołu. Przyszła kolej na mnie, ja nic nie przeskakiwałem, ja prawidłowo, jak zwykły, najzwyczajniejszy „przybłęda” przeszedłem do drugiej klasy i zacząłem robotę przy murarce, skierowano mnie na mur najdłuższego domu, który stanie niedaleko głównej dzielnicy miasta.

Stanąłem na murze o szóstej godzinie rano, dzień był słoneczny, czysty 4 ciepły, tak jakby pogoda chciała uczcić moje na mur wstąpienie.

Ale co z tego, że świeciło słońce i że dzień był słoneczny i ciepły, i że pogoda czciła moje przejście do drugiej klasy szkoły-bu- dowy, skoro w tym dniu w skrzyni z zastarzałym wapnem gaszonym znaleziono nieżywe dziecko. Znalazł je ten, który rozpuszczał i mieszał wapno. Początkowo myślał, że to nie rozprowadzona bryła, więc trzasnął w nią parę razy mieszakiem, ale się nie rozpuściła, wziął więc ją na mieszak, skapało z niej i ukazało się nagie niemowlę; wtedy krzyknął — Jezus. Maria, człowiek! A później położył je delikatnie na opróżnionym z cementu worku.

Budowa stanęła, bo wiadomość poszła po ludziach błyskawicą, robotnicy schodzili z muru, jakby otrąbiono fajerant, i ostrożnie, ale z wielkim zaciekawieniem, zbliżali się do nieżywego, bielutkiego niemowlęcia. Jeden powiedział — suka, utopiła dziecko — a drugi się temu sprzeciwił — nie mów suka, suka nie topi szczeniąt. — To jak mam mówić na taką — pytał pierwszy; — mów dziewczyna, mów kobieta, mów człowiek — odpowiedział obrońca psów.

Jeden zbladł i odskoczył w bok, nie mógł patrzeć, bo go mdliło. Ktoś dał znać na milicję, przyszła zaraz, aż czterech.

Okazało się, że mundurowi już od jakiegoś czasu za tą sprawą węszą, ho gdzieś, w jakimś domu, na jakimś podwórzu czy na czyichś rękach było dziecko i nagle dziecka nie ma, choć po nie nikt nie przyjechał i nikt z nim nie wyjechał, bo to byłoby wiadome, bo ludzie wszystko wiedzą, nawet wtięcej niż w rzeczywistości jest; czasem się pomylą, czasem źle trafią, ale wiedzą. Ten jakiś dom jest, placyk przed domem jest i te ręce, które trzymały dziecko, są, tylko już nie trzymają dziecka, a co innego, może jakieś zakupy trzymają albo są uwieszone u ramienia jakiegoś wysokiego chłopaka, murarza, ślusarza, mechanika albo tego pierwszoklasisty od robót ziemnych. Było dziecko i nagle dziecka nie ma, przecież się nie rozplynęło w powietrzu.

Dwóch milicjantów pojechało, a dwóch zostało, ci, którzy pojechali, przywieźli trzy podejrzane dziewczyny, ustawili je rzędem przy tym worku po cemente, na którym leżało bielutkie jak śnieg niemowlę.

Mundurowi mieli swój milicyjny rozum i uważali, że przy tej skrzyni z wapnem prawda wyjdzie na wierzch i dzieciobójczyni przyzna się i uniknie się długich badań, a może i skrupulatnej kontroli lekarskiej, bo zwali się na tę matkę-dzieciobójczynię widok tego nieżywego dziecka i widok skrzyni na wapno, która była przez kilka tygodni, a może i miesięcy jego grobem, ale przede wszystkim stanie przed oczami tamta nocna chwila, w której cichaczem tu się wsunęła i swoje może smacznie śpiące, a może uspokojone i huśtane na rękach, żeby nie wydało krzyku, a może w ostateczności uciszane ręką położoną na rozwrzeszczających ustach zostało do tego wapna praśnięte i na wieki uspokojone.

Gdy te trzy dziewczyny stanęły przy nieżywym dziecku, leżącym na brudnej, papierowej pościeli, milicjanci zaczęli odpychać ludzi krzyżąc — idźcie do swojej roboty, nie przeszkadzajcie nam w śledztwie!

Ale ludzie parli na powrót do tego miejsca, gdzie leżało nieżywe dziecko i gdzie stały te trzy dziewczyny, albo sadowali się na dogodnych miejscach muru, albo się nawet wspinali na żelazną drabinę dźwigu, bo tak bardzo chcieli zobaczyć dzieciobójczynię.

Wina leży jeszcze jakby na wszystkich trzech, gdyż nie wiadomo, która utopiła dziecko; może ta stojąca z lewego brzegu, wy

soka, ładna panna w czarnym, zasmarowanym kombinezonie, która na wschodnim krańcu pierwszej dzielnicy obsługuje windę wynoszącą cegły na mur. Może to jej ręce zakurzone i opiegowane dużymi kółkami smaru wrzuciły to dziecko do wapna. Jest przejęta, ale mówi dość spokojnie — po co przyprowadziliście mnie tutaj? Puśćcie mnie do windy, to nie jest moje dziecko.

Może dzieciobójczynią jest ta stojąca w środku, która sprząta pokoje dyrekcji — blada na twarzy, o drobnej postaci, młodziutka i mizerna, najmniej z tych trzech pasuje do grzesznej miłości, a co dopiero mówić o dzieciobójstwie, stoi świątobliwie, niewinnie i płacze; ale jednak podpadła milicji ta świątobliwa, bo po co by ją tu ciągnęli i zmuszali, żeby patrzyła na nieżywe dziecko. Na pytanie milicjantów nie odpowiada, tylko płacze, czyżby ona była dzieciobójczynią?...

A może ta z prawego boku, w drelichowych zakurzonych spodniach i grubej barchanowej bluzce, smągła brunetka, która pracuje przy betoniarce, zabiła to niemowlę... Jest obrażona o to, że ją tu mundurowi przyprowadzili, wzdyma usta i wymrukuje coś gniewnie, zachowuje się tak, jakby się już przyzwyczaiła do widoku tego nieżywego, pokurzonego dziecka, wciąż wzdyma usta.

Jeszcze nie wiadomo, która jest dzieciobójczynią, żadna się nie przyznała.

Ludzie napierają, a milicjanci ich odpychają, robota zamarła, nie chodzą windy murarskie, nie kręcą się dźwigi, nie warczą spychacze i wywrotki, nie terkoczą betoniarki. Która z tych trzech jest dzieciobójczynią? Gruby milicjant zawołał tego, który miesza wapno, i kazał mu dokładnie opowiedzieć, jak znalazł to dziecko. Myślał, że to opowiadanie tak podziąła, iż dzieciobójczyni nie wytrzyma i przyzna się.

Ten od wapna opowiada, a windziarka mówi jedno i to samo, że chce iść do swojej roboty, sprzątaczką jak płakała, tak płacze, a ta od betoniarki wzdyma usta i wzdyma, żadna się nie przyznaje.

Która z tych trzech jest dzieciobójczynią, która... Gruby milicjant szukał nowych sposobów złamania i rozrzewnienia zatwardziałego serca dzieciobójczyni i znów zwrócił się do tego, który miesza wapno, i powiedział mu głośno, tak żeby

Hziwczyny~słyszały—"Tfrydaje mi-się, że panienki nie widzą dobrze tego "dziecka i ta, która jest matką, nie może go poznać, zetrzyj czymś wapno z jego twarzy i podnieś to dziecko z ziemi, i podstaw je pod same oczy tym panienkom, niech się mu przypatrzą z bliska, może wtedy matka pozna swoje dziecko, trzeba to zrobić dla panienek, trzeba mateńce ułatwić rozpoznanie.

W tej próbie złamania zatwardziałego serca i rozrzewnienia matki były jakby dwa stopnie — niższy i wyższy. Niższym było otarcie wapna z twarzy dziecka, a wyższym podsunięcie niemowlęcia pod same oczy dziewczyn.

W czasie tej ceremonii odsłaniania nadzartej wapnem i niewyraźnej twarzy nieżywego dziccka windziarka krzyknęła -¹" na miłość boską, weźcie mnie stąd! Ale gruby milicjant, wschod- niak — jak mi się zdaje •— odpowiedział jej — niech mateńka zostanie i przypatrz się dobrze dzieciątku, mateńki ono przecież. Odpowiedziała na to żwawo i— to nie jest moje dziecko. ~

Ta świątobliwa, mizerna, stojąca w środku zasłoniła sobie oczy swoją małą dłonią; ale gruby milicjant podszedł do niej i delikatnie wziął jej dłoń w swoją rękę, odsunął od oczu i elegancko ją poprosił — niech mateńka nie zasiania sobie oczu, trzeba dobrze przyjrzeć się swojemu dzieciątku. Ona wtedy zaczęła głośno płakać i powtarzać — nie, nie, nie...

Smagłej brunetce tak wzdęło usta, że musiała je sobie przycisnąć ręką; i do niej podszedł gruby milicjant z tą swoją wy- kwintną^mową — dlaczego mateńka trzyma się za usta, dlaczego mateńka wygrymasza przy swoim dzieciątku.

Żadna się nie przyznaje, która z tych trzech jest dzieciobójczynią, na miłość boską, która...

Robota wciąż stoi, nie chodzą windy, nie kręcą się dźwigi, nie warczą spychacze i wywrotki, a te się nie przyznają.

No to ten, który miesza wapno, schylił się, podłożył ręce pod papierowy worek, na którym leżało niemowlę, i uniósł je do góry, a potem podszedł do tej pierwszej, to znaczy do windziarki. Wyglądał jak chrestny ojciec trzymający biało ubrane dziecko do chrztu w kościele. Windziarka odskoczyła do tyłu, jakby co trzasło w nią, ale milicjant ją przytrzymał i powiedział — proszę się przypatrzeć z bliska swojemu dziecku. Wrywała się i chciała ucieka", ale mundurowy trzymał ją mocno i namawiał

do patrzenia na nieżywe niemowlę. Chyba ona-jest-dzieciobójczynią — pomyśleli ludzie, którzy przerwali pracę i gapili się z różnych miejsc na to, co się działo. Ale windziarka nie powiedziała, że jest matką tego dziecka.

Potem ten „chrzestny ojciec” przesunął się w prawo i stanął przed tą świątobliwą, .mizerną, która nagle, nie chcąc patrzeć na to niemowlę, klękła na oba kolana i dziecko znalazło się nad jej głową. Wtedy ten, który trzymał martwe niemowlę, tak się przychylił, że dziecko znalazło się na wprost jej oczu; ona wtedy unikając patrzenia na niemowlę, podniosła się do góry, a dziecko ■ znalazło się niżej jej twarzy. No to ten „chrzestny ojciec” wypro-
Słował się
było przy jej oczach i oria znów padła na kolana.

Kto wie, dokąd trwałaby ta zabawa, gdyby milicjant nie wziął jej mocno pod rękę i nie przymusił do stania i do patrzenia na dziecko. Ale i ona nie powiedziała, że jest matką.

Smagła brunetka tak jakby tylko czekała na przybliżenie się tego „chrzestnego ojca” z martwym niemowlęciem na rękę. Gdy stanął przed nią, wyrwała mu to ubabrane wapnem dziecko, włożyła je pod pachę niby pakunek i zaczęła uciekać, a uciekając krzyczała do goniących ją milicjantów — nie gońcie mnie, wy nic nie wiecie, nic nie wiecie...

Znała dobrze plac budowy, na którym się to wszystko odbywało, wiedziała, gdzie się wśliznąć i któredy przebiec, żeby zmylić biegnących za nią milicjantów-

Najpierw wśliznęła się między kawałki konstrukcji rozebranego dźwigu i tam znów krzyknęła — wszystko będzie dobrze, po co mnie gonicie?

Milicjanci wciąż za nią biegli i chcąc ją jak najszybciej złapać, otoczyli rozrzuconą konstrukcję. Myśleli, że ona nie ma już wyjścia i wnet znów wpadnie im w ręce, i znów będą ją mieć, i zacznie się wypracowywanie dla niej kary; no bo jak może się wymknąć z tej ogromnej, rzuconej na ziemię żelaznej sieci? Zgubi drogę, poobija się o ostre kanty i w końcu przy siądzie ze zmęczenia albo nawet upadnie razem z tym swoim martwym dzieciątkiem, które z obłądną gwałtownością wyszarpała z rąk „chrzestnego ojca”.

Teren, na którym leżał rozebrany dźwig, był^o przejrzysty

T medobry dla -uciekającego,- a dobry dla goniących, i dlatego z początku nikt nie miał wątpliwości co do tego, że nie uda się dzieciobójczyni umknąć i że zostanie ona złapana; dlatego też z początku ludzie jej pomagali goniącym, bo myśleli, że milicjanci sami sobie świetnie poradzą. W jakimkolwiek miejscu smagła brunetka będzie chciała wyjść spod tej żelaznej sieci, tam łatwo zbliży się milicjant i chwyci ją bez trudu.

Zdawało się, że uciekająca nie wymknie się milicjantom, bo wokół rozłożonej konstrukcji nie było żadnych rzeczy, które mogłyby stanowić dogodny dla niej schowek czy choćby zasłonę; a ten stos betonowych belek stropowych, mający formę dość długiej grobli przylegającej jednym końcem do tej żelaznej konstrukcji, rozłożonej na kształt dziwacznej sieci, a drugim podchodzący dość blisko do wysokich murów największego bloku pierwszej dzielnicy miasta, nie może — zdawało się — pomóc dzieciobójczyni; bo choćby się na ten stos wspięła z tym nieszczęsnym „pakunkiem” pod pachą, toby jeszcze bardziej była widoczna i uchwytna, gdyż mundurowi mogliby się ustawić z dwóch stron tego zwału i nie spuszczając jej z oka biec dołem, gdyby ona biegła grzbietem, lub iść sobie nawet spacerkiem, gdyby ona grzbietem zwału szła wolno.

Mogliby idąc spacerkiem i mając ją jakby już złapaną, i ciesząc się swoim świetnym sposobem wykrycia dzieciobójczyni, mówić do niej grzecznie i łagodnie — niech mamusia zejdzie do nas, bo W przeciwnym razie my wejdziemy na belki i sprowadzimy.

Smagła brunetka biorąc jednak kierunek na to z belek stropowych ułożone zwałisko, zbliżała się znacznie do niego. Dotąd biegła chyłkiem pod żelaznymi okami sieci, a teraz nagle stanęła w trójkątnym oku konstrukcji, wyglądała jak błazen cyrkowy, bo jej twarz ze smagłej zrobiła się czerwona, włosy się stargały, a na wydętych ustach miała białą pianę, której wciąż przybywało, tak jakby się najadła mydła.

Wyprostowała się w tym trójkątnym, stalowym oku i mając przy sobie to białe dziecko, zawołała do milicjantów wstrzymanych nagle w biegu i ustawionych przy tym żelastwie r— nie gońcie mnie, idźcie do domu, ja to sama załatwię, już wnet wszystko dobrze załatwię, wy nic nie wiecie, nic, nic... I znów się przychyliła,

i znów pod okami konstrukcji przesmy kiwała się w kierunku zwa- liska belek stropowych, a milicjanci znów zaczęli ją gonić.

Przy zwałisku betonowych części stropowych okazało się, że ona bardzo dobrze zna plac budowy i wie, co robi; bo nie wdra- pała się na ten zwał, na co wszyscy liczyli, lecz wsunęła się w jego wnętrze, w jej chyba tylko znane i może na nocne igraszki przez nią i jej chłopca wynajdywane nory tego zwałiskami znikła. Wpadło tam dwóch milicjantów, posiedzieli, pomyszkowali i wy- leżli, mówiąc, że jej nie ma, że się gdzieś zapodziała.

Teraz i robotnicy zaczęli pomagać mundurowym, jedni weszli do środka zwałiska, inni mieli baczenie na zewnątrz. Ale jak się okazało, szukali i stali na straży nie tam, gdzie powinni, bo ona, goniąc tymi wewnętrznymi norami i tunelami, przebiegła wzdłuż całą z betonowych belek usypaną groblę i ukazała się na jej drugim, zupełnie nie strzeżonym końcu. Ludzi tam nie było, bo wszyscy chcąc być jak najbliżej tego miejsca, gdzie milicjanci wprowadzili w życie swój sposób na wykrycie dzieciobójczyni, zeszli z murów najwyższego domu pierwszej dzielnicy miasta i próbowali podejść do dziewczyn lub wdrapać się na mury i stanąć w otworach okiennych i na płytach balkonowych domów bliższych.

Gdy ona zjawiała się na drugim końcu tego zwałiska, na wprost wysokiej, doprowadzonej w jednym narożniku już powyżej czwartego piętra ściany najwyższego bloku pierwszej dzielnicy, wszyscy zaczęli tam biec, ale nim dobiegli, ona wpadła już do środka budynku i znów na chwilę zniknęła z oczu goniących.

Potem milicjanci i murarze wlecieli do środka gmachu i rozpoczęła się gonitwa z dołu do góry, bo ona ukazując się i znikając pięła się w górę surowymi schodami bez poręczy i zabezpieczeń i wnet znalazła się na płycie stropowej najwyższego piętra. ,

Gdy tam dotarli najszybsi goniący, ona stanęła już niby nad przepaścią na zewnętrznej ścianie i odważnie, jak człowiek szalony, wspięła się ukosem muru na najwyższy narożnik i tym sposobem znalazła się w najwyższym wtedy punkcie miasta, które budowaliśmy, w punkcie, w którym mógł się zmieścić tylko jeden człowiek. Zrobić krok dalej z tego miejsca to znaczy runąć w przepaść.

Gonitwa musiała ustać, rozpoczęły się prośby i błagania o zejście z narożnika, o powrót choćby na płytę stropową czwartego piętra.

Dziś ledwie mogę odnaleźć to miejsce, gdzie ona wtedy stała; mniej więcej za tym wieczorami rozbłyskującym, to znów znikającym kolorowym napisem — Oszczędzajcie w PKO — ona wtedy stała. Chyba w tym miejscu nad literą P ona wtedy stała i odważnie patrzyła w dół, na plac, na dno przepaści pokryte zapasami cegieł.

Dziś tak dokładnie nie określi się, gdzie ona wtedy stanęła z tym martwym dzieckiem u swego boku, bo dom został wykończony, otynkowany, wstawiono okna, drzwi i balustrady na balkonach. Zdaje mi się jednak, że w tym miejscu, gdzie dzisiaj jest litera P, zaczynająca ten skrót PKO; a może w tym miejscu, gdzie jest mała litera „w”; dziś tego miejsca tak dokładnie nie da się określić.

Gdy ona stanęła w tym najwyższym punkcie najwyższego domu, na tym spiczastym narożniku, musiały być odrzucone wszelkie naigrawania, musiały być odrzucone złośliwe słowa — mateńka, niech mateńka, mamusia, niech mamusia... — kierowane do niej przez tego grubego milicjanta. Na to miejsce musiały przyjść błagania i prośby o zejście z muru, bo ona już teraz górowała nad wszystkimi, gdyż stała na niedostępnym szczycie domu, zabezpieczona przepaścią; i wystarczył jeden krok, aby runąć w dół, i dlatego nie można było wydać jej żadnego rozkazu, tylko prosić ją i błagać, a ona mogła usłuchać proszących albo ich wykpić i nie usłuchać.

Nikt nie wiedział, jak się odezwać do takiego człowieka, który zabił własne dziecko i z tym martwym dzieckiem wdrapał się na szczyt wysokiego domu, stanął tam i znalazł się na samym skraju przepaści. Co powiedzieć takiemu, który wymknął się ścigającym • go ludziom i tak się zabezpieczył, że nikt na świecie nie może go dogonić i chwycić, bo ścigany może zrobić krok i schować się na wieki wieków amen.

Jaka to ma być mowa do takiego, który wyszedł tak wysoko, że stanął nad rozkazami, nad prośbami, karami, obowiązkami, przepisami, grzechami, porządnościami, że wszystko pod nim wy-

dawało mu się śmieszne, głupie i nieważne, że nawet to miasto w takiej męce budowane wydawało mu się nieważne i mógł na nie plunąć.

Wszyscy w dole zgłupieli i rozdziawili gęby, bo nic im nie przychodziło do głowy i nie umieli wypowiedzieć ani „me”, ani „be”; bo wysoko nad ich głowami niby posąg stała smagła brunetka, rozczochrana, z pianą na ustach, pobielona wapnem, z martwym, białym niemowlęciem na rękach.

Wszyscy wiedzieli, że w takiej chwili powinno się przemówić inaczej niż zwykle, niż wtedy gdy się człowiek z człowiekiem spotyka na ziemi, ale nie umieli znaleźć tych innych słów.

Gruby milicjant, wschodniak* który przedtem był taki wymowny i swobodnie wyskakiwał z tym — mateńka, mateńki przecież to dzieciątko, niech się mu mateńka dobrze przyjrzy — zgłupiał teraz, wargi zaczęły się mu trząść i ogarnęła go wielka niemożność; ale próbował z niej wybrnąć, zaczął pobożnie wyciągać ręce do dzieciobójczyni i tymi rękami, i głową kłaniać się jej i namawiać ją, i prosić do odwrotu z tego winkla. Tak się zachowywał, jakby nagle zaczął ją bardzo szanować, jakby tu nie chodziło o dzieciobójczynię, a o jaką wielką panią, jakby chodziło o człowieka zacnego i zasłużonego albo nawet o jakiego świętego.

Gdy te pokłony rękami i głową nic nie wskórały u smagłej brunetki, dumnie wyprostowanej na szczycie muru, zaczął się wobec niej wyginać niby pokorny sługa, a potem tymi swoimi drżącymi wargami, które długo nie chciały przepuścić słów, powiedział — proszę pani, niech pani zejdzie z tego muru, nic złego pani nie zrobimy.

Ale to widać nie były słowa, które by mogły skłonić ją do zejścia z winkla i nie skłoniły jej, choć były takie eleganckie, wymawiane z uszanowaniem i pokłonami.

Drugi milicjant, chcąc ją namówić do zejścia z muru, wszedł na groblę ułożoną z belek stropowych i powiedział do niej także z wielką elegancją — przed panią życie, proszę pani, niech pani zejdzie z tego winkla, przed panią życie.

Ale ona jednak nie dała się nabrać na to długie życie, które by jeszcze mogło być przed nią, gdyby zsunęła się z winkla na płytę stropową czwartego piętra, i dlatego wciąż stała na murze z tym

swoim martwym dzieckiem na rękach i rozglądała się po całym ■ placu budowy.

Ktoś znów wychylił się z otworu okiennego i zwracając do niej głowę, wykrzykiwał — nie trzeba zasmucać mamusi i tatusia, trzeba się zlitować nad rodzicami i zejść z muru.

Te słowa i wiele innych, którymi ludzie ją namawiali do cofnięcia się z tego szczytu, nie podziałały na smagłą brunetkę i nawet nie mruknęła na nie z góry. Miała z pewnością wtedy swoje własne ważne myśli i nimi była zajęta, a także tym patrzaniem z góry na całą budowę i oglądaniem dużego koła ziemi.

Była niby ptak, który z wysoka bystro śledzi to, co się naokoło dzieje.

Tak patrząc, musiała dojrzeć duży, czerwony, fajermański samochód, który jechał w stronę tego domu, -na którym ona stała; i chyba sobie pomyślała, że fajermani podjadą pod ten dom, rozciągną i zastawią na nią w dole duże, mocne sieci i że wtedy przepaść przestanie być przepaścią i ucieczka będzie zagrodzona, bo z tyłu za nią jest płyta stropowa czwartego piętra^" na której czekają ludzie. A to oznacza życie, to jej, wiadomo jakie, życie; a pod nią będą miękkie fajermańskie sieci, czyli także to jej, wiadomo jakie, życie.

A gdy sobie pomyślała, że tam w dole szykują jej łagodne zejście z muru, że szykują jej powrót, stanęła na baczność przed tą przepaścią niby prosty żołnierz przed generałem, a potem ręką otarła pianę z ust, przygotowała je sobie do mówienia, i krzyknęła — wy nic nie wiecie, to była wielka miłość, wy nic nie wiecie! I zrobiła krok, i natrafiła na powietrze, i spadła w dół na słupki cegieł przygotowanych na mur.

Jeden stary, który stał na tej grobli uczynionej z belek stropowych, zdjął nagle ze spoconej głowy zakurzoną ceglany pyłem czapkę, klęknął na oba kolana i zaczął się modlić; o zbawienie jej duszy modlił się ten stary, żeby ta dusza mimo wszystko nie została potępiona i nie została wtrącona do piekielnych czeluści, żeby te grzechy, żeby podwójne zabicie tego samego niewinnego dzieciątka i zabicie samej siebie dobry Bóg wybaczył.

Kobieta stara, mieszkająca w małym domu, do którego budowa jeszcze nie doszła, przygnana tu ciekawością nakręciła się na

jedno i to samo mówienie — matka ją w bólach urodziła i ona w bólach urodziła, po co ją matka urodziła, po co ona urodziła, matka ją w bólach urodziła i ona w bólach urodziła...

Betoniarz z tej brygady, który bije fundamenty pod szkołę, złapał się za rozczochrany łeb i zaczął się złościć i kłać — po co tu przyjechała, kurwa mać, nie byłoby tego wszystkiego, gdyby tu nie przyszła, przecież mogła, przecież mogła siedzieć na dupie u matki i ojca, po co tu przyjechała, kurwa mać... wieczne odpoczywanie... On chyba był z jej stron i wiedział, że mogła pozostać u rodziców.

Rozdział XVII

A ja nagle zrobiłem się zły o to, na co nie było sposobu; że ta moja wieś jest daleko i że matka, ojciec, dziadek są daleko. Wtedy gdy są potrzebni, łążą po tej dalekiej wsi, płaczą się po polach i między drzewami, a tak by się przydali w pierwszych chwilach i godzinach, które nastąpiły po tym skoku smagłej brunetki. Ale oni umieją wygnać szóstego i zostać w piątkę, i później znów czyhać na szóstego, żeby zostać w piątkę.

Gdyby się tu nagle zjawiała matka, dopadłbym ją i potrząsnąłbym nią, i krzyknąłbym do niej — matko, bądź mądra, matko, i nie mów mi, że Bóg skarał smagłą brunetkę za to dziecko przedślubne. Kładźże mi tę swoją drucianą, patyczaną dłoń na plecach i mów mi tak — z różnych rzeczy składa się świat i życie i mogła się zdarzyć na świecie jakaś smagła brunetka, która wdrapała się na ostry winkiel i dała jeszcze jeden krok do przodu; ale z różnych rzeczy składa się życie, synu, i rozmaici kawalerowie z rozmaitymi pannami w cichości tworzą dzieci i świat się kręci, i życie idzie do przodu, i te dzieci rosna, i śmieją się, synu.w

I znów bym nią potrząsnął, i krzyknąłbym do niej — mów jeszcze, matko, mów jeszcze — jeden człowiek żyje tak, a drugi inaczej, synu, może się zdarzyć, że jeden wdrapie się na sam wierzchołek winkla dużego domu i stamtąd pomaszkuje w powietrze, a wielu pójdzie po robocie do domu, zje swoje jedzenie, pochodzi, pospoczywa, wieczorem połpży się spać, a wcześniej rano zerwie się z łóżka, bo musi się zerwać i pójść do roboty na budowę, żeby zarobić pieniądze i mieć je przy sobie na wszystko, co potrzeba.

Byłem zły o to, że ich nie mogę dosięgnąć wtedy, gdy mi są potrzebni. Tu się takie rzeczy dzieją, ludzie fruują w powietrzu, a oni orzą sobie i sieją, i jeżdżą wozami, wołają na konika — wiooo, gniadyJ I chodzą po sadzie w piątkę, bo takie było ich

życie, i (akie patrzyenie, i takie milczenie, że szósty musiał się sam wygnać.

Niechby się tu tylko zjawiał ojciec, dobrałbym się do niego i kazałbym mu mówić — różnych sposobów chwytają się różni ludzie, synu, są różne sposoby życia i tylko jeden, jeden jedyny jest taki, jaki wybrała smagła brunetka ze wschodniego krańca pierwszej dzielnicy miasta, to kropla w morzu, synu, nie myśl już, synu, o tym skoku smagłej brunetki.

I dziadka bym nie oszczędził, gdybym mógł go dosięgnąć, niechby także swoją zelżała od starości i jakby pustą w środku ręką gładził odziane w drelich plecy wnuka i niechby mówił mu, że to zdarzenie ze smagłą brunetką nie jest najważniejszym wydarzeniem na świecie, i niechby wreszcie powiedział wnukowi, że czekają go dobre dni, niechby wrzasnął na całe swoje stare gardło — wnuku, przed tobą życie, czekają cię jeszcze dobre dni!

Kogo miałem w chwili, w której stała mi przed oczyma ta smuga, ta krecha spadania smagłej brunetki z wysokiego muru, do kogo miałem pobiec, jak nie do tej Matki z budowy, jak nie do tego spowiednika zbłąkanych, grzesznych i zalęknionych.

Gdy do niej przybiegłem, porządkowała plac budowy, ona wiecznie porządkowała plac.

Mówię — wiecznie — bo porządkowanie terenu przy idącej budowie jest robotą bez początku i końca, człowiek robiący porządek na takim terenie musi sobie od razu powiedzieć — będziesz porządkował i porządkował i choć - - byś się na śmierć, urobił, porządku nie zaprowadzisz.

Matka trzymała dwie duże śruby, potrzebne do spinania ścian, w każdej ręce jedną, gdy do niej przybiegłem. Wziąłem od niej to żelazo i trzymałem w swoich rękach, żeby jej pomóc, a potem robiąc zuchowatą minę, powiedziałem jej, że jedna wysoka, tęga brunetka dała nura z winkła muru na cegły ustawione na placu i że skoczyła razem z dzieckiem, które przedtem utopiła w wapnie.

Zacząłem wyluszczać Matce szczegóły, ale mi przerwała mówiąc, że wie o wszystkim, bo już przede mną ktoś przyleciał do niej z tą wiadomością, i że nawet ludzie z jej placu wybrali się na miejsce wypadku, ale się spóźnili.

Widziałem kumpli z mojego dawnego miejsca pracy, którzy przyszli za późno i nie ujrżeli nic wielkiego, bo udało im się tylko

zobaczyć trochę krwi na ceglach, gdyż smagła i jej dziecko po odpowiednich oględzinach pogotowie szybko zawinęło w duży papier i odwiozło.

Krew na tych „kozyłkach” cegieł nie utrzymała się długo, bo murarze chlusnęli na nie wodą z kilku- wiader i ślad wszelki zaginał, tak że ci, którzy jeszcze bardziej się spóźnili, nic ciekawego już nie zobaczyli i musieli się zadowolić widokiem samego winkła muru i obmytymi z krwi i wapna „kozyłkami”, i zdać się tylko na przedstawienie sobie w myśli skoku smagłej brunetki; i od razu utworzyło się jakby kilka stopni ważności.

Najważniejszym był ten od wapna, który i niemowlę wyłowił, i przy śledztwie asystował jako ten niesamowity „chrzestny ojciec”, i ten żywy posąg na winklu, i skok, i to, co było zaraz po • skoku, widział, i na krew utrzymującą się na „kozyłkach” wodą chlustał.

Potem szli ci, którzy przy wszystkim byli z wyjątkiem wyłonienia. Potem ci, którzy nie zdążyli na śledztwo, ale skok widzieli, następnie ci, którzy przybiegli zaraz po skoku i zdążyli na oględziny; dalej ci, którzy dobiegli już tylko do samej krwi na „kozyłkach”, na ostatku ci nieważni, zawiedzeni i smutni, którym pozostało tylko wyobrażenie sobie skoku dziewczyny.

Gdym się znów zaczął zagłębiać w szczegóły, Matka przerwała mi — wiem, wiem, synku, to była ta dziewczyna, która obsługiwała betoniarke na szóstym odcinku, znałam ją, mieszkała w tym samym, co i ja, baraku.

I tyle, tylko tyle od Matki usłyszałem i jeszcze na dodatek to — nie myśl, synku, o tym, kto żyje, musi żyć i koniec; i schyliła się po następne dwie duże śruby, i wzięła je w dwie ręce, wyprostowała się i wolno szła z nimi do tego miejsca, gdzie miały być rzucone, a ja za nią z czterema dużymi śrubami, bo do tych, które wzięłem z jej rąk, gdy tylko tu przybiegłem, dobrałem jeszcze dwie, żeby jej pomóc w robocie.

Mam przed sobą jej wąskie plecy, przykryte brudnym, wypłowiałym drelichem. Wyżej jest ta jej szyja umordowana życiem, wzięta w dwie podłużne bruzdy, przykurzona i lekko drżąca od ciężaru trzymanego w rękach, a jeszcze wyżej głowa ściśnięta chustką niezupełnie skrywającą siwe włosy. Na nogach ma szerokie spodnie, także z drelichu, niegdyś granatowego, a teraz już

szarego, bo budowa bardzo nie lubi czystego granatu i zaraz go przefarbuje na swoją ukochaną szarość.

Choć na nogach Matka ma szerokie spodnie, da się zauważyć, że dla tych nóg śruby, które niesie, są za ciężkie.

Idzie bez słowa, a ja za nią, ogłupiały jej milczeniem i zgłodniały jej dobrego, mądrego kazania; ale ona nic nie mówi, tak jakby miała już dość pełnienia obowiązków „dobrego księdza”, „spowiednika” i pocieszyciela czwartego i nie tylko czwartego odcinka robót ziemnych, i nie tylko robót ziemnych, bo ja przecież wstąpiłem już na mur; tak jakby tym zaryglowaniem swoich warg, wyszminkowanych kurzem zmieszany ze śliną, chciała zapytać — a gdzie pocieszyciel ma swojego pocieszyciela, do kogo pocieszyciel pójdzie ze swoim smutkiem, czyś ty, synku, myślał o tym? Przynosiliście mi, synkowie, swoje smutki, grzechy i złe zamiary, przysuwaliście do mnie swoje rozgrzane twarze, odkrywaliście przede mną swoje wściekłe, okrutne i nieszczęśliwe dusze i mówiliście mi o dzieciach nielegalnie spłodzonych, o dziewczynach zdradzonych, o dziewczynach zażarcie nożem bronionych, O planach nie spełnionych.

Szłam z wami do tajnej bimbrowni, siadałam na kawałku drewna, a wy obok, stawialiście blaszane garnuszki z wódką i spowiadaliście się, spowiadaliście... a ja - dotykałam waszych głów rozczochranych i waszych twardych ramion i rozgrzeszałam was, i zadawałam pokutę... a potem odchodziliście i zostawałam sama. Tak myślałam o Matce, gdy szliśmy gęsiego przenosząc ciężkie

śruby z jednego końca składowiska materiałów budowlanych na drugi; bo to, co się stało ze smagłą brunetką, w jakiś dziwny, niepojęty sposób pomogło mi jeszcze lepiej spojrzeć na życie Matki; pomyślałam sobie, że ta szalona budowa i Matka spotkały się za późno i że ona się już nie mogła dopasować do żadnego bractwa budowy i choć była z nami, była sama, a samotnych budowa zmiata.

Do każdego bractwa, jakie ta budowa hoduje, przybyła za późno; bo jeśli nawet był w niej śladzik duszy chlebojadów i zupo- jadów, to jednak nie miała ona czego szukać w ich zakonie, bo przed stuprocentowym chlebojadem i zupojadem wrota przyszłości muszą być szeroko otwarte. On może paść u progu tych wrót, ale one stoją przed nim otworem i gdyby nie padł, mógłby w nie

wejść. On powinien mieć dużo czasu, bo jego droga jest długa, powinien mieć kawał życia przed sobą, żeby należycie spełnić to, co postanowił. Dlatego Matka nie może się już nadać do tego bractwa, bo spora część jej przyszłości stała się już przeszłością.

A już zupełnie śmieszną rzeczą byłoby to, gdyby chciała przyjąć „zakonną regułę” drugiego obok chlebojadów i zupojadów głównego bractwa na tej ogromnej równinie, to znaczy regułę tych młodzików zakochanych w budowie i trudnej robocie niepojętą miłością bez wzajemności, tych jakby samoudręczających się nie z miłości do siebie, ale z miłości do trudnej roboty, i dobrowolnie nopuszczających na siebie ze swojego bractwa wyłonionych kontrolerów-sprawdzczy, latających po budowie niby wiatr i dlatego zwanych lekką kawalerią, i poddających z ochotą swoją pracę surowym oględzinom, w przeciwieństwie do chlebojadów i zupojadów, którzy wprawdzie także dobrowolnie udręczali się, ale nie z miłości do trudnej roboty, lecz z miłości do siebie samych przyszłych, a równocześnie z nienawiści do siebie samych terażniejszych; bo stuprocentowy chlebojad i zupojad nienawdził siebie samoudręczonego — terażniejszego i swojego chleba gołego terażniejszego, a miłował siebie przyszłego, rozpieszczonego, i swój chleb przyszły z tłustą przykrywką.

Stuprocentowy chlebojad i zupojad żywił się czasem przyszłym, a stuprocentowy zwolennik reguły zakochanych w budowie młodzików nie myślał o sobie przyszłym, gdyż kochał siebie samoudręczonego, terażniejszego.

Było jeszcze na budowie wiele innych, pomniejszych bractw, ale już do żadnego z nich nie mogłaby się „zapisać” Matka, bo już do wszystkiego, co mogłoby ją pocieszyć i napędzić nadzieją, do wszystkiego, co działo się na tej równinie, przybyła za późno.'

Matka była bez przydziału, robotę miała, ale nie o taki przydział tu chodzi. Chodzi o takie zaczepienie się, żeby nie być samotnym wśród wielu ludzi.

Nie pozostało jej nic innego, jak zostać samotnym pocieszycielem innych, pozostała jej tajna bimbrownia, ta kapliczka trunkowych, w której siadała wieczorem i czekała na grzeszników, na tych winnych i na tych niewinnych; bo budowa hodowała i takich, i takich. Grzesznicy winni to tacy, którzy wiedzieli, co robią, gdy robili źle, a grzesznicy niewinni to tacy, którzy z głupoty,

z naiwności albo z ogromnej miłości, która ich oszołomiła, wpadali w tarapaty i chcąc się z nich wygrzebać, robili rzeczy złe.

Matka z początku miała wielu i takich, i takich, ale później było ich coraz mniej, bo chłopcy zaczęli się oswajać z życiem na budowie i sami sobie radzili.

Zdarzały się już takie niedobre wieczory, w których do Matki nie przysunął się żaden „grzesznik”. Już od czasu do czasu przeleciał wieczór i północ gdzieś tam wybiła, a Matce nie udało się ani jednego człowieka pocieszyć i nawet zabrakło okazji .do wygłoszenia tego jej ulubionego, wygłaszanego przy wódce, ale nie tylko przy wódce, kazania zaczynającego się od słów — synkowie moi, synkowie moi, pamiętajcie, żebyście wszystko kupowali sobie za własne pieniądze — i koszule, i wódkę, i portki, i piwo, zawsze za własne pieniądze, do ostatniego tchu za własne — bo chłopaki albo się nie zjawili, albo gdy przyszli, zbili się w swoje własne kółko i .rozprawiali o swoich sprawach, a jej siedzącej w ciemnym kącie raczyli tylko pokazać swoje plecy i tyły głów.

Już czasem zdarzył się taki wieczór; w którym nikt nie' potrzebował jej rady i pociechy, a zdarzył się i taki straszny wieczór, kiedy Matka tak-bardzo pragnęła kogoś pocieszyć, że zaczepiła jakiegoś chłopaka, o którym wiedziała, że nabroił i popadł w ciężkie kłopoty, i mówiła do niego — jak ci się żyje, synku? A on uśmiechał się i odpowiadał prędko — dobrze, dobrze, Matko — i wpychał się szybko między swoich, i tym samym dawał jej. znać, że sam przetrawia w sobie swój grzech i sam sobie daje z nim radę.

A gdy się takie wieczory zdarzały, musiało się Matce odechcieć pocieszania drugich, musiał ją w końcu zmierzić zawód pocieszyciela, bo stawał się niepotrzebny, gdyż „parafia” zaczęła się rozlatywać, a bimbrownia coraz częściej świeciła pustką, bo chłopcy wyszukali sobie lepsze miejsce na picie.

Niesiemy te ciężkie śruby, ona idzie przodem, a ja za nią. To, co się stało ze smagłą brunetką, pomogło chyba i Matce lepiej ujrzeć swój własny los, bo to każdemu kazało przejechać się po własnym losie i kazało pomyśleć, jak się ten los przedstawia; pewnie dlatego Matka tak niewiele powiedziała o tym skoku smagłej brunetki.

Patrzę na nią i po jej szyi i nogach poznaję — po tym najlepiej

poznać — że robota ją przemogła, nogi drżą, a szyja upodabnia się do grubo plecionej liny.

Patrząc na nią, już nie czytam z niej tego, co czytałem na początku, w pierwszych tygodniach po przyjeździe. Teraz wiem, że do tego — bądź pozdrowiona, święta roboto — trzeba dodać — jeśli się dasz zrobić, jeśli ci dadzą radę ręce, grzbiet, nogi i kark...

A do tego — bądźcie pozdrowione, deski i okrągłaki — trzeba dodać —■ jeśli się dacie unieść; a do tego — bądźcie pozdrowione, rany, zadarcia i drzazgi, wbite w ręce — trzeba dodać — jeśli ręce dobrze sobie poradziły z deską, okrągłakiem, wszelakim drewnem i żelastwem potrzebnym do robót ziemnych i szalunkowych.

Wiem, że trzeba to dodać, bo nietrudno mi zauważyć, że pomiędzy rękami Matki i tymi przedmiotami, które niesie, nie ma zgody, że się ta zgoda, która była na początku, już skończyła; gdy się wpatrywałem w jej dłonie trzymające śruby, zobaczyłem, że to żelazo chce jej odwinąć palce, wysmyknąć się z dłoni i upaść na ziemię, a dłoń próbuje się nie dawać i próbuje zwijać palce na żelazie.

Po tych ruchach palców, ich grze na śrubie, po tym jakby wyblagiwaniu łaskawości u okrutnego ciężaru, poznać słabość matki; bo gdy silna, młoda ręka niesie taką śrubę, nie poprawia sobie jej w palcach, nie bawi się w żadną grę z żelazem, w popuszczanie i zwijanie palców, tylko ją dobrze nimi opasuje i tak opasaną palcami niesie i donosi tam, gdzie trzeba.

A i po tej ogromnej uldze, po tym jakby frunięciu w górę w chwili rzucenia żelaza na oznaczone miejsce mogłem poznać, że Matka nie radzi już sobie z robotą i nie podchodzi do niej tak jak na początku, kiedy można było w Matce jakby czytać tę radosną litanię — bądź pozdrowiona, święta roboto...

Postanowiłem, że zbiorę naszą paczkę, ale bez Rumianego, zaprosimy Matkę do bimbrowni i urządzimy sobie piękny wieczorek.

Helene znalazłem na drugim krańcu placu naszego odcinka robót; gdy ja wstąpiłem na mur, ona została na starym miejscu, przy tych drobnych pomocniczych zajęciach. Najpierw z wszystkiego, jeszcze z tą zadyszką od szybkiego chodu, spytałem się jej, czy odczuwa w sobie to nasze dziecko; a gdy zdziwiona tyra moim niespodziewanym pytaniem odpowiedziała, że co pewien czas

odczuwa szarpnięcie, prawie krzyknąłem — to dobrze, że żyje.

Bo jeśli chodzi o nakazy, żeby darować życie naszemu dziecku i nie iść do małej, zatajonej izdebki, w której sprytna kobieta przerywa ciężę panienek, to pierwszy nakaz stworzyła we mnie Helena, gdy się dobrała do moich głębokich, czystych myśli, przywalonych myślami zapaskudzoną chęcią obsprawienia się od stóp do głów i w ogóle przygotowywaniem sobie wygodnego, pańskiego życia; a drugi nakaz przyszedł od Matki, od tej Matki z budowy, w czasie tej mojej jakby spowiedzi w tajnej bimbrowni; a trzeci nakaz, ten najmocniejszy, dostałem od tego wszystkiego strasznego, co się stało ze smagłą brunetką. Po tym wypadku tak bardzo Chciałem, żeby nasze dziecko żyło, że na tym placu robót pełnym ludzi ledwie się wstrzymałem od takiego podsłuchiwanie, do jakiego mnie namówiła Helena w olszynowym zagajniku, gdy przy pomocy bandaża opasywałem jej brzuch, przygotowując ją do spotkania z rodzoną matką, która zapowiedziała przyjazd.

Taki to był ten dzień, pierwszy dzień mojego na mur wstąpienia. W nocy nie mogłem spać, podszedłem do okna, psi król, garbus, w którego znów uwierzyłem, wyśmignął nagle ze swoją sforą z ciemności leżących za drutami budowy, tak nagle, jakby on i jego psy z niczego, z samej nocy powstały. I zaraz zza drutów opasujących budowę doleciało wycie.

Wycie i skomlenie idąc krajem doliny zaczęło opasywać budowę; najpierw przesuwało się po zupełnej ciemności blisko drutów, które niczego na ziemi, tylko samą ziemię zagroziły, żeby ją zabezpieczyć pod przyszłe place budowy.

Później wycie odgięło się i oddaliło od linii drutów niby wąż, żeby schować się przed półmrokiem tworzonym z nocy przez małe, pojedyncze i rzadko ustawione światła.

Potem trasa pędzącej sfory, pędzącego wycia i skomlenia jeszcze bardziej się wygięła i jeszcze bardziej oddaliła od ogrodzenia, żeby nie wpaść na już jasne światła, ustawione na krańcu pierwszej dzielnicy miasta.

Teraz droga wycia, odginając się jeszcze bardziej ku południowi, przebiegła po dalekim poboczu głównych domów pierwszej dzielnicy miasta, znajdujących się w ostrym świetle mocnych, wy

sokich lamp, domów, które na tę dolinę spadały co kilka tygodni jeden.

Teraz droga wyda i skomlenia znalazła się na wprost najwyższego domu pierwszej dzielnicy, tego z wystającym ku górze i ostro oświetlonym światłem dźwigu winkiem, na którym uposażowała się smągła brunetka, nim powiedziała — wy nic nie wiecie, to była wielka miłość — i nim dała nura na koziołki z cegieł.

W końcu trasa wyjącej sfory zaczęła się z powrotem wyginać w kierunku północnym, tak że na zachodnim krańcu pierwszej dzielnicy miasta znów przybliżyła się do ogrodzenia znajdującego się w półmroku.

Opasujące budowę wycie podeszło następnie do samych drutów, bo tam ogrodzenie znów utonęło w zupełnej ciemności.

Pomyślałem sobie, że ten wieczorek na cześć Matki trzeba zrobić jak najszybciej^ Dam znać Korbasowi, Młodziutkiemu, wezmę Helenę i może jakiegoś fajnego chłopaka z muru, i może któregoś z rowów fundamentowych, namówię Matkę i wybierzemy się wspólnie do bimbrazza na piękny wieczorek, żeby pogadać, powspominać, pozapominać, pośmiać się, porozczulać i w ogóle pięknie spędzić wieczór.

Pomyślałem sobie także, że trzeba się położyć i przespać, bo na jutro majster zapowiedział bicie rekordu na naszym murze. Dopiero jeden dzień byłem przy murarce i już bicie rekordu...

Na pewno będziemy próbować bić rekord, bo zaraz z rana, jeszcze przed tym, co się stało ze smągłą brunetką, przyszedł do majstra jeden taki i długo z nim rozprawiał, i co chwila powtarzał — plan, plan, plan — a przy pożegnaniu powiedział mocno — życzę powodzenia — a na końcu jeszcze mocniej — część pracy! Wiem, że po takim czymś zawsze przychodziło bicie rekordu.

Rozdział XVIII

Bicie rekordu rzucało szybko w niepamięć to wszystko, co się stało ze smagłą brunetką, rujnowało wszelkie ślady i zasypywało miejsca, w których stała i którymi się przemykała, gdy z martwym dzieckiem uciekła z szeregu podejrzanych panienek.

To miejsce, gdzie stały te trzy podejrzane dziewczyny, przysyp pano cegłami, bo na dzień bicia rekordu podrzucano nam więcej niż zwykle cegieł.

Skrzynia z wapnem została przesunięta bliżej muru i ten „chrzestny ojciec” uwijał się już w innym miejscu. Części dźwigu, które pomogły uciec smagłej brunetce, zostały nocą zmontowane, bo chodziło o to, aby w dniu bicia rekordu stanął przy murze dodatkowy dźwig. Belki stropowe, pod których osłoną smagła brunetka zbliżyła się do ściany domu, wyściełały teraz sobą sporą część placu, gdyż trzeba było je tak ułożyć, aby się dały najdogodniej przesuwać do muru i windować na stropy.

Gdy rozpoczęło się bicie rekordu, pierwsze na mur poszły cegły z tego koziołka, na który spadła ta dziewczyna.

To miejsce na wysokim winkl, na którym stanęła w tych swoich zakurzonych cholewiakach, wnet zostało przyłożone nowymi cegłami i winkiel poszedł jeszcze wyżej, bo musiał iść aż do pełnego czwartego piętra.

Nastąpiło zupełne ódkrwienie tego miejsca, gdzie ta dziewczyna upadła; bo gdyby, nawet po, kilku szybkich chluśnięciach wodą mogły jeszcze zostać jakieś plamki krwi, to zostały one wraz z cegłami zabrane, starte, zamazane zaprawą murarską, unicestwione na nic, na zero; a jeśliby te plamki zostały na ziemi, a mogły się przecież rozprysnąć koło cegieł, obróciły je w nic, w zero podeszwy, cegły, koła i wiele innych rzeczy w tę ziemię bijących, tę ziemię trących i kłujących i tę ziemię przygniatających. Musiało więc nastąpić całkowite ódkrwienie miejsca upadku; bo taki jest porządek budowy i w ogóle porządek życia.

Gdy sobie przypominam tamto dawne bicie rekordu i gdy patrzę w myśli na szóstkę chłopaków, którzy gotowali się do tego wyścigu — ja byłem na dalszej pomocy, przy dosuwaniu cegieł — i gdy widzę, jak drga ścięgno na twarzy krępego, bladego, ale silnego chłopaka, który w tej szóstce jest najważniejszy, gdy widzę, jak mu ze zdenerwowania chodzi pod policzkiem ta podskórna glista, i gdy widzę w myśli, jak oni ten rekord biją, to pytam samego siebie i wszystkich, co się stało, że dziś nie ma już takich chłopaków, że się już tacy nie narodzili; co się stało z matkami, że już takich nie rodzą, i co się stało z ojcami, że już takich chłopaków nie płodzą, i co się stało z tymi miejscami, łózkami, z tą słomą i z tymi zgrzebnymi prześcieradłami, na których się tacy urodzili; i co się stało z tymi kołyskami na biegunach albo zawieszonymi u powały, w których się tacy chłopcy kołysali.

Gdy . widzę w myśli tamto bicie rekordu, to pytam się, kto zatracił, kto zabił i złożył do grobu, jaki robak stoczył tę wielką ochotę do pracy, która była w tamtych chłopakach.

Pytam się samego siebie i wszystkich, jak się to stało, że tamci chłopcy nie mogli dać swojej ogromnej ochoty do pracy chłopakom, którzy przyszli po nich.

Oni mieli ciągnąć mur z prawej strony tego wypustu, z którego skoczyła smagła brunetka. Gdy tam weszli, pod twarzami w dole mieli kawał ziemi, która wymknęła się budowie, gdyż był na niej cmentarz, a tego się nie tyka. Dalej widziało się schodzący ku rzece spad, a za nim micheł mokradła nie nadającą się pod budynki.

Było jeszcze trochę czasu i jeden z chłopaków, ten najlepiej oswojony z wysokością, wdrapał się na ten winkiel i mówił — tu ona stała, tu stała, chłopaki, ona tu stała — a potem powiedział, że z winkla dobrze widać całą budowę; ale zaraz zszedł, bo wnet się miało rozpocząć bicie rekordu i trzeba była należycie rozstawić się, żeby najlepiej wykorzystać czas i nie stracić ani jednej sekundy, bo za sekundę można złapać cegłę i wykonać kawałek ruchu; bo w gruncie rzeczy chodziło o to, aby cegła najkrótszą drogą i najszybciej doszła do muru i na mur spadła.

Wiele zależy od dobrego rozstawienia się murarzy i pomocników, a także od tego, gdzie są i jak są podawane cegły, i od tego,

jaki jest dostęp do zaprawy i jak jest oña brana, i jak z kielni rzuca na mur. Chłopaki mają robić według nowego systemu, na który wpadli I jednego wieczoru przy wódce, może w tajnej bimbrowni, a może gdzie indziej. Oni przy biciu rekordu nie będą rzucać zaprawy pod każdą cegłą, ale będą rozprawiać warstwę pod większą ilość cegieł.

Gdy sobie przypominam, jak oni się gotowali do tego bicia rekordu, jak się rozstawiali, jak dokładnie wytyczali drogi dla nóg, rąk i cegieł, i gdy widzę w myśli tę ich ogromną ochotę pobicia rekordu na murze, nie gdzie indziej, nie przy tłumie, nie przy fotografach, nie przy wykrzykiwanych podziwach, ale na murze, na gołym murze, na zwykłym murze, pod którym nikt nie stoi i nie czai się z Wiwatem i tylko betoniarką chrobocze, na którym oprócz bijących rekord jest kilku ludzi, którzy będą liczyć cegły i mierzyć czas, gdy to widzę, to mi żal, że nie mogę już spotkać chłopaków, którzy by się tak brali za robotę; którzy by się zeszli w fajnej bimbrowni albo gdzie indziej i którzy by się tręcili blaszanymi garnuszkami albo szkłem i do swojej gadki o dziewczynach, o rozróbach, o nocach w gęstych krzakach dorzucili (nagle takie słowa — czternaście tysięcy cegieł w sześciu za osiem godzin kładą chłopaki z Warszawy i mają rekord, może dałoby się ich pobić...

A po następnych łykach do swojej rozgrzanej rozmowy o dobrych panienkach z budowy i do swoich przekleństw dodali ni stąd, ni zowąd — musimy pobić tych skurwysynków z Muranowa, wystarczy jedna cegła więcej.

A później do jeszcze bardziej rozgrzanej, do gorącej, prędkiej i głośniejszej rozmowy o najlepszych dziewczynach, na wyścigi wpadali — wstyd, chłopaki, wstyd, sakramencki wstyd, że to oni, a nie my.

A potem — damy im bobu, pokażemy im, przekonają się, zobaczą, niech nas jasny piorun świeśnie, niech nas baba cyckiem zabije, jeśli nie zobaczą.

— Czternaście tysięcy cegieł, czternaście tysięcy cegieł, co to jest...

— To jest sporo...

*— Co to jest... , — To jest dużo.

—Gównno.

— Dużo.

— Gównno.

— Dużo.

— Jak się boisz czternastu tysięcy cegieł więcej jedna, to spierdalaj.

— Nie boję się.

— Spierdalaj!

— Nie boję się. Jak Boga kocham, nie wyrzucajcie mnie.

—I Powiedzieliśmy, spieprzaj!

ijjfi Nie boję się, już się nie boję.

— No to zostań, zostań.

Co się stało, że nie ma już chłopaków, którzy by się tak kłócili, gdzie się podziały takie kłótnie, jaka zaraza je wygubiła...

Szóstka chłopaków wciąż się ustawiała, a ten ryzawy o pociągłej, deskowatej twarzy, ten, który się bał i mówił przy wódce, że czternaście tysięcy cegieł to dużo, odwrócił się na krótko od piątki kolegów i przeżegnał się pośpiesznie, robiąc niewielki krzyż na swojej piersi, a potem się rozkraczył i przychylił nadmiernie i przez chwilę wyglądał tak, jakby się na niebo miało rzucić wielkie złe zwierzę, a on gotował się do obrony.

Widać od razu, że jest to chłopak, który ma czułą duszę i płoszy się łatwo; choć się go utwardza słowem ostrym, brzydkim i choć się go ugniata na twardego kpina, przekleństwem, mocnym trzaśnięciem w plecy otwartą ręką, to jednak się płoszy, bo ma czułą duszę, a na to się nie poradzi, żadne przekleństwa, żadne pioruny, cholery nie poradzą i nie utwardzą czulej duszy; może się zdawać, że jest już utwardzona, bo chłopak będzie pierwszorzędnie przeklinał i wyjdzie ci nawet z „krucyfiksem", co według mnie jest tutaj, na budowie, najgroźniejszym słowem, i będzie pierwszorzędnie rozprawiał o dziewczynie i dokładnie ci ją opiszę od szyi do kolan i wszystko, co ona ma, nazwie mocno, bez żadnego obciachu, tak jak się na budowie nazywa, ale gdy się w niego wtedy wpatrzysz, to poznasz, że to powłoka, powłoka, bo czuła, spłoszona i nieśmiała dusza pozostanie na zawsze czułą, spłoszo

na i nieśmiałą duszą i wciąż będzie taka, jakby się ją co dopiero wyjęło z kołyski, i nie da się niczym, żadną twardością życia utwardzić.

Ale te czułe, spłoszone i nieśmiałe dusze to są jakby ozdoby na tej wielkiej budowie, to są jakby jej różowe kwiatuszki; można je spotkać na każdym odcinku robót^ przesadzone z sadów, łąk i pól kwitną przy betonie, żelazie, cegle, na dnie głębokiego wykopu...

Pod winkiem, na którym stała smagła brunetka z martwym dzieciątkiem i w żaden sposób, żadnymi eleganckimi i zdrobniałymi słowami nie dała się namówić na życie, bo ona już wtedy była nie jak człowiek, a jak zrzucony posąg, pod tym to winkiem wybuchła ostra rozmowa, prawie kłótnia — ale to nie była kłótnia — między brygadą, która za chwilę miała bić rekord, a pomocą, bo chodziło o to, żeby ludzie i rzeczy tak poustawiać, aby później robota szła niby ostry, nieprzerwany potok z dołu do góry.

Gdy się stawia miasto, to najpierw trzeba pójść w ziemię, i robią to brygady ziemne, ale już betoniarze odbijają się od dna rowu i idą w górę, a murarze idą jeszcze wyżej; i dlatego murarski potok musi się wspinać w górę, a przy biciu rekordu musi się wspinać szybko i nie może się urwać.

Ale ta niby kłótnia między chłopakami z brygady a pomocą musiała się skończyć, bo zbliżała się godzina rozpoczęcia roboty przy biciu rekordu i w dole chrobotą już betoniarka.

Chłopaki odskoczyli na chwilę i skryli się za załomem tylnej, północnej ściany domu, żeby spuścić wodę z pęcherzy, bo to było ważne, aby się tym nie zajmować w czasie bicia rekordu; a musieli wybrać takie miejsce, aby przy spuszczeniu tej „wody” z góry na sam dół nie trafić nikogo w głowę. To spuszczenie „wody” z góry na samą ziemię i patrzenie, jak ona leci długą, złocistą nitką i jak się perli uderzona z rozmachem o twary grunt albo o cegłę, albo o coś z betonu, to była ich ostatnia, przyćmiona zdenerwowaniem, mała zabawa przed rozpoczęciem bicia rekordu; bo gdy tylko wrócili, a musieli wrócić szybko i w-biegu poprzepinać spodnie, majster dał znak i zaczęło się.

Do pierwszego potu nie było jeszcze zgrania, bo zawsze tak jest przy szybkiej i nerwowej robocie. Do pierwszego potu strumień roboty nie przepływał równomiernie, tworzyły się jakby zatory i trafiały się przyhamowania i rwania, aż przyszedł pier

wszy duży pot i oblepił chłopaków od głów do nóg, bo dzień był gorący.

Gdy jest bicie rekordu, pot na plecach, piersiach, na nogach, w pachwinach, na szyi nie przeszkadza, ale pot w brwiach bardzo przeszkadza, bo z brwi idzie do oczu i wtedy ma się przed sobą mgłę i trudno patrzeć. Pot w brwiach to zaraz oznacza wycieranie oczu ramieniem — nie dłonią, bo dłoń jest brudna i ma na sobie proch, którym można by oczy zaproszyć — ale znów ramię jest mokre od potu i lepiej wycierać oczy chusteczką, a nie zawsze się ją ma w kieszeni; a gdy się ją ma, to pot w brwiach oznacza wyjmowanie chusteczki z kieszeni, podnoszenie jej do oczu i wycieranie, czyli pot w brwiach przy biciu rekordu może oznaczać stratę czasu i co za tym idzie, przyhamowanie strumienia roboty; i dlatego jest niedobry i często przeklinany.

Kto nie był w szybkiej, nerwowej robocie na murze w gorący dzień, ten nie wie, ile złorzeczeń, przekleństw, ile jasnych piorunów i cholera spada na pot przyczajony w brwiach i zmienacka wpływający w oczy.

Ale chłopcy zaczęli z wolna wychodzić z pierwszego potu i ruchy ich, a także ruchy cegieł, kielni i zaprawy, i innych- potrzebnych w tej robocie rzeczy pozbywały się rwania i nabierały równomierności, i stawały się ciągiem.

Rekord może być pobity tylko wtedy, jeśli jest zachowany nieprzerwany ciąg pracy, gdy betoniarka, winda, chłopcy z pomocy i chłopcy, którzy biją-rekord, gdy wszystko dopasuje się i stanie się jakby jedną istotą.

Rekord może być pobity tylko wtedy, jeśli nic nie zatrzyma ruchów tej jednej istoty. Zatrzymanie jest najgorsze, bo trzeba od nowa brać rozmach, znów powtarzać początek, a to oznacza ponowne dopasowywanie się i ponowne nieskładne, nerwowe i nie służące biciu rekordu ruchy.

Rekord możesz pobić tylko wtedy, gdy nie myślisz ani o ojcu, ani o matce, ani o rodzinie, ani o ślicznej panience, z którą masz się spotkać wieczorem, a jesteś tylko jednym kręgiem tej jednej istoty, w którą powinna się zamienić robota.

Długo by można rozprawiać o biciu rekordu i przyrównywać go do różnych zdarzeń, do bójki także; bo gdy jesteś w bójce, miłe myśli o tych wszystkich, których kochasz i którzy ciebie

kochają, musisz odstawić, bo chcesz zwyciężyć i dlatego w bójce z drugim, jak i w biciu rekordu na murze, liczą się tylko najlepsze ruchy, takie, do jakich doszli chłopcy po wstępnych rwa- niach i przyhamowaniach, po tej całej wstępnej nieregularności, która trwała właściwie do pierwszego dużego potu.

Teraz są zgrane ruchy i jest nieprzerwany ciąg, który jest duszą każdej dobrej roboty, także roboty murarskiej.

Gdy tak pójdzie, rekord na pewno będzie pobity, żeby się tylko gdzieś nie zakrztusiła robota.

Zakrztusiła się po trzech godzinach, u samego dołu, bo chrobot betoniarki ni stąd, ni zowąd przycichł, przemienił się w głuchy szum, a potem zupełnie ustał. Pobicie rekordu zostało poważnie zagrożone, bo jeśli nie dopłynie zaprawa, robota się zawali i będą nici z rekordu.

Ale przylecieli chłopcy z innych pobliskich murów;- skądś się dowiedzieli o zepsutej betoniarce i przylecieli ci chłopcy przynależni z pewnością do tego samego, co brygada bijąca rekord, zaprzysięgłego budowie zakonu młodzików łaknących ciężkiej, trudnej roboty niby ryba wody.

Dosuwają skrzynie, sypią cement, piach, wrzucają wapno, leją wodę i mieszają ręcznymi mieszakami o długich trzonkach, ratują ciąg brygadzie.

Gdy sobie to teraz po latach przypominam, to napelniam się takim żalem, że wyszedłbym na ruchliwą ulicę miasta, którą budowaliśmy od rowu do komina i którą zbudowaliśmy, i na tej ruchliwej ulicy wołałbym — gdzie są chłopcy z dawnych lat, gdzie są chłopcy z dawnych lat...

Starszy obywatel oszalał -^- mógłbym dziś usłyszeć po takim wołaniu — coś się stało starszemu obywatelowi i wzywa chłopców z dawnych lat.

Chłopcy z pobliskich' murów pomogli brygadzie, przygotowując ręcznie zaprawę do chwili naprawienia betoniarki; ciąg roboty przy biciu rekordu został uratowany i jeszcze równiej i szybciej sunął z dołu do góry.

Gdy minęły cztery godziny, majster podszedł do brygadzisty i nie za głośno, żeby nie płoszyć chłopaków dobrą nowiną, ale na tyle głośno, żeby wszyscy usłyszeli, powiedział, że rekord jest pobity.

Po jego słowach przez brygadę przeszła jakby elektryka, zadowolenie wyszpanowało chłopaków na chwilę i przejściowo, tak jakby podparaliżowało brygadę i tych z pomocy, tak jakby podparaliżowało cały ciąg, który przecież nie mógł ustać, bo do pełnego czasu wyznaczonego na bicie rekordu zostały jeszcze cztery godziny.

Ale chłopcy zaraz wyszli z tego „paraliżu”, który chwytą duszę i z duszy przenosi się na ciało, gdy przychodzi wielkie zadowolenie.

Robota znów potoczyła się równo i szybko i można było ujrzyć wspaniałą murarkę, nie murarkę, lecz samą czystą, nie splamioną żadnym niepotrzebnym ruchem, istotę murarskiej roboty, to znaczy ciąg doskonały, który zdarza się wtedy, gdy ludzie między sobą i rzeczy między sobą, a także ludzie z rzeczami i rzeczy z ludźmi dojdą do pełnej zgody, jakby do braterstwa.

Dlatego te godziny, które nastąpiły po uratowaniu ciągu zagrożonego zepsuciem betoniarki i po zdobyciu rekordu można by nawet nazwać świętymi godzinami.

Miałem to szczęście, że byłem w tej robocie, wprawdzie na dalszej pomocy, przy której potrzebne były ruchy proste, zwykłe — schylić się, złapać za brzeg skrzynki z zaprawą i przesunąć, i znów się schylić, i znów przesunąć skrzynkę z zaprawą; wprawdzie na dalszej pomocy, ale byłem w tej robocie i wielu innych miało to szczęście, że patrzyło na te święte godziny; ale wielu tego szczęścia nie miało i tych godzin nie widziało.

Gdy wspominam tamten czas, to myślę sobie, że przydałaby się nam dziś bodaj jedna taka święta godzina, bodaj jedna taka święta minuta, bo mogłaby rozmnożyć inne. Coś się stało i przepadły takie godziny i czas ich już nie rodzi... i nie ma już takich chłopców, takich speców od takich godzin.

Przy końcu roboty brygada ułożyła ponad 24 tysiące cegieł na murze głównego domu pierwszej dzielnicy miasta. Wiele warstw cegieł zostało położonych na tym winkle, z którego skoczyła w dół ta szalona, smagła brunetka, ta samobójczyni i dzieciobójczyni; poczynając od tego miejsca na winkle, którego dotknęły karbowane, rysujące ślady na białym prochu podeszwy jej gumowych cholewiaków, mur znacznie podszedł w górę i gdyby go mierzyć jej wysokością, to za te osiem godzin pracy przy biciu,

pobiciu i podwojeniu rekordu mur podniósł się na wysokość trzech takich smagłych brunetek.

Wtedy jeszcze ten poziom, na którym były jej stopy, zaznaczał się, bo da się rozróżnić mur wcześniejszy od muru późniejszego, ale potem ta różnica się zatarła i trudno byłoby wyznaczyć dokładnie miejsce jej uposażowania się na chwilę przed śmiercią.

Brygada weszła w ostatnią, ósmą godzinę pracy, a licząc od chwili pobicia rekordu w ostatnią z tych czterech godzin nazwanych przeze mnie świętymi, nazwanych tak słusznie, bo w drugiej połowie czasu przeznaczanego na bicie rekordu chłopcy dali robocie to wszystko z ciała i duszy, co tam mieli najlepszego i jakby ich robota nie była zwykłą murarką, zwykłym kładzeniem cegieł na murze, zwykłym chrobotem betoniarki i zwykłą jazdą - windy z ceglami, a czymś znacznie więcej, czymś takim, które trzeba nie tylko zrobić, ale się temu z wielkim uszanowaniem pokłonić; i tak jakby ci chłopcy z brygady, którzy normalnie i wódką nie gardzili, i na panienki dybali, i przekleństwo rzucili, tak jakby oni w tej robocie byli kimś więcej niż zwykłymi murarzami, jakby chcieli nie tylko tę robotę najszybciej i najlepiej zrobić; ale także ją uczcić.

To rai podpadło' i to mi zostało, a do tego dołączył się żal, że skończyło się takie uszanowanie i takie czczenie, i dlatego wyjechałem z nazwą — święte godziny.

A i ta jedna rozpalona, gorąca cegła, która się trafiła wśród cegieł zimnych, ta jedna niezwykła cegła wśród cegieł zwykłych, która brygadę, a głównie brygadzystę poddała dużej próbie, sprawiła, że o tamtej robocie tak mówię! bo mniej więcej w połowie ostatniej godziny pracy brygadzista, ten blady, ale silny chłopak, złapał kolejną cegłę i natychmiast ją wypuścił razem z tym wspomnianym już przeze mnie .najgroźniejszym przekleństwem, wykrztuszonym tak, jak się je wykrztusza, gdy złość połączy się z bólem; wypuścił cegłę i stanął na tych swoich podgię- tych, lekko kabłąkowatych nogach twarzą do całej brygady i rozcapierzył, i wystawił przed siebie swoje grube dłonie, na których były brązowe plamy z poparzenia, i powiedział cicho — patrzcie...

Ale ciąg pracy idący wzdłuż muru i z dołu na mur wychodzący napał na niego i on to zrozumiał, i zrozumiał także, że do końca roboty pozostało pół godziny, i wyszedł z tego rozcapierzenia, i za

czął brać w te poparzone dłonie dalsze zwykle, niegorące cegły i układać je na murze, i tym sposobem ciąg został znów uratowany.

Gdy majster powiedział, że minęło osiem godzin i że brygada położyła na murze 34 tysiące 728 cegieł, chłopcy najpierw z wszystkiego, jeszcze nim rozpoczęli badanie, kto podrzucił brygadziście rozpaloną cegłę, pobiegli do załomu północnej ściany domu, żeby czym prędzej wypuścić „wodę” z pęcherzy, bo przez osiem godzin nie mogli tego zrobić. Brygadzista z trudem rozpinął spodnie, bo palce miał poparzone i bolało go bardzo, gdy nimi dociskał guziki; bo gdy minęła gorączka roboty, ból dał ostro znać o sobie i stałe się nasilał. Zapiąć spodnie było jeszcze trudniej niż odpiąć, brygadzista męczył się i męczył, i posykiwał z bólu, a guzików nie dało się wepchać w dziurki, bo brzuszek palców prawej ręki były najbardziej poparzone, aż w końcu ktoś z brygady musiał szybko zabezpieczyć mu rozporek, gdyż już w stronę zwycięzców kroczyli dostojnie — majster, kierownik odcinka, sekretarz i ktoś z dyrekcji, żeby złożyć gratulacje.

Brygadzista nie mógł się z nimi przywitać normalnie, bo prawa dłoń bolała go coraz bardziej i musiał zamiast dłoni podać im przegub ręki.

Po tej ceremonii szybko zlecieliśmy na dół, żeby zbadać sprawę podrzucenia rozgrzanej cegły. Nietrudno było się dowiedzieć, kto to zrobił, bo między ludźmi nic się nie skryje. To jasne, że w tym badaniu musiało się wyjść od ognia, musiał przecież być ogień, żeby się znalazła rozgrzana cegła. Na tej cegle — wziął ją któryś z brygady przez papier i zniósł na plac — było parę kółek rozlanej i zakrzepłej smoły.

Ogień i smoła to w tym wypadku wiele, to właściwie wszystko, co trzeba wiedzieć, żeby pokazać palcem winowajcę i żeby mu dać w mordę z lewa, z prawa i żeby go na dodatek kopnąć w d.ę.

Przesmyknęliśmy się między koziołkami cegieł i już byliśmy w tym miejscu, gdzie leżały na stosie blaszane beczki z lepikiem. Niedaleko tych beczek paliło się niewielkie ognisko, a nad nim ustawiona była jedna specjalna beczka, a w niej roztopiony lepik — jedni mówili lepik, a inni smoła, ale chodziło o jedną i tę samą rzecz.

Przy ognisku stał z zasmołowanym drążkiem-mieszakiem w ręce

niewielki chłopak; miał on czerwoną twarz i piegi, i bardzo niskie czoło, między czarnymi brwiami i czarnymi włosami nie było wiele miejsca, taki tylko jakby przesmyk; więc ten, który trzymał cegłę — już nie przez papier, bo ją ostudził wodą — wysunął się do przodu i podstawił rękę z cegłą pod sam nos temu od smoły, tak blisko mu podstawił, że może go nawet drapnął kantem, i spytał się go — poznajesz ją?

Lepikarz, któremu drgnął nieznacznie kącik ust, cofnął się i podparł na czarnym drążku, a potem odpowiedział tyle cegieł na budowie... ^

Chłopiec z brygady bódł coraz ostrzej tą cegłą lepikarza, który nie mógł się już cofnąć, bo wzięliśmy go w ciasne "kółko bez wyjścia, a do tego odebraliśmy mu drążek i przytrzymaliśmy ręce; ten z brygady tak bódł go tą cegłą, że została ona przysunięta do twarzy lepikarza niby jaka zasłona, a potem już nie przysunięta, a przyciśnięta, tak że ugniotła mu nos i położyła się na ustach, i dotknęła czoła.

Chłopiec z brygady trzymał cegłę na twarzy lepikarza i mówił.— przypatrz się jej dobrze, to ją rozpoznasz; i zaraz potem, macając mu twarz cegłą, powtórzył to samo, co powiedział na początku — poznajesz ją; i znów jeszcze mocniej tą cegłą twarz mu macając — czy ją poznajesz, mów...

Wtedy ten, króty topił smołę, cofnął swoją głowę, uwolnił usta od tego przymusowego pocałunku i powiedział — od samego początku topię tu lepik.

Po tych jego słowach, które z początku wyglądały na wymigiwanie się od wyjaśnienia prawdy, chłopiec z brygady chciał jeszcze mocniej pomacać go cegłą, ale on dodał — od samego początku, budowy rozbijam, topię i mieszam smołę i nic więcej.

To już wyglądało trochę inaczej niż wymigiwanie się od powiedzenia prawdy, choć i trochę z wymigiwania mogło w tym być; ale był w tym początek czegoś dłuższego i myśmy to zaraz dostrzegli, i chłopiec z brygady odsunął od niego cegłę.

Wtedy lepikarz znów się odezwał — to tylko robię, bo się do czego innego nie nadaję, majster powiedział mi: ty masz ręce i głowę tylko do smoły; majster powiedział cicho inżynierowi za moimi plecami — on nadaje 6ię tylko do smoły. Ludzie przechodzą z miejsca na.miejsce, a ja wciąż jestem przy tym ognisku.

Poluźniliśmy to ciasne kółko, po to na początku wokół niego zrobione, żeby się nam nie wymknął i żeby dostał nauczkę, rozsunęliśmy się, aby nie czuł się tak przyciśnięty i nie miał przeszkody w mówieniu, bo byliśmy ciekawi, jak on dojdzie do tego podrzucenia rozgrzanej cegły.

A on mówił dalej — matka napisała mi w liście: czy ty, synu, wciąż jeszcze jesteś przy tej smole; a ja jej odpisałem — nie, mamu, już nie jestem przy smole, poszedłem wyżej, układam cegły na murze; ale przecież ja nie układam cegieł, tylko robię przy lepiku; przywożą mi i zrzucają beczki z lepikiem, rozdieram je kilofem, rozbijam lepik na małe bryły i topię go; przychodzą z wiadrami i mówią do mnie — jak się masz, Belzebubie; wciąż — jak się masz, Belzebubie; bo ja wciąż podgrzewam i topię smołę; gdy tylko ze wsi ze służby tu przyjechałem, od razu wzięli mnie do lepiku i tak zostało, i znów jestem na służbie.

Niektórych chłopaków zaczęła denerwować ta jego mowa, bo oni chcieli jak najszybciej dowiedzieć się, jak było z tą rozgrzaną cegłą i nawet mieli ochotę „przycisnąć” lepikarza, ale brygadzysta i ci cierpliwszi powiedzieli — niech mówi.

A on — nikt się nie zapytał, ile beczek smoły wytopiłeś; całe góry wytapiam, ale nikt nie podszedł do mnie i nie spytał się — ile wytopisz za godzinę, ile za osiem godzin; każdy przychodzi tylko z tym — jak się masz, Belzebubie? Gdy się od samego początku nic innego nie robi, tylko topi smołę, to się nikogo nie lubi.

Gdy to powiedział, to tak jakby się przyznał, że podrzucił brygadziście gorącą cegłę, że rozgrzał ją w swoim ognisku i później ją dołożył do tych, które szły do brygadzysty, nikt nie zauważył, bo nikt się tego nie spodziewał, pierwszy raz zdarzyło się coś takiego.

Kilku niecierpliwych chłopaków uznało, że nadszedł czas, aby mu dać po mordzie; Zrobili nawet krok do przodu i odstawili nawet ręce od tułowia, tak jak się zwykle robi, gdy się ma kogoś trzasnąć w pysk; i oni trzasnęliby go, bo już jeden z nich krzyknął na lepikarza — ty filozofie; a drugi — ty cholerna świniu — ale ci cierpliwszi, a wśród nich brygadzysta, wstrzymali tych prędkich, bo oni na świństwo, które zrobił lepikarz, popatrzyli inaczej, bo on bardzo chciał być na murze, tak bardzo chciał, aż go ta chęć

zamroczyła, aż się stał świnia; gdyby zrobił świństwo bez tej ogromnej chęci albo z chęcią i możliwością przejścia do murarki, to wtedy nic innego nie robić, tylko bić w mordę, bić w mordę z całych sił; ale on stał się świnia, bo bardzo chciał, a nie mógł, bo ta ogromna chęć i niemożność tak się w nim pomieszały, poplątały/ i pozakręcały, że stał się świnia, nieszczęśliwą świpią; a co zrobić z takim?

Między „tylko świnia” a „nieszczęśliwą świnia” przepaść. Świnie walić po pysku, ile wlezie, a co zrobić z nieszczęśliwą świnia? Co zrobić z takim? Dasz mu w mordę, to on albo będzie próbował ci oddać, albo się rozplacze, ale ta chęć przejścia od lepiku na mur i ta niemożność przejścia jeszcze mocniej się w nim pomota i pozakręca i może się on stać jeszcze bardziej nieszczęśliwy i jeszcze bardziej świński.

Po tych słowach — ty filozofie, ty cholerna świnio — lepiarz cofnął się i zaczął poruszać wargami, i to tak wyglądało, jakby szukał słów, które by mogły powstrzymać tych niecierpliwych i nacierających na niego; ale znalazł w sobie tylko tę bezmyślną litanię — nie cierpię lepiku, nie cierpię lepiku, nie cierpię lepiku... Powtarzał ją aż do żalnego pisku, aż do zwilgotnienia oczu. Zrobiło' się dziwnie, bo nie wiadomo było, czy bić w mordę, czy przebaczyć; bić w mordę — to może za ostro, bo w nim była splątana ta ogromna chęć i niemożność przejścia na mur; przebaczyć — to może za łagodnie, bo przecież zrobił świństwo, poparzył brygadzystę w ostatniej godzinie roboty, gdy chodziło o położenie jak największej ilości cegieł na murze; wziąć coś ze środka, coś, eo jest między trzaśnięciem w pysk a przebaczeniem i zostawić mu to, niech wie, niech pomyśli, aby mu się znów nie zachciało podrzucać rozgrzanej cegły i aby mu się to podrzucanie nie spodobało.

Już właściwie powinno się sprawę zakończyć i odejść, i oblać się chłodną wodą dla orzeźwienia, ale nikt nie wiedział, jaki ma być koniec tej sprawy.

I tej niewiedzy chłopcy zaczęli krążyć koło lepiarza, robić dołki w ziemi szpicami butów i w ogóle zachowywać się głupio; ale widać to bezmyślne pobijanie ziemi czubami butów nasunęło najwyższemu z nich niezłą myśl, bo on, podbijając ziemię prawym butem, podszedł do lepiarza i dał mu mocnego kopniaka

w tyłek; bo chyba uznał, że taki kopniak to coś ze środka między trzaśnięciem w pysk a przebaczeniem; to coś, w czym jest trochę z przebaczenia, i trochę z kary.

Chłopcy jakby na to czekali, bo nagle stali się bardziej gadatliwi do winowajcy — pamiętaj, sukinsynie, żeby się to drugi raz nie zdarzyło; a te słowa miały w sobie także coś z przebaczenia i coś z kary.

Winowajca po dostaniu kopniaka odskoczył w tył, a odskakując, potknął się o bryłę zimnej, zastygłej smoły i upadł; a podnosząc się z upadku doszedł do postawy półklęczenia czy może przyklęku i nic nie mówiąc, popatrzył na czerpak do brania płynnego lepiku,' bo może przeleciała mu myśl, żeby nabrać w niego rozgrzanej smoły i chlusnąć nią na nas; ale jeśli nawet zaświtała mu taka myśl, to na krótko, bo zaraz, trwając w tym półpobożnym przyklęku, przesunął oczy z czerpaka do góry i popatrzył na nas tak, jakby nas nie widział, jakby nas i wszystko wokół siebie ominął oczami i poszedł nimi dalej.

Odeszliśmy od niego i zostawiliśmy go w tej głupiej półpobożnej postawie, w tyra półklęczeniu, gdy odwróciliśmy się, nadal był w tyra przyklęku; gdy odchodząc znów odwróciliśmy się, nie podniósł się jeszcze z tego półklęczenia i był w nim tak, jakby go kto w tej postawie na trwałe uposażował.

Nie wiem dlaczego, ale przypomniła mi się smagła brunetka; przecież to zupełnie różne sprawy i zupełnie różni ludzie, tamta zabiła dziecko, zabiła je — można by powiedzieć — podwójnie i zabiła siebie, była najpierw dzieciobójczynią, a później dzieciobójczynią i samobójczynią równocześnie; a ten zmylił chłopaków z brygady i chłopców z obsługi i podłożył pod ręce brygadziście rozgrzaną cegłę; ale to chwilowe znieruchomienie, jakby uposażowanie postaci, ich łączy; wprawdzie tamta znieruchomiła i uposażowała się na wysokim murze, nad całym miastem, a ten znieruchomił i uposażował się na gołej ziemi, przy beczce z płynnym lepikiem; wprawdzie tamta znieruchomiła w dumnym, nadludzkim wyprostowaniu, a ten w pokornym półklęczeniu, wprawdzie tamta nie zeszła z muru, nie cofnęła się do niczego, a ten podniósł się z przyklęku i poszedł do swojej służby; ale tamto i to było nieszczęściem, i tamta duma, i ta pokora.

Gdy odchodząc od tego winowajcy, znów odwróciliśmy się i po

patrzyli na niego, stał już przy swojej beczce i mieszał czarnym drążkiem roztopiony, gorący lepik.

W drodze do kadzi z zimną wodą — bo do tej chłodnej wody podążaliśmy niby do nieba — złapano nas kilku ładnie ubranych ludzi z notesami, którzy zaczęli się uśmiechać do chłopców z brygady i wołać — gratulujemy, gratulujemy! A potem zaczęli ciągnąć za rękawy ich brudnych koszul, poklepywać ich po plecach i znów ich poszarpywać i pytać się, jak chłopcy doszli do rekordu; i mówić, że chcą to dać do gbzet.

Chłopcy parli do chłodnej wody, bo mieli polepione wargi i w ogóle na całych ciałach odczuwali lepkość od brudu i potu, ale ci z notesami zagradzali im drogę i nie dali się obmyć. Najbardziej męczyli brygadzystę, krążyli koło niego z otwartymi notesami i jednym i tym samym pytaniem — jak brygada doszła do pobicia rekordu? On im mówił; jak pobiliśmy rekord, ale im było wciąż za mało, bo oni chcieli znać każdy centymetr tej drogi, która prowadziła do odebrania rekordu warszawiakom; nie wiedzieli, jak bardzo przeszkadzali brygadziście i chłopcom z brygady w obmyciu się chłodną wodą.

Myśmy wtedy niczego nie pragnęli — ani gratulacji, ani opisanie w gazecie, ani orderów, tylko chłodnej wody. #Ale przecież nie wypadało krzyknąć do tych dziennikarzy — spieprzajcie, bo my chcemy się obmyć! Trzeba było coś im powiedzieć, no to brygadzysta i chłopcy z brygady i pomocy mówili, że pobili rekord warszawiaków, bo się odpowiednio dobrali, dobrze porozstawiali i po raz pierwszy zastosowali nową metodę układania cegieł. Musieli także odpowiedzieć, choć ich bardzo ciągnęła chłodna woda, tym bardziej że ci zadowoleni i ruchliwi dziennikarze dopadli chłopców przy koziółkach z cegieł za narożnikiem domu, blisko zbiornika z wodą; musieli opowiedzieć, choć im było trudno ze względu na ten duży, blaszany zbiornik wpadający w oczy i dający przecucie i wyobrażenie obmywania, bo ich ci z notesami zarzucili nowymi pytaniami — jak wyglądało to rozstawienie i ten dobór, czym się różni nowa metoda układania cegieł od sta^ rej. Dziennikarze dowiedzieli się od chłopców prawdy, ale tej — można by powiedzieć — prawdy ładnej, prawdy dla ludzi; bo w tym biciu rekordu były dwie prawdy, jedna na pokaz, na wy

stawę, na sprzedaż, czyli dla świata, a druga dla nas. Prawda dla nas to ta, że zalewał nas pot, że śmierdzieliśmy od tego potu, że się nam chciało sfikać, ale wstrzymywaliśmy się z tym, aby nie stracić minut, że nas hulały napęczniałe pęcherze, że mieliśmy zatarcia i zadarcia na rękach i w pachwinach i że nas urażały nawet portki, nawet rękawy koszuli, bo te zatarcia piekły, że byliśmy źli na matki, ojców, na nasze dziewczyny, które nam wszystko dawały, na łąki, na pola, bo się nam to wszystko tłoczyło do myśli j trzeba to było odrzucać, nieraz z trudem odrzucać, żeby się nie Hać -rozraewnieniu^ zamyśleniu i dumaniu, żeby się nie zagapić, bo bicie rekordu tegolwe~zTrostr-ToJyła nasza prawda. .

Brygada wyrwała się wreszcie tym niecierpliwym ludziom z notesami i pobiegła, żeby się obmyć i w tym dniu chwilą najważniejszą była ta, w której nabrało się rękami chłodnej wody i obmyło nią twarz.

Rozdział XIX

Musiało znów nastąpić wyruszenie naszej paczki do tajnej bim- brówni na wódkę, na rozmowę i powspominanie, na to — jak przedtem powiedziałem — popasienie duszy na zielonej łące przyjaźni.

Nawet gdy się nie mówiło o tym, to czuło się, że „paczka” powinna się tam wybrać, każdy z „paczki” to odczuwał — i ze względu na Matkę, i na samego siebie. Wystarczyło, że jeden na drugiego popatrzył i już wyczytał w nim wielką ochotę wybrania się w gromadce swoich do szopy bimbrarza, a także to, że byłoby mu ciężko bez tego wspólnego wyruszenia, bez tego posiedzenia na pniakach przy garnuszkach z bimbrem.

Takiego spotkania się nie wymyśla, do myśli przychodzi nakaz z odczuwaniem, takie spotkanie rodzi się niby roślina z ziemi, z jednakowej potrzeby wszystkich przynależnych do „paczki”.

Spada nagle na „paczkę” coś jakby nakaz, że trzeba być razem, że dłuższe czekanie byłoby nie do zniesienia; takie już jest napięcie i rozdygotanie, i niecierpliwość, że musi to być dziś, a nie jutro, bo jutro byłoby za późno.

Więc idzie się i już to, jak się idzie, już nogi mówią o zadowoleniu.

Idziemy — Matka, Helena, Korbas, Młodziutki, ja i ten ryżawy o pociągłej, deskowatej twarzy, ten, który bał się bicia rekordu, choć umiał dobrze pracować, ta czuła dusza, która jakimś sposobem przystała do nas; Rumianego nie ma, on odstał od „paczki”, bo Helena i noże rozdzieliły nas.

Podobno szykuje się na mnie, niczego nie zapomniał, doszło jeszcze to jego wygłupienie się przy Ślepym Rowie, które go na pewno rozwściekla, w kieszeni ma już na pewno nowy nóż. Zmięty nikogo nie zawiedzie, najwyżej powie —teraz nie mam, ale za dwa, trzy, cztery dni będę miał. On zawsze mówi prawdę.

Więc kieszeń Rumianego jest jut jego dawną kieszenią, sprzed wieczora, w którym mu zabrałem nóż.

Myśl w tamtej chwili tak bardzo dogodnej dla mojego noża; -jażTfiuga taka nie przyjdzie, wystarczyłby jeden mocny ruch i sprawa zostałaby uregulowana raz na zawsze; ale przywlokły się strachy, napomnienia, przestrogi i rozkolebały się we mnie te dzwony, i to wszystko mnie rozmiękczyło i tak podziałało na rękę, że nie chciała służyć nożowi, i dlatego sprawa wciąż jest nie uregulowana; gdyby znów przyszła dogodna chwila dla mojego noża, może nie dałbym się nabrać na te alarmy.

Spojrzałem na Matkę, była uradowana tym marszem z nami, mówiła — teraz trudniej się nam zebrać, bo rozlecieliście się po budowie; a potem — jak to dobrze, żeśmy się zebrali i że idziemy razem.

Przypomniałem sobie moją spowiedź w tajnej bimbrowni i Matki wielki głos — nie zabijaj go, synku, nie zabijaj go.

Szliśmy równiną pól, dzień się kończył i zaczynała noc, za nami były światła budowy, przed nami czerniejący obręb wsi, za chwilę dojdziemy do starej, grubej wierzby, tam droga przemieni się w ścieżkę i tą ścieżką dojdziemy do błonia, przetniemy błonie, miniemy cmentarz, przetniemy wklęsłą łąkę i już będziemy w szopie bimbrowarza.

Gdy przekroczyliśmy próg tajnej bimbrowni i weszliśmy między pniaki, odleciała ode mnie myśl o dogodnej chwili dla mojego noża, bo od tych rozrzuconych pniaków, od desek podpartych krótkimi, pękatymi okrągłakami, od kurzu drewnutni i od blaszanej bańki napelnionej „mlekiem od wściekłej krowy” podchodziła do mnie i wstępowała we mnie radość, która od razu dołączyła się do ogólnej radości.

Rozstawiamy pniaki, Matce dajemy honorowe miejsce, sadzamy ją na najlepszym, dobrze trzymającym się ziemi pniaku; poprawiamy deskę służącą za stół, siadamy, wyciągamy z gazet zagrychę i zamawiamy wódkę. Człowiek gruby i łysy jak kolano, który także znał Matkę i szanował ją, powiedział z uśmiechem — zaraz naleję i przyniosę.

Przeżywamy dobrą chwilę oczekiwania, ten zawsze piękny ułamek czasu dzielący zamówienie wódki od podania i wypicia.

Tracamy się garnuszkami, garnuszek Matki jest poobijany ze

wszystkich stron i widać od razu, że to jest wieczorek na jej It" cześć.

Widać od razu, jak bardzo się cieszymy, że mamy przy sobie Matkę; ona też się cieszy, co można było zauważyć już w marszu do szopy, a co jeszcze bardziej dało o sobie znać w szopie przy zajmowaniu miejsc i rozpoczynaniu picia.

W picie, to znaczy w ten czas, który będzie czasem naszego wieczorku, wchodzimy delikatnie, bo — można by powiedzieć — chcemy z niego wziąć jak najwięcej pożywienia dla naszych dusz i z tym się obudzić następnego dnia, i z tym pójść do {roboty, i z tym żyć do następnej, ogromnej tęsknoty za wspólnym wy-~ marszem; i z tym dojść do takiego dnia, kiedy jeden na drugiego popatrzy i bez słowa jeden w drugim wyczyta, że jest już pora, aby znów dusze pożywić.

Dlatego wchodzimy w ten czas naszego wspólnego wieczorku z wielką delikatnością, żeby nie stracić ani minuty, idziemy sto- 1 pień po stopniu, tak jakbyśmy szli po łagodnych schodach.

Chcemy ten czas wydłużyć, a znamy sposób, nie bierzemy w siebie dużych łyków, nie wyskakujemy do przodu, wlewamy w siebie nie za dużo i nie za mało wódki, tak aby się nam nie rozlewała tylko po ustach, a dawała poczucie, że weszła w człowieka, tak aby nie była w stanie go złamać i odebrać szlachetnego przeżycia.

Po pierwszych łykach nazwanie „paczka” już do nas nie pasuje, w tajnej bimbrowni „paczka” przemienia się w rodzinę — matka i dzieci. Korbas, najstarszy syn, potem licząc według wieku idę ja, po mnie Młodziutki, po Młodziutkim Helena, na końcu ten ryżawy deskowaty, który przylepił się do nas, bo czuł się samotny, a myśmy go przyjęli i polubili; niech będzie najmłodszym synem Matki, jej córka, która została na wsi, nie liczy się, bo ona jest córką wyrodną.

Chłopcy czują, że jest to wieczorek na cześć Matki, wiedzą, co to znaczy, więc mówią jej o swoich trudnych sprawach, na zmiętą twarz Matki wychodzą plastry rumieńców, niech się dziś nasłucha, niech się narozgrzesza, niech wie, że jest nam potrzebna.

Nawet ten deskowaty, nieśmiały, nawet ta „Czuła Dusza” z czymś nieśmiało występuje, bo już zdążyła coś zbroić. Matka jest szczęśliwa, bo przybył jej nowy grzesznik.

Dobrze nam w tej szopie, światło małe, nie razi w oczy, kurz tańczy kolo niego, w kurzu czerwona, łysa twarz blmbrarza, który czai się, żeby skoczyć na wezwanie.

Dobrze nam w tej szopie, wszyscy wiedzą, że taką chwilę trzeba uszanować, bo się może nie powtórzyć, na tej szalonej budowie wszystko możliwe, wszystko dobre i złe.

Dobrze nam z Matką w tej drewnitni, w tym kurzu i w tym smrodzie, który się przedostaje z chlewika szparami w ścianie.

Chłopcy przedkładają Matce swoje sprawy elegancko; czasem któryś się zapomni i ma już na języku przekleństwo albo jakie świńskie słowo, zdarzy się nawet, że któremuś rozgorączkowanemu wyleci z ust początek przekleństwa albo brzydkiego słowa, jakiś „skur.v”, jakiś „kur...”, ale taki w lot się połapuje, choć wlał już w siebie sporo wódki, i urywa na tym początku, jakby mu kto język uciął, albo gdy jest już bardzo rozpedzony i rozgorączkowany, przechodzi gwałtownie na inne, łagodne przekleństwo z szacunku do Matki i z tego, że wie, iż nikogo lepszego na tej szalonej budowie nie znajdzie.

Matka pije małymi łykami, trzyma się, choć ją coś porywa do wódki, może to, że znów „spowiada” i „rozgrzesza” chłopów i że im zadaje pokuty, które mają ich uchronić od złego.

Zeszło sporo czasu, więcej niż zwykle, nim doszła do swojego ulubionego kazania zaczynającego się od słów pamiętajcie, żebyście kupowali sobie wszystko za swoje własne pieniądze... Wciąż miała tę ranę w duszy, zadaną jej przez rodzoną córkę, która wszystko od niej dostała, a później żałowała jej grosza; gdy trochę wypila, ta rana się rozjątrzała i bolała, a cna próbowała ją uśmierzyć tym kazaniem.

Ale w czasie wieczorku, który opisuję, to krótkie kazanie zostało rozszerzone, bo Matka wzięwszy w siebie parę małych łyków wódki, podniosła się nagle z pniaka, wyprostowała, głowę podała do góry i my także powstaliśmy z pniaków, bo szanowaliśmy ją i nie chcieliśmy, żeby ona przemawiała stojąc do nas siedzących; i wtedy ona powiedziała, ciągnąc swoje kazanie — i nie kłaniajcie się, synkowie, nie kłaniajcie...

Zacięła się, przez chwilę wpatrywała się w małą lampę naftową wiszącą na ścianie szopy, a potem znów wróciła do swojego kazania — lepiej, żeby wam powiedzieli: nieokrzese chamy, niż

żebyście mieli się kłaniać; lepiej, żeby was nazwali dzikusami, niż mielibyście schylać głowy...

Znów się zacięła, patrzyła w powalę szopy z byle jakich, byle jak położonych desek zrobioną i znów wróciła do swojego kazania — to trudne, synkowie moi, to trudne, pradziadek się kłaniał, dziadek się kłaniał, ojciec się kłaniał, to trudne nie kłaniać się, ale się nie kłaniajcie.

Potem Korbas wystąpił ze swoim kazaniem, bo i on miał swoje, taką zadrę, która w nim siedziała i pokazywała się, gdy wychylił co nieco. Gdy nie wypił, to tak, jakby jej nie było, jakby Korbas był innym Korbasem, Korbasem bez zadry; ale gdy wlał w siebie trochę wódki, zadra dawała o sobie znać i wtedy wygłaszał kazanie o tym, kto może być jego prawdziwym przyjacielem, że tylko ten, który miał biedę i z biedy się wygrzebał, bo taki się sprawdził, bo musiał się sprawdzić, gdy się z biedy wygrzebywał i musiał, choćby nie chciał, pokazać, co jest wart; ale gdy się taki wygrzebał i odstał od swoich, i przystał -do cacydup- ków, maminsynków, gnypów z wielkiego miasta, do tych, którzy zaczynali od świeżych bułeczek z maselkiem, do tych całujących- kujących, to płakać, bracia i siostry, płakać rzewnymi łzami, jak na pogrzebie.

Matka w swoim kazaniu miała to — synkowie moi; a Korbas — bracia i siostry...

Matka mówiła na przykład — za mną, synkowie moi, pamiętajcie, synkowie moi; a Korbas — za mną, bracia i siostry, pamiętajcie, bracia i siostry.

A inny jeszcze inaczej, bo właściwie każdy z nas miał jakąś zadrę w duszy i miał do wygłoszenia kazanie; i gdy dziś wspominam tamto i inne spotkania, te — jak nowocześnie nazywam — wieczorki, to pytam się — dlaczego musieliśmy je urządzać, dlaczego przychodziły dni, w których samym popatrzeniem na siebie mówiliśmy, że musimy pobyć z sobą? Dlatego, bo bardzo dokuczały nam te zadry w duszy i chcieliśmy się spotkać, gdyż wiedzieliśmy, że w kompanii jnniej dokuczają.

Mówię — wieczorek na cześć Matki; to prawda, ale głównie chodziło o to, aby te zadry mniej bolały.

Powie niejeden cacydupek, maminsynek — chleją, chamy, chleją, weszły, chamy, do śmierdzącej, brudnej szopy i chleją...

To nie tak jest, w tej brudnej, śmierdzącej szopie, w której siedzi nasza „paczka”, nasza rodzina, nie ma pijaństwa, to nie jest pijaństwo, to jest leczenie zadr.

Te zwierzenia się Matce, które nazywam spowiedzią, i jej napominania, i słowa, że nie należy tracić nadziei, bo wszystko można naprawić, co nazywam rozgrzeszeniem, i sposób na wyprostowanie drogi życia, czyli dobra rada, czasem trudna do przyjęcia, ale dobra, którą nazywam pokutą — to wszystko służyło leczeniu zadr.

„Paczka” coraz bardziej przemienia się w rodzinę, kochamy się coraz mocniej, każda następna chwila-jest coraz lepsza, idziemy jakby w górę i dlatego boimy się, aby bimbrarz nie szepnął nam — zmiatać, bo sadem przeszedł podejrzaną gość.

Bardzo się tego boimy i to wyłazi, gdy któryś z nas krzyknie — jeszcze czas; tak jakby usłyszał szept bimbrarza, a przecież tego szeptu nie usłyszał, bo go nie było; ale on głęboko w sobie tak się bał opuszczenia szopy, że aż usłyszał szept, którego nie było.

Ten ryżawy o pociągłej, deskowatej twarzy, ta Czuła Dusza tak się rozczulił, że zaczął śpiewać — „gdym szedł w obce strony, matula płakali, chleba ukrajali i mendalik dali” — ale bimbrarz podszedł do niego i położył palec na swoich ustach i Czuła Dusza musiał przestać, bo tu się nie śpiewa. Śpiewa się dopiero po wyjściu na pola.

Młodziutki, który szanował się w piciu, dziś pozwolił sobie na trochę więcej i zebrało go na taniec, zaczął podskakiwać po drzazgach i wiórach, ale bimbrarz podszedł do niego i cofnął go do pniaka, i powiedział — po wyjściu, na polach będzie można potańczyć.

Gdy mówię o tym wieczorku, muszę jeszcze dodać, że tak po wierzchu rzecz biorąc, składał się on ze zwierzeń i dobrych rad, a biorąc rzecz głębiej, dawał on nam to, co było nam potrzebne, aby wytrzymać na tej dolinie, na której rozszalała się budowa, aby gdy przyjdzie zły dzień, nie paść na kolana w tym błocie i nie powiedzieć — już dalej nie mogę, róbcie ze mną, co chcecie.

Matka spowiada i spowiada, rozgrzesza i zadaje pokuty. Najwięcej zajęcia ma z Czułą Duszą, bo on dorwał się do Matki jak do matki rodzonej, bardziej niż do rodzonej, bo tej, która go urodziła, nic powiedziałaby, że pali się do jednej panienki, która go nie chce, bo pewnie woli jakiego twardziela, a nie takiego, jak

on, miękkiego; bo przed rodzoną matką nie poleciałaby mu łza na myśl o tej ślicznej paniencie, która go odtrąciła i nie chciała z nim pójść w krzaki, a przed tą Matką oczy mu się rzewnie zaszkliły.

Bimbrarz podszedł do nas z nienacką, wtedy gdyśmy się tego najmniej spodziewali; pochylił się nad nami i szepnął — zmiatać, bo sadem przeszedł podejrzany gość — a nas jakby kto zdzielił obuchem.

Rozdział XX

Z początku wracaliśmy razem, na wklęsłej łące zaczęliśmy śpiewać i tańczyć, aż Matka musiała nas upomnieć — synkowie moi, co wyprawiacie.

Upominała nas, ale się radowała, że się cieszymy; i to upomnienie mówiło o jej radości; i to — synkowie moi, czyście pogłupieli — mówiło także o jej radości.

Ona tak jakby wróciła do swoich najlepszych dni, gdy miała władzę nad duszami parafii czwartego odcinka robót ziemnych. Lekko się chwiejąc, kroczy przez tę łąkę, zadowolona niby pasterz, do którego wróciło stado; znów jest tak, jak było za najlepszych dni... i już tak będzie — jest chyba o tym przekonana, bo rześko brnie przez tę trawę.

Potem były pola, które dochodziły do krańca budowy. Długo szliśmy przez te pola i przez rześkie powietrze i był czas, aby wywietrzała z nas wódka, której nie wypiliśmy za dużo, a w sam raz, żeby nam nie odebrała radości; a jeśli chodzi o Matkę, to ona wypiała najmniej, bo się pilnowała, a myśmy jej nie namawiali.

Gdy weszliśmy pod światła budowy, „rodzina” zaczęła się rozłączać; najpierw odpadł Korbas, bo on chciał krótszą drogą dojść do swojego baraku. Z Korbasem poszedł ten deskowaty na twarzy, przewany Czulą Duszą; Młodziutki mógłby iść razem z nimi, bo przecież mieszkali w jednym baraku, ale powiedział, że woli iść inną drogą; wiem, o co mu chodziło, chciał zobaczyć, jak pracuje na nocnej zmianie jego dźwig.

Gdy odpadł Młodziutki, zostałem z Matką i Heleną; ja i Helena chcieliśmy odprowadzić Matkę, ale ona powiedziała, że pójdzie z nami. Postanowiliśmy, że najpierw ja i Matka odprowadzimy Helenę, a później ja odprowadzę Matkę, bo one nie mieszkały razem.

Gdy zostaliśmy w trójkę, Matka wpatrując się w nas powie-

działa ni stąd, ni zowąd — trzeba pomyśleć o ślubie, dzieci; a ja jej na to — ślub musi być, Matko, choć ten najważniejszy daliśmy już sobie sami, ale ślub musi być, pójdzie się któregoś dnia i weźmie się ślub... Schodzi tak jakoś, robota i robota, ale pójdzie się któregoś dnia i weźmie się ten ślub; a po ślubie młoda para zaprosi do bimbrowni na wesele, wynajmiemy szopę na tę noc tylko dla siebie, pójdiesz z nami, Matko, cała paczka pójdzie z nami, będziemy pić i bawić się, tak, Matko, będziemy pić i bawić się; a rodzone matki będą wtedy spać na wsi, tak, Matko, rodzone matki i ojcowie będą sobie wtedy spać, niech śpią...

Matka od razu to zrozumiała i zaczęła mnie klepać po plecach niby konia, który się czegoś przestraszył i stał się niespokojny, i mówiła — no, no, synku, nie trzeba aż tak, wszystko się obróci na dobre, no, no, synku... A drugą dłoń położyła na plecach Heleny i mówiła — no, no, dzieci, wszystko się obróci na dobre, no, no, dzieci, nie trzeba aż tak...

Matka do mnie i do nas tak, a ja do siebie samego tak — gdyś, dziadu, zrobił dziewczynie dziecko w rowie, na ziemi, pod gołymi gwiazdami, to później, dziadu, musisz mieć cichy ślub; a gdy, dziadu, będzie ten ślub, nic się nie będzie dziać w twojej wsi, wozy będą stały w szopach albo będą wyjeżdżać w pole, wozy nie będą odświętnie wyszykowane i konie nie będą we wstążkach, i nie będzie grać orkiestra... A później, dziadu, musisz mieć wesele w szopie, która służy za tajną bimbrownię; a gdy będzie to wesele, to rodzone matki i ojcowie tej dziadowskiej pary będą spać daleko na wsi i cała wieś będzie spać; i wszystko, dziadu, musi pójść dziadowskim trybem, boś dziad, boś z dziada pradziada dziad i po dziadowsku zabrałeś się do życia, i ta szalona budowa jeszcze cię nie oddziadziła...

A Matka znów tak jakby słyszała tę moją mowę w sobie — no, no, synku, wszystko się obróci na dobre, nie trzeba aż tak... i tą swoją suchą ręką i swoimi słowami, tym drobnym — no, no synku... — wyciszała i wyciszała lamentsy dziadowskiej duszy, aż wyciszyła i wróciło uspokojenie, a nawet wesołość dana nam przez ten wieczorek, a odebrana na dłuższą chwilę przez te z początku słyszalne, a potem niesłyszalne, ale przez dobrą Matkę odczute lamentsy mojej, a i z pewnością Heleny, duży. Odprowadziliśmy Helenę do samej braihy jej baraku, a później

ja i Matka weszliśmy na połamaną i pofalowaną ścieżkę, zrobioną przez buty robotników, którzy chcieli sobie skrócić drogę do pracy; i my także idąc tą ścieżką skracaliśmy drogę do baraku Matki.

Na garbie świeżego nasypu — bo i przez ten garb także prowadziła ta ścieżka, która tak jakby się nie liczyła z żadnymi przeszkodami, z rowami, zwałami ziemi, wysokimi nasypami, bo nie liczyły się z tymi przeszkodami buty robotników, bo musiały się nie liczyć, gdyż oni śpieszyli się do pracy i skracali sobie drogę — na tym garbie nasypu, na którym wtedy niby na scenę w teatrze były trzy ostre, wiszące tu od dawna i — można by powiedzieć — znajome lampy, Matka powiedziała cicho — gdybym tak tu usiadła; nagle, ni stąd, ni zowąd, na wilgotnej ziemi nasypu, pod ostrą jaskrawością światła — gdybym tak tu usiadła.

Można by nawet usiąść, choć* było późno, ale nie tu, nie na tym nasypie, który nadawał się tylko do tego, żeby przez niego przemknąć szybko, a w żadnym wypadku do posiedzenia i do rozmowy o życiu, o losie; ale ona już siadła na pierwszej lepszej mokrej' bryle i robi sobie z rąk dwie podpórki.

Mówię jej, że lepiej byłoby zejść z tego nasypu i — jeśli już chce sobie trochę posiedzieć na powietrzu — to usiąść na ławce pod drzewem, które rośnie niedaleko jej baraku; ale ona tego tak jakby nie słyszała, bo. zaczyna mówić o czymś zupełnie innym i patrząc W lampy, pyta się — kto przyćmił te światła, synku, kto, powiedz, kto — i nie czekając na odpowiedź, znów się pyta — czemu te światła są przyćmione, kto je przyćmił, synku, powiedz mi, kto je przyćmił.

A przecież te światła nie były przyćmione, świeciły jaskrawo, jak zawsze, a ona tak jakby nie widziała tej jaskrawości; a widzieć powinna, bo się w te lampy wpatrywała; ona wciąż — czemu te światła są przyćmione; a potem — czemu te światła lecą tak daleko, czemu odlatują od nas za ostatni dom, za ostatni dom.

To — za ostatni dom — trudno już było jej wypowiedzieć, to już było ledwie wypowiedziane, to już było wymamlane przez zaciśnięte, odporne usta, co mogłem nie tylko usłyszeć, ale i zauważyć, bo miałem jej twarz pod ostrymi światłami i widziałem, że po wypowiedzeniu słów — za ostatni dom — jej wargi mocno się zwarły, tak mocno, że aż się spłaszczyły; i było tak, jakby się

nagle zawstydziła tego, co powiedziała, i bała się, że się przez nie znów co przecisnie, jakie słowo albo co innego; i chciała temu z całych sił zagrozić drogę, a to jej na złość z całych sił na wargi napierało, tak napierało, że ona nie mogła już temu sprostać i przez te zwarte wargi precisnęła się czerwona pianka, która zaczęła spływać do kącików ust i tam stawać się wyraźną krwią; a równocześnie te dwie podpórki, to znaczy ręce, ześliznęły się jej na boki tak, że upadłyby, gdybym jej nie podtrzymał.

Zawołałem do niej — Matko, co się z tobą dzieje, Matko, mów, co się z tobą dzieje... Chciała mi odpowiedzieć, ale nie mogła, bo jej słowa zostały zalane, zatopione przez krew, która z niej buchnęła i spadła na jej padolek.

Wtedy wziąłem ją na ręce i stanąłem z nią na tym miękkim, wilgotnym nasypie pod trzema ostrymi światłami i znów zawołałem do niej — mów coś, Matko; a ona zamiast mi odpowiedzieć, ręką, którą opierała na moich barkach, poklepała mnie lekko po plecach, bo pewnie to klepnięcie było łatwiejsze niż słowa i tym sposobem łatwiej jej było dać mi znać, że czuje siebie i że żyje.

Stałem chwilę, trzymając ją na rękach na tym nasypie, bo nie wiedziałem, co zrobić — czy pójść z nią do baraku, czy na pogotowie, gdzie dyżuruje lekarz; pomyślałem, że lepiej będzie, gdy ją zaniosę prosto na pogotowie, bo to niewiele dalej, jeśli się pójdzie skrótem, najpierw kawałek pustym placem, a później wzdłuż magazynu budowlanych prefabrykatów betonowych; za tym magazynem będzie lepsza droga i stamtąd doniosę ją do pogotowia.

Zszedłem więc z nią z nasypu i wziąłem kierunek na dwa stosy belek stropowych dobrze oświetlonych i widzianych z daleka; na dole znów odezwałem się do Matki — no, jak jest, Matko, jak jest; a ona znów mnie klepnęła po plecach i znów dała mi znać, że słyszy mnie, że jeśli mnie słyszy, to nie jest tak źle, to jest przytomna i czuje siebie, i żyje.

Przeliczyłem się jednak, myśląc, że między nasypem a magazynem prefabrykatów nie ma żadnej przeszkody; bo gdy byłem już niedaleko drucianego płotu magazynu, natknąłem się na głęboki i szeroki rów, niedawno wybrany — po ziemi poznałem, że rów został wybrany niedawno, może dzień temu; rów był długi i dlatego obejście go z Matką na rękach nie było rzeczą łatwą

i mogłoby to bardzo opóźnić udzielenie jej pomocy lekarskiej, a przecież najważniejsze było to, aby ona jak najprędzej znalazła się u lekarza.

Nie wiedziałem, co robić, i już nawet chciałem zawrócić i cofnąć się do baraku, ale ujrzałem kilka długich, grubych desek i zaświtała mi dobra myśl; ułożyłem»Matkę delikatnie na trawie — jakimś cudem ostało się tam trochę trawy — i powiedziałem jej — poleż trochę, Matko, a ja zrobię mostek, bo musimy przejść przez rów; przerzuciłem te trzy deski przez wykop i połączyłem nimi dwa jego brzegi; potem znów tak jak poprzednio wziąłem Matkę na ręce i ona klepnęła mnie po plecach na znak, że wie, o co chodzi, i zdaje sobie sprawę z tego, że trzeba było zrobić ten mostek. Deski się pod nami ugięły, ale nie trzaśły i szczęśliwie znaleźliśmy się na drugim brzegu.

Nie wiedziałem też, że za magazynem prefabrykatów porzrucano stare żelastwo, jakieś zużyte — jak mi się wydawało — części spychaczy i ciągników, a także pogięte podwozia przyczep samochodowych; wyglądała to jak podręczny, tymczasowy magazyn złomu.

Musiało się przejść pomiędzy tym żelastwem, żeby dostać się do lepszej drogi, a to nie było łatwe, bo musiało się przełazić przez różne przeszkody, wchodzić to na śliską, to na kruchą blachę łamiącą się i dudniącą, a przy tym trzeba było uważać, aby nogi Matki, a tym bardziej głowa nie uderzyła o żelazo.

Nie było innej rady i w środku tego składowiska złomu musiałem inaczej ułożyć sobie Matkę; dotychczas leżała mi na rękach przede mną; było to możliwe, gdy niosłem ją przez wolny, nie zagracony teren; ale wśród tego sterczącego żelastwa nie dało się jej tak nieść, musiałem ją przerzucić niby worek przez mój lewy bark; gdy to uczyniłem, powiedziałem jej — muszę tak, Matko, bo tu pełno żelaza — a ona tą samą ręką, która teraz po zmianie sposobu niesienia zwiśla na wysokości mojego boku, dotknęła mnie mocniej i dała znak, że to dobrze rozumie.

Zmęczyło mnie bardzo przechodzenie pomiędzy tym złomem, pot oblepia) mnie, z czoła wpadał do oczu i oślepiał, a przy tym teren był grząski i błotnisty, w dołkach i zagłębieniach ziemi stała woda.

Musiałem odpocząć chwilę, Matkę ułożyłem delikatnie na wkłę-

słym, płasko leżącym nożu oderwanym od dużego spychacza, bo trudno było o lepsze miejsce wśród tego błota i wody; usiadłem obok niej, oddychała cicho i równo, nie odzywałem się, żeby jej nie męczyć, wyglądała na tym ogromnym nożu jak duże dziecko w dużej kołysce; ten wypolerowany ziemią nóż spychacza błyszczał pod ukośnym światłem wiszącym na brzegu tego placu i ona wyglądała jak duże dziecko w srebrnej kołysce.

Obok tego noża przebiegała droga, ale nie ta wygodna, o której wspominałem, tylko taka niby-droga, jakich wiele było na placach budowy, po prostu dwie koleiny wyłobione w miękkiej ziemi i nic więcej; od razu poznałem, że są to koleiny świeże — można by powiedzieć — najświeższe, bo się na tym znałem, i dobrze oświetlone rozbryzgi rozrzedzonego wodą błota wiele mogły mi powiedzieć; te rozbryzgi były jeszcze jakby w ruchu, jeszcze tu i tam ściekały wolno po wąskich poboczach kolein, jeszcze ziemia na tych wgłębieniach nie była zupełnie uspokojona, co świadczyło, że tędy niedawno przejechał duży samochód; i powinien nadjechać drugi i nie myliłem się, bo wnet usłyszałem jęczenie ciężko pracującego motoru i zaraz ujrzałem dwa duże światła, które zbliżały się do nas.

Stałem między koleinami, podniosłem rękę i samochód stanął; z szoferki wyskoczył czarny chłopak i spytał się — co jest; a ja mówię mu — niosę kobietę na pogotowie, bo zasłabła, może byś nas podwiózł, trudno ją tak nieść.

On podszedł do tych stalowych niecek, do tej srebrnej kołyski i wpatrzył się w Matkę, i powiedział — z drogiej chęci, bracie, ale przecież widzisz, co wiozę na mojej wywrotce, przecież jej nie położę na płynnym betonie, a w szoferce ledwie sam mogę się zmieścić, bo mi tam napchali trybów do betoniarki i muszę to przewieźć; ja znów do niego — może by się dało gdzieś ją wsunąć; a on — nie ma miejsca, bracie, gdzie ją wepchasz; i tak przemawialiśmy się dłuższą chwilę, aż ten młody się zniecierpliwił i powiedział — zgłupiałeś, przecież widzisz, że się nie da; a potem — nie mogę tu stać, bo przecież to jest płynny beton i może stężeć, i dostanę ochrzan; a potem, gdy już rześko wracał do szoferki — jesteśmy opóźnieni z robotą na bloku koło cmentarza; a potem już z rozpędu — cześć pracy; i zapuścił motor, koła z początku zabuksowały, ale zaraz złapały pod błotem twardszą ziemię i wy-

wrotka szybko odjechała, motor jęczał niemiłosiernie, gdyż chłopak dodawał gazu, bo się bał, żeby mu beton nie stężał.

A ja podniosłem Matkę z tej stalowej kołyski, przerzuciłem ją sobie przez ramię i skierowałem się w stronę lepszej drogi; i znów się jej zapytałem — jak jest, Matko; a ona mnie lekko dotknęła w bok.

Gdy ją doniosłem do tej lepszej drogi, będę już miał niedaleko do pogotowia; ruszyłem raźniej, bo niewyraźna w półmroku ziemia między składowiskiem złomu a tą lepszą drogą wydała mi się, gdym na nią popatrzył po podniesieniu Matki z blachy spychacza, ziemią nieco wyższą, pokrytą mniejszym błotem, a miejscami nawet suchą; ale myliłem się, bo na tej części placu było jeszcze więcej błota niż na składowisku złomu i na dodatek było to błoto z rodzaju błot rzadkich i śliskich i dlatego trudnych do przebycia; musiało się bardzo uważać, żeby się nie pośliznąć i nie upaść; ale nawet największa ostrożność nie wystarcza, bo nad tym terenem nie wisiały lampy, a dalej uwieszone światła ledwie dochodziły; był on w mroku, można by powiedzieć — w półciemności, i gdy się przez niego przechodziło, to czy się człowiek pośliznie, czy nie, czy upadnie, czy szczęśliwie przebrnie — więcej zależało od przypadku niż od ostrożności.

Dźwigając chorą Matkę, robiłem małe kroki, starałem się sprawdzić dobrze ziemię, zanim przerzuciłem ciało z nogi na nogę, ale zawsze w chwili tego przerzucania bałem się, że moja stopa pośliznie się i że upadnę.

Tak idąc ujrzałem blisko przed sobą tę lepszą drogę, gdyż była ona widoczna nawet w mroku, bo górowała nad tym błotnistym terenem, a przy tym usypano ją z bielszej ziemi.

Wstąpiła we mnie nadzieja i myślałem, że za chwilę do tej drogi dojdę, a potem już bez większych trudności dostanę się do pogotowia; przybyło mi sił, zacząłem iść szybciej i mniej ostrożnie i to mnie zgubiło, bo tuż przed tą lepszą drogą nogi mi się ześliznęły na jakiejś nierówności tego błotnistego terenu i wywróciłem się na wznak; ale wywracając się, zdążyłem Matkę zsunąć z barku tak, że ona upadła nie na* błoto, a na mnie; jej zwilgotniała, lepka od krwi i śliny twarz uderzyła o moją, Matka wydała z siebie głębokie westchnienie i poczułem jej cuchnący oddech; nie potłukłem się, bo ziemia była miękka, ale bardzo się

ubabrałem, a i Matka także się trochę po Walala; trudno mii się było podnieść, bo przecież nie mogłem strzepnąć z siebie Matki, żeby nie wpadła w to zimne błoto; musiałem tak kombinować, żeby wstać i równocześnie uchronić Matkę przed błotem i kałużami; najtrudniej było mi dojść do ukłku, ale pomagając sobie łokciami i zanurzając je w błocie aż do twardszego gruntu, doszedłem do tej pozycji.

Przez długą chwilę klęczałem w płytkiej kałuży i trzymałem Matkę na rękach, musiałem sobie trochę odpocząć; później przrzuciłem ją sobie przez lewe ramię i podpierając się prawą ręką, podniosłem się i zacząłem iść, po chwili byłem już na tej lepszej drodze.

Tą drogą szło się nieźle i gdybym chciał porównać ją z trasą, którą przedtem szedłem, to niebo a ziemia; choć przecież ta droga także była pokryta błotem, ale błotem płytózym, takim, które but od razu rozbryzgiwał i przebijał, i stawał na żwirowatym, szorstkim podkładzie i nie było mowy o pośliznięciu się; nie musiało się tu już tak uważać i nie potrzebna była przesadna ostrożność i sprawdzanie każdego stąpienia, co tak mnie umęczyło na składowisku złomu i na placu, który oddzielał tę lepszą drogę od terenu zasłanego starym żelastwem; i dlatego choć droga była w półmroku, zdłużyłem krok i z lepszym samopoczuciem skierowałem się wprost na rojowisko małych świateł, unoszących się nisko nad ziemią. Wiedziałem, że są to światła porozwieszane nad wykopami wybranymi niedawno na południowym krańcu pierwszej dzielnicy miasta i że teraz idą tam dzień i noc roboty betoniarskie.

Zsunąłem Matkę z barku i wziąłem ją na ręce, chciałem ułożyć ją w wygodniejszej dla niej pozycji; teraz trzymałem ją tak, jak się trzyma dziecko do chrztu.

Pomyślałem sobie, że gdy dojdę do tych świateł, będę już nie daleko punktu, w którym dyżuruje lekarz; w tym miejscu, gdzie są te światła, pracuje sporo ludzi i są może jakieś samochody, i dlatego będzie mi już łatwiej dostać się z Matką do lekarza.

Z początku na tej drodze był tylko ten półmrok rozjaśniony daleko z powodu tych świateł i te światła, i nic więcej; ale po pewnym czasie w tym półmroku ujrzałem dwie ciemniejsze plamy, najpierw niewyraźne, a później coraz wyraźniejsze, aż wreszcie

na tyle wyraźnie, że mogłem w nich rozpoznać dwóch ludzi, a później dwóch ludzi pijanych, idących chwiejnym krokiem. Zatrzymali się naprzeciw mnie i ja także się zatrzymałem, przez chwilę przypatrywali mi się uważnie, a potem zaczęli się głośno śmiać.

Mówię im — dlaczego się śmiejecie, przecież widzicie, że niosę kobietę, która... Nie dali mi dokończyć, bo wybuchnęli jeszcze głośniejszym śmiechem, więc ja do nich ostrzej — nie śmiejecie się, przecież widzicie, że niosę kobietę... Ale oni wciąż przerywali mi i wciąż się śmiali, jakby już nie mogli tego śmiechu w sobie wytłumić. Więc ja do nich ostro — przestańcie się śmiać, sukinsyny... A oni jeszcze się śmieją i na tym śmiechu wykrzykują — cześć pracy, cześć pracy, koleżko... A później także na tym śmiechu — pobłądziłeś, bracie, tam trzeba iść; i pokazują mi oddzielone pasem pól czarne zarośla i jeszcze głośniej się śmieją, tak się śmieją, że aż zanoszą się od śmiechu.

A gdy oni tak śmiali się, szukałem niecierpliwie koło siebie dogodnego miejsca, na którym mógłbym ułożyć Matkę; wybrałem szeroką, zarosłą trawą miedzę, która jednym swoim końcem dotykała drogi; gdy ułożyłem tam Matkę, sięgnąłem do kieszeni, wyciągnąłem nóż i nacisnąłem tam, gdzie trzeba. Ostrze wyskoczyło z trzaskiem i oni wtedy przestali się śmiać.

Przez ten śmiech, przez tę wódkę, przez to zamroczenie doszedł do nich ten cichy trzask i uspokoili się, tak jakbym nie wypust sprężynowca nacisnął, a jakieś guziki w nich samych służące do zatrzymywania śmiechu. Byli widać obyci z budową, z różnymi głosami, z różnymi trzaskami, jakie się słyszy na budowie; także z tym niegłośnym, krótkim trzaskiem, który wiele zapowiada, i od razu cofnęli się, tak jakbym równocześnie z naciśnięciem wypustu sprężynowca nacisnął w nich samych te guziki, które służą do zawrócenia człowieka z drogi i cofnięcia go.

A potem zeszli z drogi w pola i zaczęli się oddalać i to tak mogło śmiesznie wyglądać, jakbym naciskając wypust sprężynowca, przesunął w nich samych jakieś lewarki, które służą do nadania człowiekowi wstecznego biegu; ale pewnie to było tak, że oni urwali śmiech i cofnęli się, i nadali sobie wsteczny bieg, bo w kieszeniach nie mieli nic, może tylko zapalki, papierosy, chusteczki i nic więcej.

Gdy byli daleko, zaczęli się znów śmiać i ja z „przygrywką” tego dalekiego i wciąż oddalającego się śmiechu brałem Matkę na ręce i rozpoczynałem dalszy marsz w kierunku tego upragnionego rojowiska małych świateł, podobnych do świecących dużych much, zatrzymanych w powietrzu i drżących nad jakimś muszym żerowiskiem.

Znów miałem przed sobą półmrok rozjaśniony na końcu tymi małymi światłami; przybliżyłem głowę do twarzy Matki, bo chciałem się jej przyjrzeć, żeby się dowiedzieć, jak z nią jest, i wtedy zauważyłem, że ona się uśmiecha do mnie, nic nie mówi, tylko się uśmiecha, jakby ją nagle coś rozweseliło — może to, co tamci dwaj mówili, może ta ich pomyłka; więc ja jej także odpowiadam uśmiechem i w tym samym czasie dochodzi do nas jeszcze śmiech tamtych dwóch pijanych, których przegnał sam cichy trzask sprężynowca.

Wstąpiła we mnie nadzieja i powiedziałem do Matki — wszystko dobrze się skończy, Matko; a ona na to jeszcze mocniej się uśmiechnęła, a potem — jak mogłem zauważyć — próbowała coś powiedzieć, może coś wesołego, ale nie mogła, bo z mową od chwili pokazania się tej czerwonej pianki coś się stało. Wydała tylko przez uśmiechające się usta jakiś dziwny głos, takie jakieś dziwne skrzeczenie, które może znaczyło — ale się nacięli tamci dwaj; albo może — nie przejmuj się, synku, wszystko na dobre się obróci, i tobie, i mnie; albo może — aleś, synku, otrzeźwił tamtych dwóch. Coś z tego chyba było w tym uśmiechu i w tym dziwnym skrzeczeniu.

Po przygodzie z tymi dwoma pijanymi już bez przeszkód dostałem się do tych małych świateł, niosąc Matkę, na przemian — raz na rękach jak dziecko do chrztu, a raz na lewym barku, tak jak się niesie wąski i nie za ciężki worek ze zbożem.

Stanąłem z Matką pod tymi światłami, w samym środku roboty, i z początku nikt nas nie zauważył, bo to miejsce było rozmigotane ruchem, a także pasmami cienia i jaskrawości rzucanymi przez górne, a głównie przez boczne światła, tak że każda rzecz i każdy człowiek musiał być w tym miejscu niewyraźny, bo był poszatko- wany na przemian tymi jasnymi i ciemnymi pasmami, pasemkami tworzonymi przez lampy i przez wystające nad rowem okrągłaki, druty zbrojenia i luki między nimi

Ale wreszcie ujrzał nas jeden robotnik, który stał niedaleko wykopu i powolnymi ruchami rąk, a także okrzykami — jeszcze trochę, jeszcze trochę, jeszcze trochę... — pomagał kierowcy naprowadzić tył Wywrotki na sam brzeg rowu najeżonego zbrojeniem; a gdy nas ujrzał zawołał — co to jest? A po chwili — co się stało? Ale zaraz musiał zająć się wywrotką i krzyknąć do szofera — już — bo mógłby on cofnąć za mocno i cały ciężki samochód razem z płynnym betonem i razem z sobą wpakować w rów; a tu chodziło o takie cofnięcie, aby tylne koła stanęły na brzegu wykopu i wywrotka przechyliła się i wylała z siebie płynny beton.

Dopiero gdy naprowadził samochód tak jak trzeba, odszedł od niego i zaczął się do nas zbliżać; ale się nie zbliżył, bo drogę przecięła mu druga wywrotka, która jadąc tyłem, nakierowywała się prosto na rów, a za moimi plecami robił to trzeci samochód, tak że ja trzymając na rękach Matkę, znalazłem się jakby w tunelu między ciężkimi samochodami; i to w tunelu bez wyjścia, bo z jednego boku miałem rów, a z drugiego górę żelaza zbrojeniowego.

Krzyknąłem wtedy — ludzie! Ale kto mógł mnie usłyszeć, gdy szumiały trzy ciężkie maszyny i na dodatek pracowała w pobliżu niewielka, ale wydająca głośny terkot betoniarka pomocnicza.

Znów krzyknąłem — ludzie! Ale i to nic nie pomogło, bo w tym szumie maszyn ledwie sam siebie słyszałem.

Postąpiłem kilka kroków do przodu, żeby zbliżyć się do szoferek samochodów, pomiędzy którymi się znalazłem, i w ten sposób dać się ujrzeć kierowcom; przy tym wciąż wołałem — ludzie, hej, ludzie, halo, ludzie!

W świetle mogłem zauważyć, że Matka otwierała i zamykała usta, jakby chciała mi pomóc swoim własnym krzykiem, ale jej krzyk był krzykiem niemowy, a nawet mniej niż niemowy, bo niemowa może wydać z siebie jakiś pisk, a ona nie mogła.

Drugim człowiekiem, który nas tam zauważył, był kierowca ciężkiej wywrotki, spojrzawszy na mnie trzymającego Matkę na rękach i zobaczywszy ten krzyż z dwóch ludzi uczyniony, zdziwił się bardzo i zawołał przeciągle — ooo!... i zaczął otwierać drzwi swojego samochodu. W tej samej chwili luką między samochodem a górą drutów zbrojeniowych przesmyknął się ten, który nas ujrzał najpierw.

Gdy obaj stanęli przy mnie, powiedziałem im szybko, o co chodzi, i oni się bardzo przejęli, i doradzili mi, aby żelazną pakę wywrotki, z której wylano beton, wyścielić drzazgami, które zostały po robotach szalunkowych, i próżnymi workami po cemencie i na tych workach umieścić Matkę, i powieźć ją razem ze mną do dyżurnego lekarza; i jeszcze mądrze doradzili, bo oni się tym mocno przejęli, aby wywrotkę zostawić w półprzechyleniu, gdyż wtedy łatwiej będzie włożyć, a później przed punktem lekarskim wyjąć z niej Matkę.

— Innego sposobu nie ma i innej rady nie ma, tu inaczej się nie da — mówili z przejęciem — chyba tak jak dotąd — pieszo.

A później mi powiedzieli, że udawać się pieszo do punktu lekarskiego nie radzą, bo droga jest rozbabrana samochodami i tworzy jedną maź.

Z tego miejsca, gdzie rozmawialiśmy, trzeba było szybko uciekać, bo powstał wielki krzyk o to, że robi się zatory, które przeszkadzają w należyтым dowozie i wylewaniu do wykopów płynnego betonu.

Przesmyknęliśmy się między przodem samochodu a stosem materiału zbrojeniowego, podeszliśmy do opróżnionej wywrotki i tak się stało, jak radzili robotnicy.

Przed punktem lekarskim kierowca pomógł mi wyjąć Matkę z żelaznej paki; wziąłem ją na ręce i szybko wszedłem na schodki prowadzące do korytarza: tam musiałem ją przerzucić przez lewy bark, bo korytarz był wąski i nie dało się jej nieść na rękach.

Gdy dochodziłem do drzwi lekarskiego gabinetu, Matka wyprostowała się nagle i wyprężyła i wtedy trzymałem ją tak, jak się trzyma podrośnięte niemowlęta, takie, którym głowa utrzymuje się już dość dobrze na szyi i nie ma obawy, że się im pogną kości.

Ale Matka w tym wyprostowaniu, w tej sztywności była bardzo krótko, bo zaraz opadła miękko na mój lewy bark.

Gdy ją ułożyłem na przykrytym ceratą wyrku w pokoju przyjęć, lekarz pochylił się nad nią, złapał ją za rękę i powiedział — teraz mi ją przynosicie, teraz, dlaczego dopiero teraz, gdybyście ją przynieśli trochę wcześniej...

Rozdział XXI

Na pogrzebie Matki było sporo ludzi, z każdego bractwa budowy ktoś przyszedł; chlebojadów i zupojadów najwięcej, choć przecie ona nie mogła należeć do ich zakonu, bo nie mogła mieć marzenia rzuconego w daleką przyszłość, gdyż była już stara i żyła dniem. Ale chlebojady i zupojady wiedzieli, czym ona była dla ich marzenia, wiedzieli, że ona w niejedno marzenie niejednego chlebojada i zupojada dmuchała, żeby nie zagaśło; a mogło przygasnąć, a nawet zagaśnąć przez te jedne i te same deszczowe dni i przez to zimne błoto, i przez tę zupę, i ten suchy chleb, i przez to nieustanne zawieszenie między tym, z czego się wyszło, a tym, do czego ma się dojść; do tyłu się nie colniesz, a do spełnienia marzeń wciąż daleko.

Spisał się także niezłe zakon rozmiłowanych w trudnej robocie młodzików, choć przecież ona była poza ich zakonem i nie mogła przyjąć jego reguły, gdyż miała stare, kruche kości i stare, zwiotczałe ciało, a takie kości i takie ciało nie miały czego szukać w ich zakonie. A jednak przyszło sporo tych młodzików na pogrzeb Matki, bo z pewnością niejednen z nich usłyszał od niej słowa, które pozwoliły mu wytrwać w trudnej robocie.

Widziało się na pogrzebie Matki zamyślane, przejęte twarze grzesznych panienek, kurewek szalonej budowy i groźnych chłopców od noży, bywalców zarośniętego krzakami obrzeża doliny, na której budowało się miasto, i twarze marzycieli-lekkoduchów, i inne twarze.

Ze wsi przyjechały na pogrzeb Matki jej siostra i jej córka, ta córka wyrodna, która wszystko wzięła, a nic nie chciała dać.

Trumna miała już wnet pójść do ziemi i ksiądz kazał zmówić pacierz za duszę zmarłej, wszyscy uklękli i pochylili głowy; miałem pod sobą — bo klęczałem trochę wyżej, na betonowym obramowaniu jakiegoś grobu — plecy i kark Korbasa, Młodziutkiego,

Czulej Duszy i Rumianego — on także przyszedł na pogrzeb. Mówiłem pacierz za duszę Matki i patrzyłem na te karki; Korbasowi wychyłała spod brudnego kołnierza brudna święta tasiemka — u niego było bez zmian; Czula Dusza miał na swoim karku cienki łańcuszek, Rumiany miał na swoim karku* czystą, białą, świętą tasiemkę; bo on po wygnaniu go z biura etatowych działaczy . znów zawiesił sobie Boga na złość tym działaczom i ojczyźnie; ażeby jeszcze bardziej dokuczyć etatowym działaczom i ojczyźnie, wyglansował medalik glaspapierem i wyprał tasiemkę.

Młodziutki po raz pierwszy miał golutki kark, nie było na nim — mogłem zobaczyć, bo kołnierz poszedł mu mocno do tyłu — ani tasiemki, ani łańcuszka; a to znaczyło, że Młodziutki zdjął ze swojej szyi Boga, którego dostał od swojej matki, od tej odrobiny, która wysupływała i dawała mu na drogę pieniądze za pieniądzem.

. Dotknąłem swojego karku, pod palcami wyczułem tasiemkę — u mnie dotąd bez zmian. Trumna zaczęła zjeżdżać do ziemi i wyrodna córka podniosła lament; a jeszcze większy lament podniosła, gdy na trumnę zaczęły lecieć grudy; a gdy grób już został uformowany, podeszła do Korbasa, przysunęła do niego swoją czerwoną, zażawioną twarz i spytała się cicho, czy przypadkiem po Matce nie zostały jakieś pieniądze. Wtedy Młodziutki podszedł do niej z tyłu i przez furtkę w zębach sprytnie strzyknął ślinę na jej płaszcz; on był wielkim specjalistą od strzykania śliną, ale teraz zrobił to po mistrzowsku, bo on bardzo lubił Matkę i cały szacunek, i całą miłość do niej włożył w to strzyknięcie śliny na wyrodną córkę.

Potem ja stanąłem za jej plecami i cicho plułem na płaszcz wyrodnej córki, bo ja także kochałem Matkę; a potem to samo zrobił Czula Dusza, bo on także zdążył pokochać Matkę; i tak się zmieniając opluwaliśmy tę wyrodną córkę.

Ona tego nie zauważyła, bo wciąż ocierając twarz z łez zarzucała Korbasa pytaniami — czy mama nie zostawiła jakichś pieniędzy, czy mama czegoś nie zostawiła, czy coś nie zostało po mamie...

Korbas chcąc jej dać odpowiedź, pluł lekko w dół i ślina upadła na jej czarny bucik; ale ona się na tym nie poznała i wciąż napierała na Korbasa pytaniami — może gdzieś, może komuś

mama coś zostawiła... Wtedy Korbas drugi raz, już bliżej jej boku, wypuścił ślinę, która trąciła i zabieliała brzeg jej sukni; a potem nie czekając już na te pytania, plunął po raz trzeci jeszcze bliżej jej boku i ślina spadła na jej ciemną suknię, i ona zrozumiała, że to jest odpowiedź; bo odskoczyła od niego, a ludzie się od niej odsunęli, bo wyglądała tak, jakby na pogrzeb swojej matki szła pod deszczem ze śliny.

Z cmentarza wracaliśmy w piątkę — Korbas, Młodziutki, Czula Dusza, Helena i ja; i nic nie mówiliśmy, bo co mielibyśmy mówić że Matki nie ma, że jej nie będzie, że nigdy nie będzie, że już nigdy Matka nie pójdzie z nami do tajnej bimbrownik że już nigdy nie powie — synkowie moi, pamiętajcie, żebyście zawsze kupowali sobie wszystko za swoje własne pieniądze, synkowie • moi, wszystko na dobre się obróci; że już nigdy, nigdzie, w żadnym miejscu tej ziemi nie odezwie się Matka; i choćbyś za to, żeby się odezwała, dał wszystkie pieniądze świata, wszystkie maszyny, wszystkie samochody, wszystkie miasta. świata, nie odezwie się Matka, bo umarła i koniec, i amen, tego przecież nie mogliśmy mówić, bo to głupie, a to się cisnęło na usta i dlatego wstrzymywaliśmy się z mówieniem, żeby nie mówić głupio; bo to-wyglądało tak, jakby się powiedziało — kamień jest kamieniem, drzewo jest-drzewem, ziemia jest ziemią, życie jest życiem, śmierć jest śmiercią. Dlatego zaciskaliśmy usta i jeden do drugiego nie odzywał się.

Młodziutki wysunął się przede mną i znów błysnął mi jego biały, cienki kark; dlaczego kark Młodziutkiego jest goły, dlaczego nie opasuje go ani święta tasiemka, ani święty łańcuszek, dlaczego Bóg zawieszony starymi rękami matuli zjechał z karku Młodziutkiego?

Korbas tego nie wie, Korbas mówił, gdy zobaczył goły kark Rumianego z białym śladzikiem po zdjętej tasiemce — nie wolno odrzucać tego, co się dostało od matki; nasza Matka z budowy wtedy' nic nie mówiła i Młodziutki nic nie mówił, ja trzymałem stronę Korbas, choć Korbas co innego, a ja co innego; bo najpierw to, że on jest więcej niż podwójnie ode mnie starszy i on już nie ma czasu na żadne zmiany, a ja mam czas; Korbas tak jak i Matka nie nadałby się do żadnego zakonu tej naszej budowy. Ale on nie czuje się samotny tak jak Matka, bo ma na wsi dobrą

żonę, dobre dzieci, do których umie jui nagryzmolić list i co ważniejsze, zna świetnie ciesielkę i stolarkę; a taki, który świetnie zna swój fach, nie da się zmieść szalonej budowie, budowa musi, choćby nie chciała, uznać go; i dlatego ten, który zna świetnie swój fach, nigdy nie poczuje się samotnym.

Roboty pomocnicze, porządkowanie placów budowy, przenoszenie żelaza i drewna z miejsca na miejsce to może wtrącić cię w samotność, ale gdy znasz świetnie stolarkę, ciesielkę, ślusarkę, spawanie czy co innego — możesz nie bać się samotności.

Gdy opanowałeś świetnie fach, nie musisz prosić, nie musisz błagać o ludzi, sami do ciebie przyjdą, sam inżynier przyjdzie do ciebie, położy ci delikatnie rękę na ramieniu i powie — panie mistrzu; nawet sam dyrektor podejdzie do ciebie z tym — panie mistrzu'; nie mówiąc już o gromadzie tych, którzy się . chcą od ciebie nauczyć tego, co ty umiesz. Gdy znasz świetnie fach, zawsze będziesz z ludźmi. Tak było z Korbasem, a z Młodziutkim było inaczej.

Młodziutki wiedział, czego chce, i szedł do tego twardo, Młodziutki pięknie marzył i szedł twardo, marzył i wspinał się; ale Młodziutki był szarpany, bo spotkała się w nim dusza chlebojada i zupojada z duszą dziwnego młodzika, zawziętego na robotę, weszły w niego nakazy matuli i wsi, i pokusy miasta, które będzie, i to wszystko szarpało go na różne strony.

Ten łańcuch, na którym trzymała go matula li wieś, był w nim naciągnięty, bo on chodził jakby w obroży, do której był uczepiony drugi łańcuch, ciągnięty w przeciwną stronę przez młodzików spod znaku ZMP, i mieli w nim także swoją sygnaturkę chlebojady i zupojady, którzy idąc do miasta budowanego, wlekli z sobą surowe nakazy wsi.

I mógł przyjść, i przyszedł taki wieczór, ie Młodziutki, czując w sobie naciągnięty łańcuch przez zakochanych w trudnej robocie równolatków-młodzików, podniósł do góry dwiema rękami i sięgnął nimi do swojej szyi, i zdjął z niej przez głowę świętą tasiemkę razem z wygniecionym w blaszce wizerunkiem Boga Ojca, Matki Bożej albo Boga Syna, albo jakiego świętego, i położył tę tasiemkę razem z medalikiem w szafce, gdzie był kawałek suchego chleba i skórki z kiełbasy; i usiadł sobie przy stole, i wtedy usłyszał w sobie dzwonięcie sygnaturki chlebojadów i zupojadów, i poczuł,

że łańcuch, na którym trzymała go matula i wieś, napiął się do niemożebności i że do niewytrzymania gniecie go obroża i przyciąga z powrotem do szafki po to, żeby z niej wyjąć tasiemkę z medalikiem i założyć z powrotem na szyję; a potem, gdy medalik znów zawisł na jego szyi i gdy znów usiadł przy stole, napina się na odmianę łańcuch miłujących ciężką robotę młodzików, i znów idzie do szafki, i znów wraca z golutką szyją, kładzie się do łóżka i próbuje zasnąć; ale wtedy dzwoni sygnaturka chlebojadów i zupojadów i matula suchą ręką razem z sąsiadami pociąga za swój łańcuch i zdziera syna z łóżka, i każe mu iść do szafki po tasiemkę i po medalik; i on wstaje, i po omacku dochodzi do szafki, i potem długo w noc tak spaceruje między łóżkiem a szafką, bo spać nie może, bo go szarpia te dwa łańcuchy, na których jest uwiązany, i budzi go sygnaturka chlebojadów i zupojadów.

Jego współlokatorzy śpią twardo, a on biega od łóżka do szafki i od szafki do łóżka jak zwariowany.

Rano ochlapuje się i orzeźwia zimną wodą, bo jest jak pijany, ubiera się i wychodzi do pracy, w drodze dotyka dłonią swojej szyi, jest goła. Po raz pierwszy zamknął za sobą drzwi i wyszedł z baraku bez medalika, i kroczy doliną, a szyi jegp nie opasuje sznurek, na którym wisi medalik.

Chłodna woda nie pomogła, dalej jest jakby upity; w górze, w klatce ogromnego dźwigu dotyka swojej szyi, nie ma na niej tasiemki i nie ma medalika, jak się pokaże matuli i wsi, którą codziennie sprowadza myślą i ustawia wokół dźwigu...

Na pogrzeb Matki idzie bez medalika, cały dzień chodzi z gołą szyją, ale wieczorem doskakuje do szafki i zawiesza na szyi medalik; bo on jest niby groźny pies prowadzony na dwóch łańcuchach, na łańcuchu matuli i jej sąsiadów i na łańcuchu zażartych na harówkę młodzików, i w dodatku prowadzony przy dźwiękach sygnaturki chlebojadów i zupojadów.

Mówiąc to o Młodziutkim, który nie miał przede mną tajemnic, odskoczyłem najpierw trochę do tyłu, a później trochę do przodu od dnia pogrzebu Matki i nie opowiedziałem o mojej samotnej przedwieczornej i wieczornej włóczędze w tym dniu.

Bo ta piątka, która wyszła z cmentarza, wnet się porozłączała, gdyż cmentarz był niedaleko baraków robotniczych, a poza tym rozmowa się nie kleiła, bo każdy był zadumany i gdyby miał mó

wić, z pewnością wydusiłby tylko to, że Matki już nie ma; a o tym każdy aż do głębokiego smutku wiedział i nie chciałby ani z tą wiadomością wyskakiwać, ani jej wysłuchiwać; boby ona w tym smutku jeszcze głębiej grzebała.

Młodziutki, Korbas i Czuła Dusza odłączyli się ode mnie i Heleny zaraz za rzędem nowych, jeszcze nie zadaszonych domów; Helena także śpieszyła się, bo akurat w tym dniu ogłosili, że w jej baraku będzie ciepła woda i że będzie się można wykąpać.

A gdy takie ogłoszenie pojawiała się w którymś z naszych baraków, powodowało miłe poruszenie; dziewczyny i chłopaki zrzucili swoje popołudniowe plany, odrzucali wiele przyjemności, bo na pierwszym miejscu stawiali ciepłą wodę.

Dziewczyny odkładały spotkania ze swoimi chłopakami, chłopcy nie szli do dziewczyn, starzy nie odwiedzali starych, bo wszyscy ciągnęli do ciepłej wody, gdyż każdy chciał zakosztować pańskiego życia, to znaczy puścić na siebie ciepły tusz i potem się namydlić, i potem znów puścić na siebie ciepły tusz i zatracić się w tym pańskim życiu, i stać pod ciepłym tuszem aż do usłyszenia — spieprzaj, koleżanko, bo ja się także chcę umyć; a potem wytrzeć się dobrze ręcznikiem i wejść sobie na materace do żelaznego łóżka, i znów się zatracić w tym pańskim życiu, i popatrzeć z wysokości piętrowego łóżka na swoją wieś bez ciepłej wody i bez takich łóżek.

Gdy przedtem mówiłem, że od przyjscia na tę szaloną budowę już się trochę oddziadziłem i postąpiłem jeden< dwa, trzy kroczyki na drodze prowadzącej od dziada do zdiadapana, zapomniałem powiedzieć o kąpieli pod ciepłym tuszem; a to przecież było pańskie, bardzo pańskie.

Dlatego rozumie się samo przez się, że w dniu, w którym pochowaliśmy Matkę, nie mogłem długo spacerować z Heleną, gdyż w jej baraku ogłosili ciepłą wodę.

Rozdział XXII

Zostałem sam, skierowałem się na obrzeże budowy. Stanąłem chwilę w miejscu, gdzie plac robót schodził się z sadami, popatrzyłem na drzewa już nie ogrodzone płotem; smuciły się we mnie te jabłonki, grusze i śliwy, które budowa ma za nic. Ciężkie samochody, wywrotki i spychacze porobiły sobie drogi między drzewami, pozadzierały pnie, pośmały gałęzie; jeszcze się nie dają te drzewa, ale wnet da im radę ciężki spychacz, ten czołg naszej budowy, który równa ziemię.

Idąc wciąż obrzeżem placu robót znalazłem się w miejscu wyżej położonym, na którym już kilka razy byłem, z którego widać całą budowę, wszystko, co na tej dolinie zostało postawione. Mogłem zauważyć, że na placach robót przybyło murów, pierwsza dzielnica miasta wypuściła jakby kilka czerwonych jęzorów ku wschodowi, już zaczęła przechodzić w nie istniejącą jeszcze dzielnicę centralną, sięgnęła już linii, która będzie stanowić najgłówniejszą ulicę przyszłego miasta i która to jeszcze nie istniejące miasto przetnie na dwie ogromne połowy i stanie się jakby rzeką płynącą przez to miasto i wpływającą do dużej fabryki, która tu także będzie budowana.

Nowe w tym moim patrzeniu na budowę z tego wyższego punktu ziemi w dniu pogrzebu Matki było to, że dało się już zobaczyć w myśli główną ulicę miasta i postawić w myśli nie tylko całe miasto, ale i fabrykę.

Nowe w patrzeniu na budowę w tamtym dniu było także to, że oczy co chwila musiały polecieć na lewy kraniec pierwszej dzielnicy miasta, do tych wysokich drzew, podobnych jesienią do żółtych słupów, a rosnących na cmentarzu, na którym pochowaliśmy Matkę; i co chwila musiały mi przychodzić te dziecinne, niemądre myśli — nie ma Matki, nie będzie Matki, nigdy nie będzie Matki, tajna bimbrownia została, pniaki w tajnej bimbrowni

zostały, a Matki nie ma i nie będzie Matki, już nigdy nie usiądzie na pniaku w szopie bimbrowca, już nigdy nie podniesie garnuszka z wódką.

Deklamowałem w myśli tę trzystopniową litanie — nie ma Matki, nie będzie Matki, nigdy nie będzie Matki...

Z tą litanie w sobie zszedłem z wyżej położonego miejsca, z którego dało się odczytać budowę i powróżyc przyszłości, bo zachciało mi się iść wielkimi jesiennymi polami, i z tą litanie w sobie maszerowałem wolno przez pola, potem łagodną pochyłością w kierunku rzeki i następnie z tą deklamacją, w sobie przedzierałem się przez gęste krzaki, aż mi ją przerwało ciche psie skomlenie.

Wydawał je chudy pies brązowozębnej maści, z zaropiałymi od starości oczami i zjeżoną na grzbiecie sierścią; cofał się przede mną i cicho skomlił ni to ze złości, ni to ze strachu, ale chyba bardziej ze strachu niż ze złości.

Poszedłem za nim i natrafiłem na starego człowieka W łachmanach, leżącego na podściółce z opadłych liści wiklinowych; człowiek ten miał nie ogoloną, zarosłą i brudną twarz, włosy przyklejone do czoła i takie same jak jego pies stare zaropiałe oczy.

Gdy mnie zobaczył, wstał szybko z tej podściółki i zaczął uciekać w krzaki razem ze swoim ,psem; wtedy zobaczyłem, że na plecach ma ogromny garb i ugina się pod nim niby pod ciężkim worem; i że mimo to przebiera szybko nogami, że robi nimi małe, stare kroki; i wtedy przyszły mi na myśl te nasze wieczory i noce, w których mnie i innym chłopcom z budowy wódka podnosiła i rozszerzała świat, i swoje własne nie przespane, częściowo przeżane w łóżku, a częściowo przestane przy oknie smutne i pełne strachu noce, czyli takie nocne godziny, kiedy dochodzące z obrzeży budowy szczekanie psów nie było zwykłym szczekaniem, kiedy słysząc to szczekanie pomyślało się albo szepnęło cicho — to ten, który nie dał się przesiedlić; albo wprost — psi król znów harcu je; kiedy długie cienie pomiędzy smugami światła rozwieszonych i poustawianych na budowie nie były zwykłymi cieniami, lecz trasą biegu tego uparciucha, który nie dał się przesiedlić i widząc swój zburzony dom i swoje poprzecinane rowami pole stanął na czterech nogach, bo z rąk uczynił dodatkowe dwie nogi, żeby się lepiej przytrzymać swojej ziemi, i zaczął szczekać jak pies, i przystał do psiej sfory.

W tej kępie ujrzałem go takim, jakim w rzeczywistości był, bo nie przykrywała go żadna mgła i nie był zasłonięty żadną smugą, żadnym cieniem ani półcieniem.

Próbowałem go zatrzymać i wołałem — nie uciekaj, wróć, nie bój się, człowieku, nic złego ci nie zrobię, wróć; ale to na nic się zdało, bo on dał nura w gęstwinę i znikł mi z oczu.

Wtedy rzadszą partią krzaków obszedłem to miejsce, gdzie wiklina była najgęściejsza, i stanąłem po drugiej stronie tej gęstwiny. Patrząc prześwitem między krzakami zauważyłem, że ci dwaj starcy — starzec człowiek i starzec pies — zatrzymali się przy dużym, rozłożystym krzaku, nad samym brzegiem rzecznej zatoki. Stary zaczął ogarniać pod ten krzak wiklinowe liście, a pies siedział i patrzył, co robi człowiek; później stary wsunął się pod krzak i położył na liściach, wyciągnął rękę i zaczął dłonią gładzić łeb psa, który usiadł przy jego boku.

Cofnąłem się, nie chciałem ich płoszyć, wracając dałem znać milicji, że w kępie pod dużym krzakiem przy samym brzegu rzecznej zatoki leży stary, okrutnie zmęczony człowiek z psem i że trzeba się nim zająć, bo może umrzeć z zimna i głodu; i powiedziałem im jeszcze, że z pewnością jest to ten sławny psi król, o którym mówią chłopcy wracający późno do baraków.

Mundurowi przyrzekli, że wybiorą się tam, chwycą go i oddadzą do przytułku.

Długo nie wiedziałem, jak wypadła obława mundurowych na psiego króla, gdyż przestałem się tym interesować, bo przygniotły mnie moje własne sprawy; nie wiedziałem, co robić ze ślubem, czy brać, czy się wstrzymać, bo dotąd tak zeszło, a teraz Helena jest już więcej matką młodą niż panną młodą i wstydzi się iść do ołtarza z wypiętym brzuchem; czy nie zważać na wstyd i pójść któregoś dnia, i cicho z tym ślubem załatwić, i niech ksiądz związuje ręce stułą, i niech już będzie po tej ceremonii; a poza tym doszły mnie słuchy, że Rumiany dybie na mnie i mówi, że ra- ♦chunki między mną a nim są jeszcze nie wyrównane.

Później jednak mimochodem dowiedziałem się, jak wypadła ta obława, którą mundurowi urządzili na psiego króla. Robrze, że poszło ich czterech, bo jednemu, a nawet dwom, wymknąłby się na pewno; bo on urządził się sprytnie i tak jak smagła brunetka, dzieciobójczyni, miała swój winkiel, z którego mogła całkowicie

uciec, tak 011 miał swoją zatokę wypełnioną przy brzegu gęstym, dość głębokim, a dalej coraz rzadszym i coraz głębszym mułem, a w końcu głęboką wodą przechodzącą w szybki nurt rzeki.

Ale milicjanci nie zdawali sobie sprawy z tego, że ten stary, który nie chciał pojechać do innej wsi, gdy budowa zagarnęła jego pole i dom, może uznać mulistą zatokę za dogodną drogę ucieczki, oni nawet cieszyli się tą zatoką, bo uważali, że ona ułatwi im obławę, gdyż będą mogli przyprzeć starego do niej niby do muru i nie będą musieli brać go w kółko, a tylko w półkole.

Nim przekroczyli rzeczny wał, dowódca patrolu wyznaczonego do obławy i schwywania psiego króla ponumerował swoich podkomendnych i uczynił z nich jedynekę, dwójkę i trójkę; a za wałem, już na skraju rzadkich zarośli, pomyślał dłuższą chwilę i zarządził — „jedyńka” w lewo i do przodu, „dwójka” w środku i nieco w tyle, „trójka” w prawo i także do przodu.

On miał iść za nimi na wypadek, gdyby stary przesmyknął się niepostrzeżenie między „jedyńką” a „dwójką” lub między „dwójką” a „trójką”.

Gdy milicjanci zaczęli się przedzierać wiklinowymi zaroślami w kierunku dużego krzaka, pies wyczuł ludzi i usłyszał szuranie, i zaczął ni to szczeleć, ni to skomleć. Wtedy stary wygrzebał się z liści i zmiarkowawszy, co się święci, wziął psa na ręce i wszedł z nim po kolana w wodę; a gdy mundurowi stanęli na samym brzegu zatoki, stary mając swojego psa na rękach, cofnął się jeszcze bardziej tak, że rzadki muł sięgnął mu wyżej pasa.

Wtedy dowódca patrolu zarządził — „jedyńka” i „dwójka” do niego i brać go. Gdy ci dwaj milicjanci weszli w zatokę, stary trzymając wciąż swojego psa w uniesionych rękach, uśmiechnął się, pokazał swoje bezzębne, czarne dziąsła i cofnął się jeszcze bardziej, i mulista woda podeszła mu do piersi.

Wtedy dowódca pojął, w którą stronę chce on uciekać i że się pomylił, gdy uznał tę zatokę jakby za mur, którego stary nie przestąpi i będzie do niego przyparty; i przekonał się, że ta obława jest inna niż te, które dotąd przeprowadzał w swojej służbie.

Więc krzyknął do „jedyńki” i „dwójki” wracać na brzeg — a potem do stojących już na brzegu i otrzepujących się z mułu

milicjantów coś cicho powiedział i oni od niego odeszli, i zniknęli w krzakach.

Gdy „jedyńka” i „dwójka” odeszli, dowódca i „trójka” namawiali starego, żeby wylazł z mułu, dobierali delikatne, ładne słowa, podobnie jak ci ich koledzy, którzy mieli do czynienia ze smagłą brunetką, dzieciobójczynią; ale stary nie chciał ich słuchać, stał w wodzie i spokojnie patrzył na milicjantów. Nic sobie nie robił z ich słów, zajmował się tylko swoim pieskiem, którego trzymał tuż nad wodę i przyciskał do piersi. Ale od czasu do czasu przekręcał głowę w bok i odwracał się za siebie, i popatrywał na dużą wodę, której główny nurt miał niejako za plecami; bo w tym miejscu rzeka tworzyła zakręt i swoje wody najszybsze spychała ze środka do brzegu.

Wszystko poszłoby po jego myśli i albo milicjanci musieliby się cofnąć znad brzegu zatoki i pójść sobie, i on wtedy wyszedłby ostrożnie; albo gdyby mundurowi chcieli znów wejść w muł i brnąć do niego zatoką, rzeka dałaby mu schronienie.

Ale nie przewidywał stary, że dwaj milicjanci wypłyną nagle na łódce zza krzaka rosnącego na samym brzegu rzeki i zagrodzą mu drogę do głównego nurtu. Wprawdzie wypuścił pieska z rąk i dał ukośnego nura, i już nawet zahaczyły go i zakręciły nim pierwsze wiry głównego nurtu, i już zaczynał go ten nurt brać w siebie, ale w tych sekundach jeden z milicjantów klęczący i pochylony na dziobie łodzi chwycił starego za wzdęte odzienie i przy pomocy swojego kolegi, który na ten czas przestał wiosłować, wtoczył go do łódki i zaraz z klęczenia na dwóch kolanach przeszedł w klęczenie na jednym kolanie, bo musiał przewiesić starego na swojej nodze brzuchem do dołu, aby wylać z niego wodę, której zdążył się już ochleptać, i przywrócić go do przytomności.

Piesek w tym czasie był już dość daleko na głównym nurcie, ale — jak później mówił chłopakom milicjant — można było zauważyć, że łebek miał zwrócony w stronę łódki i chciał płynąć w górę rzeki, ale nie mógł i odpływał szybko głównym nurtem, ogonem do przodu.

Dobrze, że milicjanci pochwycili psiego króla przed pierwszymi mrozami, bo na pewno zima dałaby mu radę na tym jego tronie z wiklinowych liści. Cygańskiego ||| tak go nazywano — bunkra, w którym, jak się później okazało, stary od chwili, gdy się uparł

i nie dal się przesiedlić, miał schronienie i spędził w nim pierwszą zimę, już nie ma, gdyż budowa zmiotła i ten, zdawałoby się, zatajony w zielsku i na wpół wkopany w ziemię na bezpiecznym, odsuniętym od kierunku marszu robót ugorzysku bunkier.

Ale może on już tego chciał, może on już pragnął; tego, żeby mu dała radę zima; nie budowa, nie milicjanci, nie przytułek w mieście, a rzeka albo zima; bo to nie wszystko jedno, co człowiekowi da radę — a on był król i jako król bronił się wielką rzeką i ostrą zimą przed budową, przed milicjantami i przed przytułkiem; i jako król uważał, że zabić go powinna wielka rzeka albo ostra zima, nim go przychwycą i dadzą do przytułku; trzymał sobie w zapasie tych zabójców i dlatego — myślę — zrobiłem źle, że napuściłem na niego milicjantów i jak pierwszy lepszy z brzegu człowiek, jak taki, który dzień uważa za dzień, a noc za noc, jak taki, który uważa, że przed dużą rzeką i przed ostrą zimą trzeba się zawsze chronić, jak pierwszy lepszy z tej masy normalniaków żyjących od rana do wieczora i znów od rana do wieczora, skazałem króla na przytułek zamknięty i odsunięty od wielkiej wody i od ostrej zimy, gdzie z obrzydzeniem zdarto z niego jego królewskie łańchmany i dano mu niegodną króla przytułkową czystą bieliznę i przytułkowe czyste ubranie i kazano mu wejść w przytułkową czystą wodę, i powiedziano mu — trzeba się dobrze umyć.

Myślę, że nie powinienem odchodzić od tego dużego krzaka rosnącego na brzegu mulistej zatoki, pod którym stary zbudował sobie łóżko z liści. Powinienem chyba narobić wrzasku i przestraszyć go, i wypędzić go razem z jego plieskiem w imulistą zatokę, i stanąć na brzegu, i nawoływać niby do pochowanych w krzakach moich pomocników — zachodźcie mu z boku, z lewego i z prawego, wchodźcie w muł, śmiało wchodźcie w muł, śmiało wchodźcie w wodę z dwóch stron, a ja stąd wejdę, nie ujdzie nam!...

Tak może powinienem krzyknąć, żeby go jeszcze bardziej przybliżyć do głównego nurtu, aby to moje pojawienie się z wymyśloną grupą ludzi, w którą może by uwierzył, przekonało go, że to jest wypadek nagły i nie ma co wyczekiwać na zimę, i należy jeszcze bardziej zbliżyć się do rzeki i bezpiecznie wsunąć się w jej główny nurt.

Ale ja postąpiłem jak pierwszy lepszy normalniak i skazałem króla na niegodne życie; ale jest nadzieja, bo każdy król ma swoich nocnych przyjaciół, którzy mu pomogą przejść przez mur albo przesmyknąć się szparą w nie domkniętej przez nieuwagę bramie, którzy mu podszeptają, aby wykorzystał zaufanie przytułkowych do jego posłuszeństwa, którzy w taki czy inny sposób pomogą mu się wydobyć z przytułku i oddadzą go zabójcy pierwszemu, jeśli będzie zachodził nagły wypadek, albo zabójcy drugiemu, jeśli nie. będzie nagłego wypadku — to znaczy dużej rzece albo ostrej zimie.

Rozdział XXIII

A mój zabójca przeczuwany jest z ludzkiego rodu, ma w kieszeni sprężynowy nóż; muszę się mieć na baczności, aby mnie nie zaskoczył Rumiany; to ja powinienem rzucić się na niego — cicho, znienacka, mam dwa noże, ale jestem sam...

Zima przyszła wcześniej i wcześniej spadł śnieg, a zima niedobra jest dla noży. Chłopcy, którzy lubili fach nożowników, znacznie mniej używali swoich sprężynowców w zimie niż w lecie, a to ze względu na śnieg; nie tyle na śnieg, ile na białość śniegu.

Gdyby śnieg był czarny, biliby się zimą nożami może częściej niż latem; a gdyby w zimie padał z nieba czerwony śnieg, toby dopiero była frajda dla noży chłopców miłujących fach nożowników.

Ale śnieg jest biały i noże podobnie jak przyroda drzemią w zimie.

Druga zima nie była wiele lepsza od pierwszej, ale jednak trochę lepsza; bo ci, którzy tu przyszli nie po to, żeby powęszyc, poniu- chać, jak jest, i pójść szukać lepszego, którzy nie lubili zmieniać roboty, a także nie mogli wracać tam, skąd przyjechali, lepiej niż przed rokiem mogli ujrzeć zarysy tego wszystkiego co mają zbudować, i zarysy swojego przyszłego życia w tym.

Ale zima wiele im odebrała z tych widoków na dolinie i z przewidywań w sobie, a także osłabiła ich chęć do marzenia, do wędrówki na wyższe miejsca obrzeża budowy i wróżenia z jeszcze niewyraźnego, zamazanego, ale już się ujawniającego, już się wybijającego w powietrze z dołów, z błota, ze zwałów betonu i żelastwa obrazu kilku dzielnic, a może nawet całości miasta.

Bywało tak, że człowiek się trzymał, spadł śnieg, chwycił mróz, ziemia zmarzła, on przebijał twardą skorupę i ciągnął rów, i trzymał się; wygrzebywał ze śniegu żelazo i drewno, brał je, a ono mu się wyslizgiwało z rąk, bo było oblodzone, więc znów je brał, poprawiał w rękach, a ono mu się znów wyslizgiwało, a on znów

brat to oblodzone żelazo i drewno i obrzucał je przekleństwami, i zarzucał je sobie na ramię, i szedł z nim, i ślizgał się na oblodzonej ziemi, przewracał się, a to żelazo i drewno spadało mu z ramienia, a on się podnosił i znów je brał, i znów z nim szedł, i* trzymał się; i zdawało mu się, że przetrzyma, że mu pomoże ta Cyfra, która wisi nad jego domem i jest odbita w duszach domowników niby mocno odczuwany znak, że wszelka nadwyżka ludzi w domu jest niepożądana i każdy dodatkowy jest zbędny; i zdawało się, że ten człowiek przetrzyma, bo mu pomoże przekleństwo, wódka, dziewczyna albo zapamiętana twarz ojca — dobra, a jednak bezsłownie przykazująca — tyś tu niepotrzebny, bierz swoje płaskie kieszenie i nużę w świat; bo mu pomoże dobre słowo majstra albo mały ptak siedzący na wystającym ze śniegu szpicu okrągłaka, albo zapamiętane oczy matki, dobre, czułe, a jednak przykazujące — tyś tu niepotrzebny, zabieraj swoje płaskie, nie rozwarłe zarobkiem kieszenie i nużę w świat; i zdawało się, że ten człowiek wytrzyma, ale zmarzły mu ręce, bo nie miał rękawic, gdyż dla wszystkich nie starczyło, a miał przetoczyć z miejsca na miejsce dużą, oblodzoną bryłę ziemi.

Nacisnął na tę bryłę gołymi palcami i zaczął ją toczyć, i zgrabiały mu ręce; więc przestał na chwilę ją pchać i odjął palce od lodu, i włożył ręce do kieszeni spodni, i wsuwał, wciskał palce w pachwiny między nogi a przyrodzenie i jak chłopaczek stulał nogi, żeby jeszcze dodać ciepła temu najcieplejszemu miejscu na ludzkim ciele, i mruzczał gniewnie — dlaczego sukinsyny nie zapalili dziś ogniska, dlaczego nam nie przynieśli gorących węgli... a głośnik śpiewał — budujemy nowy dom, stupiętrowy nowy dom; a ten człowiek ręce miał wciąż w ciasnych pachwinach między nogami a przyrodzeniem, a ogromna bryła zmarzniętej, oblodzonej ziemi leżała przed nim.

No to on wysunął palce z tych ciepłych pachwin i znów napał na nią i po chwili znów mu te palce zgrabiały i na dodatek pośliznął się, bo o to było łatwo, i upadł twarzą na tę oblodzoną bryłę ziemi i to tak wyglądało, jakby się rzucił na nią z pocałunkiem niby na jaką świętą kulę; i jeszcze na dodatek, gdy podniósł się i znów napał rękami na ten odłam ziemi i gdy ją wtoczył na teren pokryty resztkami cienkiego, sprężynowego drutu, jakiś jeden drucziany pręcik zagięty w łuk i przez przypadek wbi

ty dwoma końcami w ziemię, uwolnił się z tej uwięzi i z wielką siłą przyciął mu lewą dłoń do góry.

Wtedy ten człowiek zaczął trząść tą uderzoną dłonią i podskakiwać, jakby był ze sprężyny, a potem niby nierozumne dziecko zaczął kopać butem tę bryłę ziemi, którą przetaczał z miejsca na miejsce, i w swoim nagłym zdziecinnieniu ciąć w nią, jak w coś żywego i czującego, tym sprężynowym drutem, który niby ołówek przerysował mu dłoń ciemną linią; a gdy tę bryłę ukarał, odszedł od niej i maszerował przed siebie doliną, daleko, aż do jej krańca, aż za jej kraniec...

Pierwszą zimę przetrzymał i cały rok od pierwszej zimy do drugiej, i kawał drugiej zimy, i nagle przez taki drobiazg, przez ten cienki, sprężynowy drucik, który go trzasnął w dłoń, odchodzi nie wiadomo dokąd.

Może bezwstydnie wróci do swojego rodzinnego domu z jeszcze płaskimi, z jeszcze nie dość rozpuszczonymi zarobkiem kieszeniami i bezwstydnie, jak nierozumne dziecko, które pognewało się na oblodzoną bryłę ziemi, wciśnie się na siłę do małej izby; może zgodzi się na poniżające go myśli — bo słowa może się nie precyzyjnie — matki, ojca, wsi — z czym poszedł, z tym wrócił, z jakimi kieszeniami poszedł, z takimi wrócił.

A może za krańcem budowy nagle znowu wydorosłeje i cofnie się, i zbliży do oblodzonej bryły ziemi z gorącą od uderzenia drutem lewą dłonią, i nawet się ucieszy, że ta bryła jeszcze jest i na niego czeka, i naciśnie w nią całą siłą, i dopcha ją tam, gdzie mu kazano; i wytrzyma, choć chwilowo się załamał; wytrzyma, bo przeżył strach, myśląc, co by się stało, gdyby nie wytrzymał, gdyby się stał przybłądą na odwrót, to znaczy przybłądą, który z miasta, z budowy wrócił za wcześniej do rodzinnej wsi.

Dlatego taki, który niby obrażone dziecko uciekł za obrzeże tej szalonej budowy i tam na powrót wydorosłał i wrócił, jeszcze mocniej przyczepiał się do roboty na budowie i stawał się jeszcze bardziej zajadłym chlebo jadem i zupo jadem, jeśli był z tego bractwa, i z jeszcze większym niż dotąd apetytem zajadał gołe kromki chleba i popijał swoją cienką, słomkową herbatę, te — jak mówił brygadzysta — siki świętej Weroniki; albo stawał się jeszcze bardziej rozkochanym w ciężkiej pracy młodzikiem, jeśli chwilowo zdradził to drugie bractwo szalonej budowy.

Wiera, jak było z ludźmi, i wiem, jak było ze mną; dla mnie zima nie była taka zła, bo pracowałem w jako tako ocieplanych wnętrzach murów, choć niekiedy musiało się wyjść na plac do innych robót, do porządkowania terenu, a nawet i do ziemi, gdy zachodziła potrzeba zakładania, łączenia i montowania rur i innych urządzeń instalacji wodnych i kanalizacyjnych.

Ale dla mnie zima przede wszystkim dlatego nie była taka zła, bo zima jest blada i przejrzysta, nawet las, nawet krzaki są przejrzyste zimą i dlatego zima jest niedobra dla noży tych, którzy chcą się zemścić; i dlatego pragnienia zemsty podobnie jak przyroda i noże są przyduszane i usypiane białością i przejrzystością zimy i drzemią w zimie; pobudzą się wraz z przyrodą dopiero wiosną, gdy zazielenią się i zgęstnieją krzaki.

Trzy główne rzeczy mocno ze sobą zespolone niby trójca nierozzerwalna przychodzą mi na myśl, gdy mówię o tej drugiej wiosnie, która ma nadejść po drugiej zimie mojego na budowie przebywania.

Rzeczą pierwszą jest nóż zemsty Rumianego, który wciąż jest uniesiony nade mną i może upaść na mnie, i wszystko mi odebrać, gdy przyjdzie wiosna.

Dlatego i ja muszę być przy nożu; gdybym wtedy nad Ślepym Rowem nie posłuchał tych alarmów we mnie, mógłbym raz na zawsze wyprostować sobie drogę życia i dziś nie musiałbym być przy nożu, i nie bałbym się wiosny, która przyjdzie po drugiej zimie; ale tak się nie stało i mój nóż musi być w pogotowiu.

Narodziny mojego dziecka i ślub czy może odwrotnie to są te dwie następne rzeczy, których mogę się spodziewać, gdy przyjdzie wiosna.

Ślub powinien być przed urodzeniem naszego dziecka, ale Helena wstydzi się iść do urzędu i do kościoła z wypiętym brzuchem. Co innego na budowie, kilka osób wie, ale to są przyjaciele, przy innych może odstawiać mężatkę, nawet koleżankom z baraku może mówić, że jest po ślubie; ale może da się ją namówić na ślub przed urodzeniem dziecka, a jeśli się nie da, to niech się przewraca porządek i niech najpierw rodzi się dziecko, a potem, gdy brzuch wróci do płaskości, niech będzie ślub.

Postanowiliśmy już, jak będzie z narodzinami, byliśmy u kobiety we wsi, która umie to zrobić i która niczemu się nie dziwi

i nie pyta się, czy rodzi mężatka, czy rodzi panna, czy panienka ledwie puszką porośnięta, na którą trudno popatrzeć bez zdziwienia, gdy wsunie się do małego domu tej kobiety i powie, że ją chwyciły porodowe bóle; ta kobieta o nic się nie pyta, tylko mówi, że to będzie kosztować, a gdy się jej na to odpowie — o pieniądze nie chodzi — zachęca: można przyjść, można przyjść albo przyjechać, gdy złapią bóle; a na końcu dodaje — i nie rozpowiadać, nie rozpowiadać, że byliście i że będziecie u mnie; od razu można było poznać, że jej bardzo zależało na tym, aby jak najmniej ludzi wiedziało, że ona to robi.

Mamy już umówioną tę kobietę, mieszka niedaleko baraku Heleny; gdy się pójdzie ścieżką na wprost, szybko się znajdzie do jej domu.

Gdy myślę i mówię, że już umówiliśmy sobie tę akuszerkę, to zaraz przychodzi mi na myśl nóż Rumianego i ślub, bo o żadnej z tych rzeczy nie można zbyt długo myśleć oddzielnie, bo one stanowią trójcę ściśle ze sobą zespoloną; a gdy myślę o tych trzech rzeczach, to muszę, choćbym nie chciał, pomyśleć o obronie przed zemstą i o ochronie mojej miłości, czyli o moim nożu, a następnie muszę sobie pomarzyć o czymś lepszym niż sprężynowiec i muszę w sobie pokrzyć na zmiętego Maćka, że nie ma dla mnie czegoś lepszego; a może zmięty będzie mógł coś wykombinować?

Rozdział XXIV

Wybrałem się do zmiętego Maćka. Szedłem ścieżkami wygniecionymi w śniegu, mróz był dość duży, bo śnieg skrzypiał mi pod nogami.

Znów, jak zwykle w drodze do Maćka, musiałem przesuwając się samym obrzeżem budowy, która teraz była cichsza niż latem; mniej warkotu i dzwonienia i mniej ruchu; budowa posmutniała i znów było trudno uwierzyć, że będzie tu miasto; ale biało-czerwone mury pierwszej dzielnicy mówiły, że początek został zrobiony.

Przed domem, w którym mieszkał zmięty Maciek, stanąłem o zmroku, gdy w małych oknach pojawiły się już światła; to niezła pora do załatwiania takich spraw, z jaką przyszedłem.

Gwizdnąłem umówionym, śpiewnym gwizdem i czekałem, ale przed dom nikt" nie wyszedł; poczekałem chwilę i znów mocno gwizdnąłem raz i drugi.

Po tych mocnych gwizdach drzwi się otworzyły, ale nie zmięty w nich stanął, tylko stary człowiek, którego tu już widziałem i który mnie poznał. Zdziwił się, gdy spytałem go o Maćka, i powiedział — to nic nie wiesz? — Nie ma już Maćka, on już w ziemi.

Byłem ciekawy i pytałem się starego, co się stało z Maćkiem, ale stary nie umiał mi tego odpowiedzieć; on wiedział, co się stało, ale nie umiał znaleźć odpowiednich słów, próbował, ale nie umiał.

— Swoją ręką się zabił — powiedział stary — ale sto rąk go przebiło, biegał po sadzie z nożem w ręce i wołał, że ta jego ręka oddzieliła się od niego i staje się cudzą ręką; i własna, ale niby cudza ręka przebiła Maćka; raz ta ręka była jego własną ręką, a raz czyjaś, wiele rąk było tą jedną ręką, która wparowała mu nóż w serce. Maciek krzyczał — nie zabijajcie mnie; biegał po-

między drzewami, cofał się, uciekał od swojej ręki, w której trzymał otwarty sprężynowiec, jakby to była nie jego własna, ale cudza ręka, a przecież uciekał od własnej, a od niej nie mógł uciec, bo ona wciąż była z nim i nad nim i goniła go, i dogoniła, ale nie jak własna, a jak cudza; bo nie mógł jej zatrzymać, nie mógł z niej wypuścić noża, jakby miał nie swoją, tylko cudzą rękę, ale jakby trzymał, w niej nie cudzy, a swój nóż, bo wołał — rzuć mój nóż — do tego kogoś, którego tylko on widział; krzyczał — i ty rzuć mój nóż, i ty rzuć!...

Krzyczał do wielu przez niego tylko widzianych, którzy na przemian wypożyczali sobie jego rękę i na przemian kładli w nią noże, bo chcieli go zabić; ale po krzykach Maćka można było się dorozumieć, że on w tych ich nożach rozpoznawał swoje spręży[^] nówce, te, które zostały sprzedane i z naszej stodoły poszły w świat; ale wróciły, wróciły w tym jego najlepszym sprężynowcu, którym się zabił.

Ci, którzy wynajęli sobie jego rękę i stali się nią, nie chcieli go słuchać i on już nie mógł rządzić swoją własną ręką, bo stała się jakby ręką nie jego, i wbiła mu nóż w serce; ale nim się to stało, bronił się, jak tylko umiał, a nie mógł się obronić, bo jego ręka była wtedy bardzo silna, gdyż składała się jakby z wielu rąk tych, którzy chcieli go zabić. A jego nóż składał się jakby z wielu noży, które on sprzedał.

Gdy uciekanie i krzyki — nie zabijaj, rzuć mój nóż, nie pomogły, zatrzymał się i zaczął się wpatrywać w swoją prawą rękę z nożem, którą miał nad sobą, i przemawiał do niej łagodnie, prosił ją, ale tak jakby prosił nie swoją własną dłoń, ale dłoń całkiem obcego człowieka — proszę cię, nie zabijaj mnie, mam żonę i dzieci, daruj mi życie...

Ale widać ten ktoś, kto wypożyczył sobie jego rękę, nie chciał wysłuchać tej prośby, bo Maciek klęknął na oba kolana i jeszcze bardziej zaczął go prosić, go, to znaczy swoją dłoń z nożem, o darowanie życia, płakał i prosił, łzy ciekły mu z oczu, gdy błagał o życie; ale to nic nie dało, bo ręka Maćka wciąż była nastawiona na jego serce i nóż aż się wrywał, żeby w nie trzasnąć.

W sadzie byłem wtedy tylko ja i jego dziecko, co chwila brałem to przestraszone dziecko za rękę i przybliżałem się z nim do Maćka, i tłumaczyłem mu, i mówiłem — co robisz, Maciek, jest

nas tylko trzech w sadzie, nikogo tu więcej nie ma, jesteś tu tylko, ty, jest twój teść i twoje dziecko. On wtedy złościł się i zwracał swoją rękę z nożem na mnie i na swoje dziecko i krzyczał —■ uciekajcie, bo was zabiją, idźcie do domu, bo tu ich pełno; jakby w tym sadzie jeszcze ktoś był, jakby się w rum kręciło wielu ludzi z nożami, a przecież oprócz nas nikogo nie było; i my wtedy, widząc nóż Maćka zwrócony na nas i widząc jego wielki strach i wielką złość, musieliśmy się cofnąć i schować za drzewa.

Maciek klęczał, błagał o życie swoją rękę, a według niego tych różnych zabójców, którzy jego ręką napadli go w sadzie; ale oni nie chcieli wysłuchać tych próśb, nie zważali na jego łzy i na jego dzieci i wciąż potrząsali jego dłonią z nożem nad jego sercem.

Później wstał i mając wciąż nad sobą tę swoją rękę i nóż zaczął kręcić się w kółko i skrzeczeć nieludzkim głosem, i wykrzykiwać jakieś niewyraźne słowa; kręcił się w kółko jak bąk i co chwila błyszczały jego białe, wybałuszone oczy, tak strasznie błyskały, jakby naokoło niego stali i do niego się zbliżali straszni ludzie z nastawionymi w jego pierś nożami, i on chciał każdego mieć na oku i dlatego się kręcił; a przecież on kręcił się w kółko w sadzie, w którym oprócz mnie schowanego za jabłonkę i jego dziecka schowanego za drugie drzewo nikogo nie było. Krzyczał, ale niczego z tego krzyku nie można było zrozumieć; i w tym wirowaniu, w tym tańcu na trawie, który z daleka mógł się wydać wesołym tańcem z podniesioną dla fantazji ręką, w tym oberku wbił sobie nóż w serce, sam sobie, a jakby inni'jemu.

Smutno mi było, gdy wracałem do baraku, wiedziałem, że raz na zawsze muszę się pożegnać z myślą, że do wiosny mogę mieć coś lepszego niż sprężynowy nóż. Trzymałem rękę w kieszeni, żeby czuć w niej swój sprężynowiec, przesuwałem po nim palcami i ogrzewałem go i przychodziły takie chwile, gdy zdawało mi się, że trzymam nie nóż, lecz ooś żywego, jakieś ciepłe, miłe zwierzątko, pokryte śliskim, wygładzonym włosem.

Myślałem — ciebie, bracie, mam tylko do obrony, tylko ty będziesz mnie bronił, gdy przyjdzie wiosna, ten czas, w którym zakwitają zemsty.

Ale jednak czekałem na tę wiosnę, dochodziłem do niej jakby do jakiejś granicy, której nie da się ominąć i przed którą nie

można się zatrzymać, bo tu chodzi o czas i musi się wejść w tę wiosnę.

Jeśli uda mi się przekroczyć tę granicę, będę mógł lepiej ułożyć sobie życie, bo przejść tę granicę to znaczy pozbyć się tego cienia, który snuje się za mną, to znaczy odsunąć nóż Rumianego i Helenę zobaczyć matką, i nasze dziecko ujrzeć, i wziąć ślub; a wtedy lato może być dobrym latem i już w-lecie albo w jesieni będzie można przepłynąć rzekę.

W każdym razie, po przejściu tej granicy i wyjściu z tej wiosny, czas będzie mnie prowadził do przepłynięcia rzeki i postawienia nogi na rodzinnym brzegu.

W myślach przeskakiwałem już tę granicę, omijałem już tę wiosnę i krążyłem już swobodnie po lecie i jesieni, i płynąłem już na drugi brzeg dużej rzeki; ale zaczął padać śnieg i zerwał się ostry wiatr, i znów wróciłem do czasu, w którym byłem, to znaczy do zimy i do miejsca, w którym byłem, to znaczy do wygniecionej w śniegu, ale śniegiem wciąż zasypywanej ścieżki na północnym krańcu placów robót.

Padał coraz gęściejszy śnieg i dał silny wiatr; w zawiei znikła budowa, znikła ścieżka, znikło wszystko, pomieszały się kierunki, nawet światła zostały przysłonięte i za tą zasłoną przelatywały tam i na powrót niby spłoszone dzikie ptactwo.

Ta zawieja cofnęła mnie raptownie od ładnie wymyślonych dni lata i jesieni, i dalszych przyszłych dni i niby jaki okrutnik przystawiła rai pod same oczy moje trzy rzeczy nie spełnione — nóż Rumianego nie odsunięty, dziecko jeszcze nie narodzone i ślub nie załatwiony; a gdy nagle urwało się ogrodzenie i pomieszały się światła na budowie i gdy nie mogłem się rozeznać, gdzie jestem, bo to światło, które powinno być na szpicu dźwigu znalazło się w zupełnie innym miejscu, gdy musiałem stanąć w środku tych wirujących, ciężkich od wiatru kropel niby w worku z ziarnem, zwała mi się na głowę przyczyna tego mojego marszu przez zawieję i mojego pobłądzenia; i gdybym mógł wydobyć z siebie tego drugiego człowieka, który był we mnie i nienawidził mnie, brzydził się mną i śmiał się ze mnie, tobym mu kazał stanąć na wprost mojej twarzy i plunąć mi w samą twarz i same oczy, tobym temu człowiekowi, wydobytemu ze mnie, kazał prac

mnie po pysku, prać na odlew to z jednej, to z drugiej strony i mówić — należy ci się mordobicie, głupku, za to, żeś wypuścił z rąk swoje życie niby młodego ptaszka, żeś go nie przytrzymał i że zawędrowało ono niby głupie ciele pod nóż Rumianego; i jeszcze temu drugiemu człowiekowi ze mnie powstałemu kazałbym mówić — biję cię w pysk za to, że już po pierwszej zabawie niby nocne zwierzątko pobiegłeś ze swoją samiczką w pola i wsunąłeś się z nią do rowu, i tam na gołej ziemi dla siebie i dla swojej samiczki niby zwierzątko wysłałeś gniazdko, i niby bezmyślne zwierzątko zacząłeś się tam parzyć ze swoją samiczką, nie zważając na to, że jesteś na szalonej budowie, że nie masz nic, że w baraku, w którym mieszkasz, szczury przegryzły ścianę i że w tym baraku ciepła woda jest raz na tydzień; do czego, głupku, doszedłeś, gdzie dziś jesteś... Przyszła zima, przyszła zimowa noc ze śniegiem i wiatrem i ty stoisz na tej zawiei, i nie wiesz, dokąd iść, boś pogubił drogę.

Dlaczego stoisz na tej zawiei i szukasz światła, które by ci pomogło znaleźć drogę, i tego światła znaleźć nie możesz, bo zdaje ci się, że tę lampę z dźwigu zawieja przeniosła w inne miejsce...

Dlatego znalazłeś się w środku tej zawiei, bo wybrałeś się do zmiętego Maćka po coś lepszego niż sprężynowy nóż; pomyśl tylko, do czego doszedłeś... wracasz od handlarza nożami na ludzi i martwisz się, że on się zabił i nie mogłeś go poprosić o lepszą rzecz niż sprężynowiec; wracasz od handlarza nożami i boisz się noża...

Ale przecież ten drugi człowiek ze mnie powstały nie mógł zbyt długo zajmować się mną, musiałem go na powrót schować głęboko w siebie, bo musiałem brnąć do tej wiosny, a najpierw brnąć śniegiem i szukać drogi do baraku; musiałem znów zająć się światłami, bo było już późno, starałem się połapać oczami to spłoszone ptactwo światel i poustawiać je na swoich miejscach; ale gdy zacząłem je chwytać jedno za drugim, gdy je po kolei przyprowadzałem do porządku, płoszyły się nagle i rozlatywały po tym ogromnym worku białego ziarna, jakim była ta noc.

Pomyślałem, że nie trzeba zważać na światła mniejsze i niższe, tylko iść w stronę tych najwyższych, bo to są na pewno światła dźwigów, które siedzą na placach robót pierwszej dzielnicy miasta.

iść, bo mnie ten śnieg przysypie.

Natrafiłem na wrak dużego sypiacza, wdrapałem się do budki bez okien, wypełnionej do połowy śniegiem; ale przecież nie mogłem siedzieć w tej budce, musiałem iść dalej w kierunku tych wysokich świateł; wreszcie dotknąłem śliskiej, kanciastej i zimnej nogi dźwigu, na jego szczycie w śniegu drżało czerwone światło, niżej były światła białe.

Rozejrzałem się i zorientowałem, że stoję przy dźwigu Młodziutkiego, ustawionym na północnej ścianie pierwszej dzielnicy.

Młodziutki też ma swojego drugiego człowieka, który bije go po pysku, ale z Młodziutkim co innego, on nie ma nad sobą noża, on ma tylko tę trudną, dodatkową robotę po robocie na dźwigu, robotę w zdejmowanie i nakładanie medalika.

W Rumianym nie siedzi chyba drugi człowiek, bo gdyby siedział, toby mu może wybił z głowy tę zemstę; a może siedzi i wybija mu z myśli to pragnienie zemsty; gdyby tak pójść do niego i powiedzieć mu — odrzućmy noże i podajmy sobie ręce; ale co będzie, gdy pójde z tym do niego i on powie mi — trzęsą ci się portki, boisz się, tchórze. Nie pójde z tym do niego, bo się boję, że mi tak może powiedzieć, boję się jego noża, ale jeszcze bardziej boję się takich jego słów.

Korbasowi zazdrozczę, choć nie jest już młody i ma reumatyzm, zazdrozczę mu, bo gdy go słucham i patrzę na niego, widzę, że nic się w nim nie szarpie, nic się w nim nie buntuje w tajemnicy przed światem, nic go nie rozdziera, Korbas jest jednolity jak skała i mocny, choć nie ma młodości i pełnego zdrowia, Korbas jest szczęśliwy.

Stałem chwilę oparty o zimną nogę dźwigu, a potem poszedłem w kierunku ogniska, które ktoś niedaleko zapalił; przekonałem się, że ognisko zapalili robotnicy, którzy betonowali strop płaskiego, długiego domu na północnym brzegu pierwszej dzielnicy. Mówili, że wiatr, który dmie przez nie zaszklone okna i robi przeciąg, pozmiatał im słomiane maty, którymi ogrzewali beton, i muszą te maty z powrotem rozesłać na betonie i przygnieść je ceglami; a może nawet, gdy zajdzie potrzeba, postarać się o żelazny piecyk i ustawić go w środku murów, i pozasłaniać okienne.

dziury starą blachą albo deskami, gdyby ta cholerna ziadymka miała potrwać dłużej).

Jeden stary, który był z nimi, a który przez pewien czas pracował w naszej brygadzie przy ziemi, poznał, mnie i spytał się — skąd się tu wzięłeś, idziesz do roboty? A mógł się tak zapytać, bo on wiedział, gdzie ja pracuję, i gdyby tak wypadło i musiałbym iść na nocną zmianę, to na pewno przechodziłbym .obok tego miejsca, gdzie oni byli; ale ja mu odpowiedziałem, że nie idę do roboty, tylko tędy przechodzę. On wtedy — to czemu się włóczysz po nocy, gdy nie musisz, czemu nie śpisz, taka zadymka, a ty tu zamiast spać?

Drugi z tych, którym zawieja pozdzierała maty ze świeżego betonu i narobiła kłopotu, na te słowa starego — widać musi iść w zadymkę, kiedy idzie. A stary znów — gdy nie musi iść do roboty, to nie musi, gdyby na niego czekała robota, toby musiał, ale robota na niego nie czeka, to nie musi.

Któryś z nich znów na słowa starego — jest pewnie coś, że musi tędy przechodzić.

Stary jednak nie dał się przekonać, ale już się na to nie odezwał, tylko wzruszył ramionami na znak, że on wie swoje i że gdy robota nie czeka, nie musi człowiek łązić po zawiei. Po chwili ziewnął przeciągle i mówił cicho niby to do robotników, niby to do siebie — tak bym się zdrzemnął, ale tu nie ma gdzie, a tak mi się chce spać, tak bym się zdrzemnął choć chwilkę, choć ehwilkę, ale gdzie się tu zdrzemnę... Może gdy zabijemy okna i ustawimy piecyk w środku domu, będzie można się zdrzemnąć, przy piecyku będzie można, przy piecyku da się...

A gdy on to wymruczał, ruszyłem szybko w dalszą drogę, bo już dobrze wiedziałem, jak mam iść do swojego baraku. Zawieja nie ustawała i pomyślałem sobie, że ci, których napotkałem przy pilnowaniu betonu, muszą jednak zakryć okna, 'bo cegły nie pomogą i wiatr zedrze im maty; i muszą chyba także „wytrzasnąć" żelazny piecyk i ustawić go w bezpiecznym miejscu, żeby się .maty nie zapaliły, i choć trochę ogrzać im dom; a potem pomyślałem sobie, że gdy stanie piecyk, to stary będzie się młął gdzie zdrzemnąć.

A potem zawieja bijąca śniegiem i tworząca wysokie zaspę przypominała mi; że jestem w środku zimy i że dużo śniegu na

sypało, i że gdy na tej dolinie zimą jest dużo śniegu, to wiosną musi być dużo błota, bo ja wiem, jaka tu jest ziemia; że jest ciężkawa, rędzinna, dobra pod pszenicę i warzywa i że szkoda takiej ziemi.

Bo można pomyśleć przy dobrym humorze, kiedy na człowieka spadnie nagle dobre marzenie, że wspaniałe będzie to miasto, które budujemy, ale zaraz musi się pomyśleć, że szkoda takiej ziemi i szkoda takiej pszenicy.

Miasto będzie duże, całą dolinę pokryje, wysokie domy z balkonami tu staną, ale szkoda pszenicy, która się tu udaje, tak się udaje, że przed ^niwami pole, na którym ona rośnie, wygląda tak jakby było zbudowane, przyciosane do kantu, pod miarę, z czystego złota; jakby ta pszenica nie była zwyczajną pszenicą, która rośnie, lecz budową, gdzieś w jakimś przeogromnym warsztacie przez znających dobrze swój fach cieśli, przez takich jak Korbas cieśli wyciosaną pod metr, pod winkiel, pod wasserwagę i dla zadziwienia ludzi z tego warsztaciska przydźwiganą i położoną na ziemi; albo jakby się nagle coś stało i obaliła się na ziemię jedna bezokienna ściana przeogromnego domu, zbudowanego ze złota; albo jakby położono fundamentową płytę ze złota pod przeogromny dom. Tak wyglądała tu pszenica przed żniwami. I gdyby się znów dobrać od środka do tych przybłędów ze wsi, którzy na tę dolinę przynieśli swoje płaskie kieszenie, to płótno przy płótnie, te sprasowane worki na pieniądze z lewego i prawego boku portek, to musiałoby się i to powiedzieć, że oni kopali tu rowy i lali w nie beton, bili fundamenty, stawiali mury, darli ziemię łopatami, koparkami i spychaczami, zajeżdżali ją ciężkimi samochodami, że oni budowali tu miasto, ale równocześnie żałując tej rędzinnej ziemi obrabiali ją w sobie, po chłopsku, orali, siali i kosili pszenicę, brodzili po tej pszenicy z kosą jak po złotym jeziorze, bo im było żal zboża.

I na pewno jeszcze dziś, gdy to miasto już jest, poniekąd przybłęda ze wsi potrafi je myślać zdjąć z tej równiny i rzucić na nią wyciosany w sobie ogromny łąn pszenicy.

Ale ta bijąca we mnie z całych sił, hucząca, grająca na świeżych, dziurawych jeszcze murach, niby na przeogromnych instrumentach, i jęcząca przeciągle na drutach elektrycznych, przedzierająca

się z traskiem po sterczącym na ziemi żelastwie śnieżna i mroźna zawieja musiała odciągnąć moją myśl od czasu wyobrażonych żniw na tej dolinie, od takiego lipca i sierpnia, którego już tu nigdy nie będzie, i z powrotem przyciągnąć do zimy i śniegu, przez który brnąłem; a śnieg znów poprowadził ją do wiosny, do wyobrażonej wiosny, pełnej błota.

Rozdział XXV

Ale źle wywróżyłem z tej zawiei i z tych dużych śniegów ostrej zimy, bo gdy ta moja graniczna wiosna przysła, a przysła wcześniej, okazało się, że jest ciepła i sucha; i okazało się, że nie po błocie brnąłem z Heleną, prowadząc ją do małego domu tej tajnej akuszerki, a szedłem z nią suchą ścieżką; i okazało się także, że świt, który wtedy nas zastał w tym trudnym marszu, zapowiadał pogodny, ciepły dzień.

Zaczynało się dopiero rozwidniać, gdy przed drzwiami mojego mieszkania narobiła alarmu portierka z żeńskiego baraku i jeszcze zanim otworzyłem jej drzwi, powiedziała mi, żebym zaraz biegł do Heleny i dodała na końcu — wiesz, po co, wiesz, po co... ty wiesz, po co... Ona była naszą dobrą znajomą, porządną kobietą i choć pod tymi drzwiami narobiła alarmu, bo musiała alarmować, to jednak nie wydzierała się — chodź szybko, będzie poród, bo już ją chwyciły bóle — ale tylko — chodź szybko, ty wiesz, po co... Głośno, ogromnie głośno, na cały barak, ale tylko tak...

Ta ścieżka, którą szliśmy do tej tajnej akuszerki, była sucha, ale dla nas za wąska, bo musieliśmy iść przy sobie, aby Helena mogła wspierać się na moim ramieniu, bo choć minął duży ból i mogła iść, to jednak była tym bólem osłabiona i musiałem ją podtrzymywać, tym bardziej że co jakiś czas mniejsze bóle nawracały i ona wtedy musiała przystanąć, pochylić się, chwycić się za brzuch i przez chwilę pojęczeć cicho.

W czasie tych chwilowych postojów byłem jej najbardziej potrzebny, bo musiałem ją wtedy ojjąć i mocno podtrzymać, a także otrzeć z potu jej twarz i powiedzieć — już niedaleko, już niedaleko...

Ale choć były te postoje, udało się nam dojść do tajnej akuszerki; zapukałem w szybę i zaraz dwie kobiety, ta akuszerka i druga, młodsza od niej, ubrane tylko w koszule, zjawiły się

w drzwiach; akuszerka poznała nas i powiedziała do mnie — daj ją, a ty zostań w sadzie, my sobie poradzimy — i- zaraz chwyciły Helenę pod ręce i poprowadziły do izby, a ja cofnąłem się w sad i usiadłem na starej, ściętej jabłonce; ale zaraz się podniosłem z tego obalonego drzewa, bo nie mogłem usiedzieć, podszedłem do drewnianego, czarnego ze starości płotu i patrzyłem, co jest za nim.

Za nim były dwa wąskie pasma pól, rozdzielone szeroką, polną drogą; z prawej strony prawego pasma, za miedzą, zaczynał się teren budowy, na razie nie ogrodzony, wyznaczony tylko palikami i nie tknięty jeszcze łopata ani maszyną; to było zeszłoroczne ściernisko pszeniczne, stare, przyczerniałe, ale jeszcze dające się poznać, że jest ścierniskiem pszenicznym, a nie żytnim, jęczmiennym czy owsianym.

Stał na nim drewniany pług — kółka, oparty na nich grądział, jedna ćapiga na ziemi, druga nad nią w powietrzu, blacha i lemiesz odwrócone od ziemi, pług ułożony na boku, tak jak się go kładzie, gdy się jeszcze nie zaczęło orki, gdy się dopiero wjechało nim na pole i zaczęło się go przesuwać do tego miejsca, do tego rogu pola, z którego ma się rozpocząć odorywanie od miedzy.

Można było poznać, że ten pług nie był nowy i na dodatek przeleżał tu długo, chyba całą zimę, bo piasty w kółkach były poluźnione, na łuku piast i między piastami a rafkami widziało się szpary, wszystkie drewniane części tego pługa — piasty, grądział, ćapigi, były przyczerniałe i spękane, a wszystkie części żelazne — rafki, grzebień na grądziału, łańcuch do regulowania głębokości orki i lemiesz, były pokryte rdzą; nikt się nie ulitował nad tym pługiem, nie zaciągnął go do szopy pod dach i pług strupieszał na deszczach i śniegach.

Można się było dorozumieć, że jego właściciel musiał oddać pole pod miasto albo fabrykę i wybrał przesiedlenie albo robotę na budowie, i rzucił stary pług.

Może wtedy, gdy pełen wiary, że budowa nie sięgnie jego ziemi, wyjechał z tym pługiem w pole na jesienną podorywkę, może właśnie wtedy, gdy już przepręgął konie od wozu do pługa i przesuwał pług po ściernisku do' tego miejsca, gdzie miał być wbity lemiesz, ktoś przybiegł do niego z wiadomością, że budowa obejmie jednak jego rolę i on wtedy na powrót przyprzągnął konie

do wozu i wrócił do domu bez pługa; bo tak myślał o tym, że budowa dojdzie do jego pól i zabierze je, że zapomniał o pługu albo może od razu wybrał robotę na budowie i pług nie był mu już potrzebny, albo wybrał przesiedlenie na inną ziemię i jadąc tam, i mając wiele do przewiezienia, nie chciał wlec z sobą starego pługa i ten pług został na polu, i strupieszal, i teraz już nikt go nie weźmie.

Wróciłem szybko do starej, obalonej jabłonki i znów usiadłem na jej pniu i patrzyłem na drzwi, przez które wprowadziłem Helenę do środka tego małego domu.

Po jakimś czasie w drzwiach pojawiła się ta akuszerka, a ja podniosłem się z jabłonki i stanąłem na baczność, ale ona nie powiedziała mi . — zostałeś ojcem, jest syn; albo — zostałeś ojcem, jest córka — tak jak myślałem, gdy klamka dużych drzwi się poruszyła z góry na dół i drzwi się uchyliły, i pojawiła się w nich kobieta; bo akuszerka kiwnęła na innie, i gdy do niej. podbiegłem wyszeptała — to jeszcze potrwa, czekaj spokojnie w sadzie; i znów się za nią zamknęły drzwi, klamka poszła z dołu do góry, a ja znów usiadłem na jabłonce i patrzyłem w dół, na ziemię przy tym powalonym drzewie i na małe czarne robaki; które na krótko wybiegały spod drzewa i pod drzewo wracały; a później oglądałem każde drzewo z osobna, ale to nie miało znaczenia; bo ważne było tylko to, co działo się w małej izbie, w której była Helena.

A później cicho zapiszczała furka i wszedł do sadu młody, drobny chłopak z dziewczyną; on miał na sobie brązową kurtkę i czapkę cyklistówkę, ona była w długim, popielatym płaszczu, a na głowie miała jedwabną, związaną pod brodą chustkę.

Gdy mnie zobaczyli, rozdzielili się, ona podeszła do płotu i stanęła przy sztachetach, a on zaczął wolno i nieśmiało podchodzić do mnie. Był bystry, bo pojął, że jeśli ja siedzę na tej powalonej jabłonce, to być może przyszedłem tu ze swoją dziewczyną i on nie powinien podchodzić do drzwi domu i pukać, a zbliżyć się do mnie i zapytać się, czy akuszerka jest wolna.

Zbliżał się do mnie, ale z wielką nieśmiałością, z przyhamowanymi wywianiami, z przystankami, z odwracaniem głowy to w lewo, to w prawo, jakby mu nie chodziło o zapytanie — czy akuszerka jest wolna — a o obejrzenie sadu; ale takie właśnie zachowanie

zdradzało go i mówiło, że przyszedł z dziewczyną, której zmajstrował dziecko.

W końcu się odważył i podszedł do mnie; dlaczego miałby nie nabrać odwagi, skoro podszedł do takiego, który — jak mógł miarkować po moim oczekiwaniu w tym sadzie — także zmajstrował dziewczynie dziecko. ,

Gdy zbliżył się do mnie, pokazał palcem na dom i zapytał się — jest tam teraz twoja dziewczyna? A ja mu na to — jest; po tej mojej krótkiej odpowiedzi wrócił do swojej dziewczyny, objął ją przez plecy i pomaszerował z nią brzegiem sadu do tego miejsca, gdzie płot od drogi przechodził w płot od pola i tam z nią stanął.

Patrzyłem na nich, ale zaraz musiałem popatrzeć na dom, bo zza okna doszło mnie coś takiego, jak miauczenie kota; ale od razu dorozumiałem się, że to nie jest żadne miauczenie kota ani skrzeczenie ptaka, ani jęczenie otwieranej gdzieś furtki czy podnoszonego żurawia u studni, ale jęk Heleny.

Znów podniosłem się z pnia jabłonki i podszedłem do ściany domu, a potem zbliżyłem się do okna. Było ono zakryte gęstymi firankami, firanki jednak nie zostały całkiem do siebie dosunięte i między nimi utworzyła się szpara; przez tę szparę zajrzałem do środka izby i zobaczyłem wiszącą na ścianie, zapaloną lampę naftową, pod tą lampą stało łóżko, na brzegu łóżka siedziała starsza kobieta, ta akuszerka, a zza jej boku wylaniały się duże, białe kolana Heleny; krzesło z oparciem i przewieszane na nim białe szmaty zasłaniały mi resztę łóżka i dlatego przez tę szparę między firankami nie mogłem na tym łóżku nic więcej dojrzeć tylko tę akuszerkę i nagie, rozwarłe kolana mojej dziewczyny.

Ale zaraz odskoczyłem od tego okna, bo akuszerka podniosła się z łóżka i skierowała do drzwi; po chwili klamka znów poszła z góry na dół i drzwi się otworzyły.

Kobieta radziła mi, że będzie lepiej, gdy sobie stąd pójdę, bo zanosi się na długie czekanie, a ja jej na to — przecież był jęk — bo byłem mocno niezadowolony, że rodzenie się przedłuża; a ona — to co, że jęczała, pojęczy jeszcze, pojęczy i wszystko będzie dobrze, pierwszy raz rodzi, to musi potrwać; i powiedziała jeszcze, żebym przyszedł wieczorem, to się dowiem, co się urodziło, bo do tego czasu na pewno będzie już po wszystkim; i dodała jeszcze, że wieczorem pomyślimy także o tym, jak długo

u niej Helena powinna zostać i kiedy będę mógł ją i dziecko zabrać.

Pomyślałem sobie, że dziewczyna jest w dobrych rękach, że są przy niej dwie kobiety i moje wałęsanie się po sadzie nic jej nie pomoże i że głupie jest to podchodzenie do okna i zaglądanie do środka izby; głupie to, a także denerwujące, bo przecież nie można patrzeć spokojnie na nogi, na kolana swojej rodzącej dziewczyny, które drżą z bólu i raz się z tego bólu zwierają, a raz rozwierają; a poza tym takie zaglądanie mogłoby też zdenerwować przeprowadzające poród kobiety i one mogłyby utracić tak bardzo potrzebny w takich wypadkach spokój, gdyby zobaczyły moją twarz w szparze między firankami, które nie dały się szczelnie dosunąć.

Pomyślałem sobie, że lepiej będzie, gdy skorzystam z rady akuszerki i pójdę do roboty i zaraz po pracy tu przyjdę; a wiedziałem także, że i o to tu chodziło, aby moje wałęsanie się po sadzie nie podpadło komuś i ten ktoś nie narobił akuszerce kłopotu, której przecież zależało, aby o jej zajęciu nie wiedziało za dużo ludzi, aby wiedzieli tylko ci chłopcy, których przyciśnie i muszą w tajemnicy przed rodziną przyjść tu ze swoimi dziewczynami po to, żeby one urodziły lub częściej po to, żeby się pozbyły jeszcze nie narodzonego i żeby znów miały wolną rękę i mogły uchodzić za panienki godne kawalerów.

Wyszedłem więc z sadu i skierowałem się w stronę pierwszej dzielnicy miasta, która czerwieniała przede mną, w dali i była widoczna jak na dłoni; bo zesza już z niej wczesnoranna mgła.

Gdy znalazłem się na tej drodze rozdzielającej dwa długie i wąskie pasma pól i gdy popatrzyłem w prawo, znów ujrzałem to przyczerniałe pszeniczne ściernisko i ten pług, który nie zdążył już na podorywkę, a także ujrzałem kilku robotników uwijających się po placu przylegającym do ścierniska.

Gdy się im dokładnie przyjrzałem, zauważyłem, że oni, przygotowując teren pod łopatę lub koparkę, uprzątają z tego placu i kładą na jeden stos to wszystko, co zostało na nim po rozwaleniu domu i gospodarskich zabudowań; a było tam najwięcej starych, omszałych „wykrętków” ze strzechy, były kawałki płotu i trochę spróchniałego drewna, gdyż grube i jeszcze zdrowe drewno zostało wcześniej zabrane przez tego, który się przesiedlił albo

sprzedane na opał lub na poprawę budynków tym ludziom, którym się udało i budowa nie doszła do ich pól, sadów ■ i domów.

Robotnicy szybko usuwali te rupiecie z placu i szybko rósł stos na granicy ścierniska i podwórza, które już nie było podwórzem, a chyba śladem podwórza; a i tym śladem z każdą minutą być przestawało, bo raz po raz na stos leciała czarna słoma ze strzechy, sztachety i poprzecinane na kawałki żerdzie i słupki starego płotu, spróchniałe drewno i inne drobiazgi, kołyska z jednym tylko biegunem, ale za to z całym, małym siennikiem, pokrytym zatokami brudu, załajnione koryto świń, kobiałka, zagłówek łóżka z wytoczonymi na kancie gałkami, putnią, żarnówka, trzon-ubijak ośl stępy, grabie, szmaciana piłka wiejskich dzieci i różne różności...

Gdy te wszystkie drobne rzeczy zostały usunięte z podwórza i to podwórze przestało być swoim własnym śladem, dwaj robotnicy podeszli do pługa i jeden z nich, żartowniś, zawołał wesoło do swojego kolegi — pociągnij, a ja spróbuję orki, no bierz za orczyk, ty będziesz koniem, a ja chłopem.

No d rzeczywiście tak zrobili, bo chcieli się pobawić, a także chcieli rozweselić innych robotników; robotnik, który grał rolę konia, niby to przyprzegając się do pługa, chwycił za orczyki, pochylił się i postąpił parę kroków, a ten, który odstawiał chłopą trzymając pług za capigi, przeorał kilka metrów i położył na tym pszenicznym ściernisku cienką — żeby ten niby-koó uciągnął — skibę.

Ale musieli przerwać tę zabawę, bo ten, który kierował porządkowaniem terenu, krzyknął z daleka — skończcie z tą zabawą i weźcie się do roboty, bo wnet musi tędy polecieć rów; wtedy ci dwaj, którzy baraszkowali z pługiem i bawili się w orkę na tym pszenicznym ściernisku, rozdzielili pług na dwie części, zsuwając po grądzielu i zdejmując z niego największe oko grubego łańcucha, przymocowanego do osi między kółkami; a potem jeden z nich wziął kółka i poszedł przodem, a drugi założył sobie na bark grądziel z capigami, blachą i lemieszem i szybko podążał za tym pierwszym w kierunku stosu rupieci.

Ale jednak nie opuściła ich chętką do strojenia żartów, szczególnie tego wesołego, który na poczekaniu wymyślił tę zabawę w orkę; bo gdy te dwie części pługa kładli na stosie, tak je ustawili, że znów stworzyli z nich całość i po chwili cały normalny pług stanął na szczycie tego stosu.

Ale ponieważ na tym wysokim stosie było mało miejsca, kółka musiały być zbliżone do lemiesza, który osunął się niżej i tym sposobem grądziel pługa wysunął się samotnie w górę i był niby lufa armatnia, wycelowana w niebo, do wystrzału na wiwat albo niby ogromny pokazujący niebo, odwrócony od ziemi, oderwany od jakiejś ogromnej ręki, Samotny paluch.

Gdy pług został wywindowany i ustawiony na szczycie, stos był już całkiem gotowy, bo przecież nie liczyło się to dorzucanie do niego różnych drobiazgów, kilku nóg od stołu, szmacianej piłki dzieci, przegniłego powroza, zagnojonych butów bez< podeszwy...

Wtedy jeden z robotników wyjął zapalniczkę z kieszeni i podniósł rękę do góry, żeby zbadać, skąd wieje wiatr, ale długo nie mógł się zorientować, bo wiatru prawie nie było; a potem przykucnął w odpowiednim miejscu przy stosie, zrobił głębokie gniazdko w słomie i wsunął w nie rękę z zapalniczką, którą tam zapalił; później przysunął twarz do słomy i dmuchnął parę razy.

Najpierw ze słomy, którą był wysłany spód stosu, wysmyknął się dym, a potem z trzaskiem wyskoczył ogień; ale gdy natrafił na zwilgotniałe, zatechłe wykrętki, których na stosie było wiele, znów przemienił się w dym, w gęsty, ciemny dym, który wnet objął sobą cały stos, uniósł się aż do pługa i objął sobą pług, a nawet ten sterczący ku górze grądziel, tę „lufę armatnią”, ten „paluch”; ale mały wiatr co chwila zginał i zwiewał ze szczytu ten dym ir dlatego przez pewien czas stos tak się palił, że ten ogromny paluch zniknął na chwilę w dymie

i zaraz z tego dymu wychodził i pokazywał się na szczycie, i sterczał samotnie, i celował w niebo.

Ruszyłem przed siebie, bo przecież nie mogłem stać tam długo, musiałem iść do pracy, czekała mnie rozmowa z majstrem i wytłumaczenie mojego spóźnienia, a po zmianie odrobienie opuszczonych godzin.

Szedłem, ale co pewien czas się oglądałem, widziałem górę dymu, i co chwila wyłaniający się z niej pług, stojący na szczycie stosu; a później widziałem tę górę dymu poprzedzianą płomieniami i pług stojący jeszcze na stosie, i nawet lepiej odsłonięty;

a później widziałem same płomienie i wśród nich pług jeszcze wyprężony, jeszcze strzelający do nieba, jeszcze w to niebo kłujący; a później widziałem, jak ten paluch pochylił się w dół i zniknął w płomieniach.

A gdy tak z daleka patrzyłem, to mi się wydawało, że nie pali się starzyzna, nie palą się rupiecie, ale pali się pomnik.

Rozdział XXVI

Najpierw drzewa przysłoniły mi widok tego ognia, a później został on zupełnie zasłonięty murami; i teraz już mury prowadziły mnie na miejsce mojej pracy; mury z początku niewysokie, ciągnące się jedną linią i przez to dające domysł długiej ulicy przyszłego miasta; a później mury rozrzucone na większej prze-, strzeni, zgromadzone jakby na dużym kole ziemi i przez to dające przeczucie całej miejskiej dzielnicy.

I tak idąc, najpierw obok murów, a później między murami, wymijając dźwigi i betoniarki, przeskakując i przechodząc po deskach rowy, doszedłem do mojego domu, to znaczy do muru tego budynku, który stawialiśmy na północnym krańcu budowy, muru rozslawionego najpierw skokiem smągłej brunetki, a później pobiciem rekordu.

Brygadziście i majstrowi powiedziałem, że się spóźniłem do roboty, bo miałem, przeszkody, które nie pozwoliły mi przyjść na czas. Oni chcieli znać te przeszkody i byli niezadowoleni, i jakby obrażeni, że się płaczę w tym usprawiedliwieniu spóźnienia i wymiguję od wyjawienia prawdy; ale przecież ja nie mogłem im jej wyjawić i powiedzieć, jak się dla mnie naprawdę zaczął ten dzień; że zaprowadziłem na rodzenie moją dziewczynę ciężarną i że ona leży teraz w domu akuszerki i pojękuje z bólu, i z bólu rozwiera i stula kolana.

W końcu majster, a za nim brygadzista przestali nalegać, bo chyba uznali, że to jest coś bardzo mojego i trzeba to tylko dla mnie zostawić, i nawet powiedzieli łagodnie -r- no dobrze, dobrze, bierz się za robotę; a już odchodząc majster dodał — ale te dwie gpdziny spóźnienia musisz jeszcze dziś na drugiej zmianie odrobić; a brygadzista dorzucił — tak, tak, musisz na dwie godziny zostać.

Wziąłem sde za robotę ostro, żeby im pokazać, jak mocno prze

żywam to spóźnienie i że wynikało ono nie z bimbania z pracy, ale naprawdę z ważnych powodów.

Ale choć byłem w środku odgłosów roboty, w środku chrobotów betoniarek i mlaskań murarskiej zaprawy, pomrukiwań windy, dzwoneń żelaza zderzonego z żelazem, wołań i krzyków ludzi, to jednak te wszystkie mocne głosy przemieniły mi się w ten cienki głos bólu, w to jakby kocie pomiaukiwanie, w jęk mojej bolejącej dziewczyny.

Na budowie byłem, na wysokim murze, przy robocie, ale w myśli stałem przy oknie domu tajnej akuszerki i patrzyłem na to łóżko, z którego sterczały białe, duże, otwierające się i zamykające kolana.

Wlokły się tego dnia, wlokły wolno godziny, ale się wreszcie dowlokły do czasu, kiedy zesza z muru pierwsza, a na mur weszła druga zmiana; a później wlokły się wolno te dwie pierwsze godziny drugiej zmiany, gdy odrabiałem moje spóźnienie; ale się wreszcie dowlokły do czasu, w którym powinienem zejść z muru i pobiec czym prędzej do domu akuszerki.

Ale gdy zszedłem z muru i stanąłem na ziemi, a właściwie na rozsypanym przy murze piachu, doleciały mnie jakieś trzaski, a potem krzyki ludzi; coś się stało, ale z początku nie wiadomo było co; aż ktoś przyleciał z wiadomością, że z drugiej strony budynku, który stawialiśmy, wpakowały się do dołu wybranego pod fundament dwie wywrotki, że na szczęście kierowcy wyszli z tego cało, ale maszyny leżą w rowie na pogiętych drutach zbrojenia — jedna motorem do dołu, a druga na boku; że stało się to dlatego, bo najpierw pod tylnymi kołami jednej wywrotki, stojącymi na brzegu wykopu, obsunęła się ziemia i ta wywrotka staczając się w dół obróciła się na bok, trzasnęła w drugą stojącą blisko niej i w ten sposób obie wpadły do rowu, a płynny beton, którym były wypełnione, rozlał się po nich i po brzegu wykopu.

Powstał wielki ruch[^] przybiegł inżynier, majster i kilku brygadzystów, którzy nie patrząc na to, czy kto robotę skończył czy zaczął, przerzucili kilkunastu ludzi, w tym i mnie na miejsce awarii, bo chodziło o jak najszybsze otwarcie — jak się wtedy mówiło — frontu pracy, gdyż w przeciwnym razie mógłby się urwać betoniarzom ciąg roboty i mogłaby nastąpić długa przerwa, a to z kolei sprawiłoby, że beton fundamentu nie byłby dolewany

równomiernie i potem nie stężałby równomiernie, w całości, a w warstwach, co odbiłoby się źle na sile fundamentu,

W takim wypadku nie było „przepróż”, musiało się iść i ratować ciąg pracy, który dla betoniarzy ma dużo większe znaczenie niż dla murarzy.

Nie mogłem przecież wymknąć się cichaczem i pobiec do Heleny, bo co by powiedział majster... On powiedziałby — nie dość, że się spóźniłeś, to jeszcze wtuliłeś łeb w kołnierz i czmychnąłeś, gdy wydarzyła się awaria i byli potrzebni ludzie; a ja znów nie chciałem mówić — muszę iść, bo moja dziewczyna rodzi; ale gdybym nawet tak powiedział, to majster mógłby mi na to odpalić — no to co, że rodzi, ty jej przecież nie pomożesz przy rodzeniu, a przy wydobyciu wywrotek możesz pomóc.

Pierwszą rzeczą było wydarcie wywrotek z dołu; najpierw próbowano to zrobić za pomocą obciążonego cegłami dużego samochodu, który akurat nadjechał; złączono stalową liną tył wywrotki leżącej w rowie z tyłem samochodu wypełnionego cegłami, a także podłożono pod tylne koła wywrotki szerokie, krótkie deski, aby koła nie wparły się w ścianę wykopu, lecz wyjechały na brzeg.

Kilku robotników ustawiło się z drewnianymi drągami, żeby naciskając nimi w odpowiednie miejsca regulować ruchy wydzieranej z dołu wywrotki; a reszta przyczaiła się, żeby w odpowiednim momencie przyprzeć się do żelaznej paki wywrotki, do podwozia lub czegoś innego nadającego się do zahaczenia i pchnięcia, gdy wywrotka poruszy się, przechyli i jej koła przestaną obracać się w powietrzu, a staną na brzegu.

Ale samochód naładowany cegłami nie dał rady wydrzeć wywrotki z dołu; wprawdzie drgnęła i poruszyła się w tym doł i nawet tak przechyliła, że koła dotknęły ściany wykopu, ale na tym koniec, bo koła samochodu, mając do pociągnięcia wielki Ciężar, zabuksowały w rozmokłej ziemi..

Podsypano pod nie żwiru i piachu, wepchano papy i różnych szorstkich drobiazgów i samochód znów spróbował pociągnąć; wtedy koła nie buksowały, ale za to cały samochód zaczął stawać dęba i zachodziła obawa, że się wywróci kęłami do góry; więc majster krzyknął — tu samochód nie poradzi, tu potrzebny spychacz... Brygadzista jednak doradzał, że powinno się jeszcze spró

bować wydrzeć wywrotki tym samochodem i mówił, że cegły, które są na nim, należy przemieścić, aby one bardziej obciążały przód samochodu, wtedy nie będzie on stawał dęba i pociągnie, - bo wszystkie cztery koła mocno oprą się o ziemię; potem zwrócił się do tych, którzy trzymali drągi, i mówił im, że od sprawnego operowania drągami wiele zależy, a głównie to, aby tylne koła wydzieranej wywrotki nie wparły się w ścianę wykopu, ale poszły łukiem w górę i dotknęły ziemi już na brzegu.

Ten, który kierował na tym odcinku robotami betoniarskimi, przyświadczał brygadzie i nalegał, aby jeszcze spróbować samochodu, który jest na miejscu, a nie szukać spychacza, gdy takie poszukiwania mogą znacznie opóźnić usunięcie awarii, a tym samym przeszkodzić w prawidłowym ciągu roboty i z kolei spowodować niewłaściwe tężenie betonu i w końcu zagrozić mocy fundamentu.

Po tym, jak on przyświadczał brygadziście i jak nalegał na ponowne użycie samochodu z cegłami do wydarcia wywrotek, można było poznać, że jest to człowiek bardzo niecierpliwy, bo w to przyświadczanie i naleganie wplątywał słowa — stoimy z robotą, jasna cholera, stoimy z robotą, jasny piorun, stoimy z robotą; a potem wplątywał — Boże, stoimy z robotą, Matko święta, stoimy z robotą; a potem — niech to najjaśniejszy piorun trzaśnie, stoimy z robotą; a potem — Panno Bolesna, stoimy z robotą... "

Podchodził, zbliżał się do tego najstraszniejszego przekleństwa na budowie, był już o krok od niego; doszedł do niego, gdy ponowne użycie samochodu nic nie dało, gdy nic nie dało przemieszczenie cegieł w pace samochodu, a także operowanie drągami przy tylnych kołach leżącej w rowie wywrotki.

Stanął, na grubym obwodzie koła z nie pociętego jeszcze drutu zbrojeniowego i wykrzyknął to przekleństwo, a wszyscy, którzy tam byli, poderwali głowy do góry i wyprostowali się, i milcząc patrzyli na niego, a w tym milczeniu i patrzeniu był szacunek dla jego wściekłości.

Ja także patrzyłem na przekleńnika, który przed chwilą naładowawszy się tymi mniejszymi przekleństwami i zmieszawszy je z pobożnymi, błagalnymi lamentami, wzięwszy od wewnątrz siebie wielki rozmach, tym rozmachem niby wiatrem, który iskrę

przemienia w ogień, przemienił te mniejsze przekleństwa i te pobożne lamenty w to najstraszniejsze przekleństwo.

Mnie także wściekało przedłużanie się tych wszystkich starań, które miały wydobyć wywrotki z dołu i otworzyć front pracy betoniarzom, a nie wydobyły i nie otworzyły.

Ale ja byłem wściekły nie dlatego, że ten szybko związujący się beton, który został już wlany do wykopu, może się zwiazać, zanim pójdą w rów dalsze jego porcje i przez to fundament ogromnego gmachu stężeje nie jednolicie, ale w dwóch jakby warstwach, a więc w niedobry sposób.

Ja byłem wściekły o to, że nie ma mnie w sadzie akuszerki i nie wiem, co się dzieje z Heleną, czy już urodziła, czy jeszcze nie, czy już przestała jęczeć, czy nadal jęczy i nadal z bólu rozwiera i stula kolana; może już jestem ojcem syna albo córki, może już jestem ojcem dziecka mojej pierwszej miłości, której starczyły za łożko goła ziemia i trochę siana, i niebo zamiast sufitu, i rów zamiast mieszkania; może już jestem ojcem dziecka, które, gdy podrośnie — tak sobie wymyślałem i wymarzałem powie na mnie „tatusiu”, nie „tato”, nie „łojciec”, ale „tatusiu”, a na matkę nie „mamo”, nie „matko”, ale „mamusiu”, bo tu tak będą nazywać przyszłych ojców i przyszłe matki przyszłe dzieci, bo ci przyszli ojcowie i przyszłe matki tak się każą nazywać swoim przyszłym dzieciom, z odegrania się za „tato”, za „łojciec”, za „matko”; będzie jeszcze „niech tatuś”, „niech mamusia” z odegrania się za tamto — „wy, łojciec”, „wy, matko”.

A najbardziej ze wszystkich wejdą w te pańskie zdrobnienia chlebojady i zupojady i to ich odegranie się za „wy, matko”, „wy, łojciec”, „wy, babko”, „wy, dziadku” objawi się w wymyślnych, pańskich przecukrzonych zdrobnieniach wypowiedzianych przez ich dzieci, w „mamuńciu”, „tatuńciu”, „babuniu”; „dziadziu”, a także w zdrobniących słodkich powiedzeniach tych chlebojadów i zupojadów, którym uda się dopłynąć do ich przynęty, do kromki chleba z tłustą przykrywką, w nazywaniu dzieci — „syneczkiem”, „córeczką”, „synusiem”, „córunią” i w nadawaniu tym dzieciom pańskich imion — nie Wojtków, Józków, Stachów, Maćków, nie Zosiek, Marysiek, a Jureczków, Bogumiłków, Artur- ków, Jolantek, Mariolek, Wioletck...

Może już jestem ojcem, a muszę, zamiast siedzieć na brzegu

łóżka w izbie akuszerki i przypatrywać się swojemu dziecku, stercząc przy tych odwróconych kołami do góry i przeraźliwie wyglądających pojazdach; i muszę je wraz z innymi robotnikami wydzierać z rowu; a teraz muszę czekać, aż przywlecze się tu ciężki spychacz.

Dwie godziny zeszyły mi na odrabianiu spóźnienia i już drugie dwie, a może więcej na pomaganiu przy wydobywaniu wywrotek.

Wszyscy patrzą tam, skąd ma przyjechać spychacz, a ta ciężka maszyna, w której wszyscy pokładają nadzieję, jeszcze nie nadjeżdża.

Ten, który kieruje biciem fundamentu i który w swej wściekłości doszedł do najstraszniejszego z przekleństw, jakie się słyszy na tej dużej dolinie, stoi na przodzie, a właściwie nie stoi, tylko przebiera nogami w miejscu albo chodzi po malutkim kole ziemi, tak jakby miał nabrzmiały pęcherz; a tu przecież nie o to chodzi, lecz o to, że spychacz się spóźnia i szybko związujący się beton tężeje, a nie powinien jeszcze tężeć, powinien być raz po raz przykrywany nowym płynnym betonem i zwiazywać się równomiernie i jednolicie.

Wreszcie spychacz pojawił się na równinie, sunął wolno i ciężko, a ci, którzy na -niego czekali, aż podskoczyli do przodu, a ten przeklętnik najdalej w kierunku spychacza się wysunął, jakby z zamiarem dobiegnięcia do maszyny, złapania jej za podniesiony nóż i pomożenia motorowi w dopchnięciu jej do leżących w rowie wywrotek.

Wszyscy myśleli, że spychacz to cudotwórca i że on bez trudu poradzi sobie z wywrotkami; a on, jak się później okazało, poradziłby sobie, ale tak, że mógłby wydrzeć podwozie, zedrzeć pakę, wyrwać koła razem z tą ziemią z brzegu; bo on siłę ciągu miał ogromną, ale zabrakło tego, co by równocześnie z ciągnięciem wywrotki podnosiło ją do góry i nie pozwalało jej wciskać się w ścianę wykopu; najlepszy byłby do tego mały dźwig.

Godziny lecą, może już jestem ojcem — nie ojcem, lecz tłu- siem — a Helena mamusią, a tu okazuje się, że nie będę mógł wnet popędzić do domu tajnej akuszerki, bo samym spychaczem nie da się wydrzeć wywrotek i trzeba się starać o jakiś dźwig.

Uradzono, że najlepszy byłby lekki dźwig samochodowy i ktoś polecał, aby taki dźwig skądś sprowadzić.

A ten, który kierował robotami betoniarskimi na tym odcinku, już nie drżał, już nie krążył po malutkim kole ziemi, ale pochylił głowę i opuścił ręce, bo już mu nic nie zostało do zrobienia, bo się już wydenerwował do końca i już wykrzyknął najstraszliwsze przekleństwo i żadne straszniejsze już mu nie zostało w zapasie w chwili, gdy okazało się, że spychacz z wywrotkami sobie nie poradzi i trzeba starać się o lekki samochodowy, dźwig; a poza tym wiedział, że już nie poradzi najlepsza maszyna, aby fundament był pierwszej klasy.

Fundament będzie niezły, wytrzyma lata, ale nie będzie pierwszej klasy; wiedział dobrze, bo był świetnym specjalistą, że beton tego fundamentu ma w sobie wszystko, co potrzeba, że jest w nim tyle cementu, tyle piachu i tyle żwiru, ile ma mieć; dobry beton tego fundamentu ma w sobie wszystko, co potrzeba, że jest fundamentu ulanego i związanego równomiernie, ale jednak wiedział i to, że nie będzie to fundament pierwszej klasy.

Nie rozwodzi się nad tym, nic nie mówi, on to wie dla siebie; ale ón na pewno wiele by mówił o betonie, gdyby ciąg pracy jego brygady został uratowany i usunięta została przeszkoda, gdyby fundament mógł być pierwszej klasy.

Na pewno usunięcie przeszkody i uratowanie ciągu pracy na jego odcinku rozwiązałyby mu język i może usłyszeliśmy to jego sakramentalne, to jego ulubione porównanie betonu do kobiety; i może by powiedział — różne są betony, tak jak różne są kobiety; i może rozkładając ręce i krzywiąc się na twarzy powiedziałby — jest kobieta marna, słabo w sobie związana, i jest marny, słabo w sobie związany beton; i może przykładając! dwa palce do ust zwiniętych w trąbkę, niby do pocałunku, powiedziałby — i jest kobieta prima, i jest beton prima.

Ale tego on dziś nie powie, chyba długo, tego nie powie; ale na pewno znów kiedyś to usłyszemy, wtedy gdy znów chwyci dobry, nieprzerwany ciąg roboty, gdy mu wyjdzie fundament pierwszej klasy.

Czas leci i powinienem już pobiec do domu, w którym zostawiłem Helenę; może jestem już ojcem syna lub córki i zamiast być przy dziecku, muszę tu wraz z innymi czekać, aż przywlecze się samochodowy dźwig. Przywłókł się wreszcie, gdy nad budową już poszarzało; mając

spychacz i dźwig, już bez większego trudu wydobyliśmy wywrotki z rowu; gdy stanęły kołami na brzegu wykopu, zaczęły już rozbłykiwać światła na budowie; a tu jeszcze ten zbolały brygadzysta błaga nas — pomóżcie, chłopcy, wyprostować druty zbrojenia, szybciej pójdzie, gdy pomożecie. .

Nie można było mu odmówić i zsunęliśmy się w dół, stanęliśmy na brzegach szalunku i lekko ściętym betonie i zaczęliśmy prostować zbrojenia.

Gdy wyprostowaliśmy druty, zawołaliśmy wesoło do brygadzisty — no, to już można wlewać nowy beton — bo cieszyliśmy się, że wreszcie skończyła się ta robota niepotrzebna, nie dająca zadowolenia, niczego nie posuwająca do przodu, a tylko — można powiedzieć — zawracająca betonowanie fundamentu do punktu, w którym już było, a od którego cofnęło się prawie pięć godzin, bo tyle mniej więcej czasu zajęło nam wydzieranie wywrotek z wykopu.

Brygadzysta dziękował nam, a na końcu tego podziękowania skierował rękę w dół i pokazując szarą i lekko ściętą, pokrytą gdzieniegdzie jakby pianką szumowin i porośłą drutami zbrojenia niby rzadką, czarną szczecina powierzchnię betonu, mówił — będzie fundament, będzie, ale to nie to, co mogłoby być, to nie to, chłopcy; powtarzał — to nie to — gdy miał przed sobą nasze zmęczone, niecierpliwe twarze; i później, gdyśmy się rozlatywali i gdy miał przed sobą nasze uciekające plecy, gonił nas tymi samymi słowami — to' nie to, to nie to, chłopcy.

Ja od razu odbiłem się od tej grupy, która usuwała awarię, bo ja przecież gnałem do Heleny i wybierałem najkrótszą drogę; najpierw pod górę i na dół, pod górę i na dół, po zwałach starej, zbrylonej ziemi, a później pod górę i na dół, pod górę i na dół po zwałach młodej, miłkłej ziemi; a później długo w dół miękką ziemią, aż na brzeg świeżo wybranego rowu.

Rozdział XXVII

Rów był długi, przerywał kawał placu zasłanego drewnem i żelastwem, przez które trudno by się było przedzierać; dlatego zsunąłem się na dno dołu i po jego równym dnie szedłem wygodnie niby po podłodze.

Z początku na ten rów spadło wiele światła, a później coraz mniej; później światła bijące w rów nie łączyły się już w nim z sobą i gdy się szło, wpadało się raz w blask, a raz w cień, a później coraz dłuższe były te ciemne odcinki, a te widne coraz krótsze, aż w końcu zostawiłem za sobą ostatnie białe światło i szedłem rowem ciemnym.

Ale noc-była pogodna i mogłem zobaczyć górne brzegi rowu, i mogłem iść dość szybko, tym bardziej że na jego końcu świeciła mała lampa ostrzegawcza, która dodatkowo wskazywała mi kierunek.

Natrafiałem na pierwszą zaporę utworzoną z ziemi, która oderwała się z nie oszalowanej ściany rowu i spadła na dno; ale ta zaporę nie była wielką przeszkodą, a mogła być nawet dogodnym wyjściem z dołu, gdyż tworzyła jakby schodki uformowane z dużych brył ziemi; i muszę powiedzieć, że ja nawet nabrałem ochoty wydrapania się z dołu po tych niby schodkach, gdyż wiedziałem, że z tego miejsca zaczyna się ścieżka ubita do równości nogami robotników zatrudnionych przy kopaniu rowu, którą bez trudu dostałbym się do innych dobrych ścieżek, a w końcu na drogę prowadzącą do domu akuszerki.

Ale się nie wydrapałem po tych niby-schodkach używanych przez robotników do zejścia w dół i wyjścia z dołu, a uczynionych przez czysty przypadek, samym tylko zrzędzeniem losu, kierującym pęknięciami ziemi.

Nie wydrapałem się na brzeg, a przeszedłem na drugą stronę tych niby-schodków i pomaszerowałem dalej rowem, tak jakby mi się spodobał marsz po-jego dnie.

Mogłem także wyjść na brzeg rowu drugim obsuwem ziemi, który był niedaleko za tym pierwszym podobnym do schodków, bo i przy nim była ubita ścieżka, bo przy każdym takim obsuwie zaczynała się ścieżka uklepana nogami robotników z brygady robót ziemnych; ale i tym drugim obsuwem nie wygrzebałem się z rowu i nie skręciłem na ścieżkę, a poszedłem dalej rowem, bo dobrze mi się szło po jego dnie; bo taki rów, zanim się go oszaluje i wleje w niego beton, jest jakby drogą wygodną i nadającą się do szybkiego marszu.

Nie wiedziałem jeszcze — ale się wnet dowiedziałem —■ że ten rów, którym tak wygodnie i tak szybko mi się szło z tą nieustanną litanią w sobie — może już jesteś ojcem, może już jesteś ojcem syna albo córki — że ten rów będzie trzecim rowem, który przeryje moje życie.

Bo różni ludzie w różnych miejscach zaczynają, od różnych miejsc się odbijają w górę i z różnych miejsc spadają, do różnych miejsc mają życie przybite, tak przybite, że choć później są gdzie indziej, to z tych miejsc przybicia się nie oderwą, bo nie wyszarpią tych gwoździ.

Takimi miejscami w moim życiu pozawsiowym, bez matki, bez ojca, bez sąsiadów wiejskich, to znaczy w życiu samodzielnym, były trzy dna trzech rowów; nie mury, nie kursy, nie szkoły, nie sale zebrań i wykładów, jakby się mogło zdawać, a trzy dna trzech rowów.

Pierwszym dnem było dno wykopu, w który wgrzebałem się zaraz po przybyciu na tę wielką pustą równinę — mokre, oślizłe, zamarzniete, zbrylone na mokro i zbrylone na sucho, śliskie jak lód dno wykopu; przeklinane i opluwane, cuchnące naszym potem i naszym smrodem, ale dobre do odbicia i skoku w górę.

Z tego dna odbity poszedłem na mur, a potem jeszcze wyżej; nie byłoby muru i nie byłoby szkoły bez tego dna, bo przecież ten mój mur i moja szkoła z tego dołu wyszły; tu zaczynała się droga mojego — mówiąc ładnym językiem — zawodu, a mówiąc po naszymu — fachu.

Dlatego dużym bretnalem przybite jest do tego dna moje życie; i także dużym bretnalem przybite jest moje życie do dna Ślepego Rowu, rowu mojej miłości, tego rowu-łóżka, rowu-domu, rowu-kościola.

W tym dole z chłopca stałem się mężczyzną, w tym rowie omyłkowo przez chlebojadów i zupojadów wykopanym z mężczyzny stałem się ojcem, w tym dole ja i Helena daliśmy sobie i wzięliśmy; ślub i staliśmy się mężem i żoną, nim nam ksiądz związał stulą ręce. Wiele moich tajnych radości i wiele tajnych smutków .w tym tajnym rowie się narodziło.

Teraz maszeruję ubitym dnem trzeciego dołu, do którego trzecim dużym bretnalem przybite jest moje życie; i cokolwiek bym teraz robił, nie dam rady wyrwać tych gwoździ, żadna stateczność, żadna mądrość nie poradzi na to.

Wyskoczyłem daleko do przodu czasu i^vmuszę się znów dla porządku wprowadzić w * ten trzeci rów; " minąłem już następny obryw ziemi i drugą ścieżkę i' maszeruję wprost na czerwone światło małej, nisko ustawionej lampy, mając z dwóch stron dość dobrze wldoczną brzegi rowu, który składa się teraz jakby z dwóch warstw, z górnej, nieco i*ozjaśnionej czystym gwiaździstym niebem, i dółnej, ciemnej, podobnej do czarnej wody.

Szedłem tym trzecim rofoem, do którego trzecim bretnalem przybite jest moje życie, a w myśli,' w sobie ten rów co chwila wymijałem i całą drogę, jaka mnie jeszcze czekała, przebiegałem i przy łóżku w izbie tajnej akuszerki siedziałem, i w moje dziecko, i w moją żonę bez ceremonii zaślubioną się wpatrywałem, choć w rzeczywistości moje oczy miały przed sobą ciąg dołu i małą czerwoną lampę, i czerwonożłocisty, promienny podobny do żłocistego piskorza odbłask jej światła odbity od czegoś błyszczącego; tym bardziej podobny do ryby, bo wolno poruszający się, jakby pływający w tej nie rozjaśnionej widną nocą dolnej warstwie rowu, w tej „czarnej wodzie”; a żadne szkiełko, żaden odłamek świeżego, nie zardzewiałego żelaza, żadne takie przypadkowe lustro, którymi usłane są place budowy, nie mogłoby się tak wyraziście poruszać i tak wyraziście „przeplływać" od ściany do ściany rowu*

Dlatego coraz bardziej wpatrywałem się w ten odbłask, w tę rdzawożłocistą rybę, bo chciałem wiedzieć, co to jest; nie mogłem już o niczym myśleć, tylko o tej ciemnożłocistej rybie, o tym dziwie tej wiosennej nocy.

Przyśpieszyłem kroku, prawie biegłem wprost na ten „cud" i zaraz tuż przy tym „cudzie", przy tej rdzawożłocistej rybie zobaczyłem także rdzawożłocistą, zwiniętą dłoń, a nad dłonią także rdza-

wzłocistą twarz... i najpierw z wszystkiego, z wszystkich myśli i podszeptów, które nagle spadły na mnie, gdy znalazłem się przy tym „cudzie”, chciałem paść na kolana i prosić, i błagać o -poniechanie zemsty, a jeśli nie o poniechanie, to o odłożenie ha czas późniejszy, bo teraz biegnę do Heleny, bo może ona jest już matką, a ja jestem ojcem.

Tak chciałem błysku czasu, ale tego nie zrobiłem, bo ujrawszy jego rdzawozłocisty nóż najpierw z wszystkiego, sięgnąłem po swój sprężynowiec i odbiłem ostrze.

Gdy opisuję to z oddalenia czasu i przedstawiam całą rzecz na zimno, tak jakbym się jej przyglądał z boku, to muszę powiedzieć, że O11 mierzył w moje lewe podżebrze, ale ja lewą ręką podbiłem jego prawą dłoń i nóż przepłynął nad moją głową; ale w tym momencie oh odskoczył w bok i mój nóż przepłynął obok jego podżebrza. Po tym wyminięciu się i oddaleniu noże znów zbliżyły się jeden do drugiego i znów odpłynęły od siebie i wyminęły się w górze; a potem wyminęły się w dole, zatoczyły łuki, przepłynęły po kołach i opłynęły się nawzajem, bo obaj chcieliśmy dobrze wycelować i wiedzieliśmy, że najlepszym miejscem jest miękkie lewe podżebrze i najlepiej byłoby, aby nóż podpłynął do tego miejsca ukosem z dołu do góry.

Żadnych słów, żadnego sapania ani ciężkiego oddechu, co się zdarza w bójce ręcznej, siłowej, w której mogą być chwile, nieraz dłuższe chwile zwarcia, takiego zwarcia, w którym ważą się losy bójki, i wtedy nawet coś niewielkiego, nawet sapnięcie albo wyduszenie przez nagle odryglowane gardło cięższego oddechu może mieć znaczenie i być tym odważnikiem, który przechyli szalę zwycięstwa; a w bójce na noże zwarcia nie wchodzi w grę, bo w niej jest inaczej, w niej jest tańczenie, fruwanie wokół siebie, podfruwanie do siebie nawzajem, w niej musi być lotność, a lotność potrzebuje ciszy; w bójce na noże chodzi o to, żeby najzgrabniej dolecieć i przygwoździć tego, z którym się bijesz, wparowując mu nóż w lewe podżebrze, ukosem z dołu do góry; ho w bójce na noże wszystko odbywa się elegancko, nie ma w niej żadnego chamstwa, bo noże muszą się nawzajem szanować, i nie zachodzi w niej to chamskie walenie, łamanie, miażdżenie, obrzydliwe obślinienie i zasmarkanie, jakie się zdarza w bójce ręcznej, siłowej. Dlatego bójka na noże jest bójką czystą, nie ma w niej nic

brudnego, nie wchodzi w grę żadne darcie, wykręcanie rąk, nóg i szyi, mamlanie twarzy, żadne bordoczame posiniaczenie, tak jak w bójce ręcznej, siłowej; w bójce na noże wszystko jest czyste. Pod tą czerwoną lampą rów kończył się okrągłą gardzielią i my biliśmy się na jej okrągłym dnie.

W takiej bójce nie może być dwóch jednakowych, nic tak jak bójka na noże nie pokazuje, że nie ma dwóch równych ludzi na świecie; bo — pytam się — kiedy i gdzie, w jakim czasie i w jakim miejscu na tej ziemi dwa noże wparowały się w jednej sekundzie w dwa podobne miejsca na dwóch ciałach dwóch bijących się ludzi. W bójce na noże musi być jeden lepszy, a drugi gorszy; i w tej gardzieli ziemi pod tą czerwoną lampą to się okazało.

Pamiętam i pamiętając widzę długi, czerwonożłocisty łuk, narysowany w powietrzu jego nożem, i słyszę jego słowo — masz... — tak wypowiedziane, jakby mi dawał podarunek, którego nie chcę przyjąć, a potem ujrzałem cudowne rozmnożenie się tych rdzawożłocistych ryb, podobnych do tej pierwszej, ujranej z oddalenia; jest ich już tyle, jakby świat z niczego innego się nie składał, tylko z tych rdzawożłocistych ryb, tylko z tych rdzawożłocistych kolorów; ale wnet następuje odpływ w dalekość.

W bójce na noże Rumiany był lepszy, przygwożdżenie było dobre, wprawdzie nie najlepsze, bo żyję, ale dobre, bo pięć dni byłem nieprzytomny.

Rozdział XXVIII

Gdy dziś mówię o tym rowie jako o trzecim miejscu, do którego trzecim dużym bretnalem przybite zostało moje życie, to mam na myśli nie tyle to moje pięciodniowe wyłączenie się ze świata, bo przecież do tego świata wróciłem i z Heleną legalnym ślubem się złączyłem po odbyciu dwóch ceremonii — u księdza cywilnego i u księdza kościelnego, i zdrowie, i siły mi wróciły, i do swojego miasta wraz z innymi dopłynąłem; czyli mówiąc o dniu tego trzeciego rowu jako o miejscu, w którym siedzi trzeci bretnal mojego życia, mam na myśli to, co się stało z Heleną, a głównie z moim dzieckiem, z moim synem jedynym, który przez to moje pięciodniowe opuszczenie świata poszedł w obce ręce i nieznane strony i nie mamy go, a moglibyśmy go mieć, i mógłby być w naszym mieszkaniu, i moglibyśmy w niedzielę pójść z nim na daleki spacer najpierw miastem, a później polami, tak jak idzie ze swoją żoną i swoimi dziećmi Młodziutki — nazywam go po dawnemu, choć już minęła mu młodość — jak idzie ze swoimi dziećmi Czula Dusza i Czulej Duszy żona, jak idzie w pogodną niedzielę ze swoimi żonami i dziećmi wielu tych, którzy byli w dawnych „zakonach” szalonej budowy; i moglibyśmy, gdybyśmy tego syna mieli, przepłynąć z nim dużą rzekę i ukazać się na rodzinnym brzegu; bo już właściwie wszystko jest do przepłynięcia przygotowane, są już stroje w szafach i kieszenie zostały już na tyle odpłaszczone, że nie powstydzilibym się ich na rodzinnym brzegu; i już mogłaby grać muzyka, i mógłby już być na błoni festynowy bufet z piwem, wódką i kiełbasą, i ja zdiadapan mógłbym już pracować pieniędzmi o nie heblowane deski tego bufetu; ale nie możemy przepłynąć rzeki, bo nie mamy syna, bo co było za przepłynięcie; bo gdybyśmy przepłynęli bez syna, przywalałyby nas, przyduśliły pytania rodziny i wsi węszącej i nie ufającej, odrobinę wiedzącej, a pragnącej wszystko wiedzieć, aż cierpiącej przez

tę niepełną wiedzę i niespokojnej, i rozdrażnionej, bo nie widzącej i nie przewidującej ciągu mojego rodu; bo ten ciąg mojego rodu niby się nie urwał, a urwał, tak zawirował, takiego wywinął koziołka, że można powiedzieć, iż ten rodowy łańcuch będzie urwany; a jeśli nie urwany, to pociągnięty jakby od nowa, z niewiadomego miejsca, przez syna- mojego jedyne, którego nie mam i którego nie znam, i nie wiem, jakie ma nazwisko; ale choć go nie mam i nie znam, i nie wiem, jak się nazywa, to wszystko, co powiedziałem i co jeszcze powiem, właściwie dla niego przeznaczam; nie mówiłbym tego wszystkiego, bo ja to wiem, a innym po co wiedzieć, gdybym nie miał tej malutkiej nadziei, że trafi to do jednego z tych dwudziestolatków, który jest naszym synem; i dlatego, choć nie mam syna, to jednak go mam, mam go w każdym z tych dzisiejszych dwudziestolatków; i gdy mijam dwudziestolatka, to nigdy nie mogę być całkowicie pewny tego, że nie mijam syna, i gdy siedzę obok dwudziestolatka, to nigdy nie mogę być całkowicie pewny, że nie siedzę obok syna; i nie mogę też być całkowicie pewny tego, że gdy któryś z tych dwudziestolatków mocniej mi się przypatrzy, nie zawołam — synu... i nie mogę też być całkowicie pewny, że gdy ktoś zapuka do moich drzwi, nie będzie to pukanie mojego syna...

Czyli ja mam syna, mam go, nieznanego, a Helena ma go znanego, bo ona przez sześć dni mu się przypatrywała, bo przez sześć dni czekała na mnie, najpierw w izbie, a później na strychu w domu tej tajnej akuszerki, do której ją odprowadziłem wcześniej rano, wiosną dwadzieścia lat temu, i do której miałem przyjść tego samego dnia po skończeniu pracy.

Gdy tak mówię o synu, to przedstawiam swój sposób na życie z synem nie posiadanym, jakby swoje odkrycie, którego w sobie dokonałem, aby nie utracić całkowicie syna utraconego, aby się nawet cieszyć nim nie posiadanym i widzieć nie widzianego, i mówić do r. ie słuchającego; ale jednak nie bez odrobiny nadziei, że odnajdą go te słowa i on wtedy dowie się całej prawdy bez żadnych upiększeń, bez żadnych ładności, tylko samej prawdy. On, to znaczy jeden z tych dzisiejszych dwudziestolatków; bo jeden z nich został splodzony w takim miejscu, w jakich płodzą się krety albo jeże, i później narodził się w domu wiejskiej akuszerki, stojącym na brzegu szalonej budowy, i później w tym domu —

na łóżku i na sianie, na strychu — przeleżał ze swoją matką sześć dni, a szóstego dnia z wieczora został przez tę właścicielkę domu wraz z matką wyrzucony i niesiony na rękach płynął nad przylegającym do wielkiej budowy pasem pola obok tego miejsca, w którym na wierzchołku rozmaitych rupieci spalił się niepotrzebny, strupieszwały pług; a później niesiony na rękach matki opłynął łukiem wielką budowę.

Wciąż teraz przemawiam do jednego z tych dzisiejszych dwudziestolatków, który nie jest synem tej kobiety, do której mówi „matka”, i nie jest synem mężczyzny, do którego mówi „ojcze”, ale jest naszym synem. Przemawiam do niego i zapalam się w tym przemawianiu, i chcę się zapalać, bo tym sposobem przybliżam syna do siebie i mam go jakby przed sobą, i mówię mu dalej, że jego rodzona matka po odejściu od ludzi, u których bezskutecznie dowiadywała się, co się ze mną stało, wyszła poza granice budowy i nie wiedząc, dokąd iść, wstąpiła na pustą ziemię i tą ziemią idąc, zbliżyła się do Ślepego Rowu i stanęła na jego brzegu, jakby chciała temu sześciodniowemu synowi to miejsce pokazać i powiedzieć mu — tu, synu, zaślubiłam twojego ojca, tu się, synu, zacząłeś i tu był nad tobą sąd; i na brzegu tego Ślepego Rowu musiało się jej przypomnieć to, co mówiłem tamtej nocy, gdy ustawiłem naprzeciw siebie syna jeszcze nie narodzonego i tę naszą szaloną budowę i że byłem po stronie tej szalonej budowy, której przeszkadzają kobiety ciężarne i dzieci.

Wciąż przemawiam do jednego z tych dzisiejszych dwudziestolatków, który jest naszym synem; przemawiam jako jego stateczny ojciec, który dawno pogrzebał swój sprężynowy nóż, ale także przemawiam do niego jako chłopiec z dawnych lat, jako jego rówieśnik, przywiany nagle nad tymi dwudziestoma latami w kufajce, z łopata, kielnią i ze sprężynowcem do obrony miłości, przywiany razem z innymi chłopcami z dawnych lat, ubranymi w kufajki, razem z ich straszliwymi przekleństwami i z tym dziś już nie istniejącym dziwem, czyli z tymi ich świętymi godzinami pracy.

Jako ojciec przemawiam żałośliwie i pełen tęsknoty za synem utraconym i wynajduję własny sposób przebywania z nim, a jako chłopiec z dawnych lat, jako jego kumpel myślą przeskakujący czas klepię go po ramieniu i pytam się — jakim jesteś^ koleżko,

czy z ciebie także, podobnie jak z wielu twoich rówieśników dzisiejszych, wypatroszono ogień? Gdy twoja matka odeszła od Ślepego Rowu, znalazła się na pustej, przygotowanej pod budowę ziemi; unikając światła, które już zaczęły rozbłyskiwać nai placami, i przesmykując się miejscami ciemniejszymi doszła do tego samego składowiska starego żelastwa, przez które przechodziłem z chorą Matką, niosąc ją na pogotowie. Duży, podobny do płaskiej niecki albo do płaskiej kołyski nóż, oderwany od spychacza, leżał tam jeszcze i ona odczuwając wielkie zmęczenie, położyła ciebie na tym nożu, jak ja przedtem położyłem Matką, i sama na nim usiadła; i ty szóstego wieczoru swojego życia nie leżałeś w ładnym łóżeczku ani w ładnym wózekczku, ani nawet na zgrzebnej płachcie położonej na słomie albo na sianie, ale leżałeś na ogromnym nożu ogromnej maszyny, służącym do krajania ziemi; leżąc na tym nożu zaczęłeś upominać się o pierś matki i ona wtedy przeniosła cię z tej stalowej „kołyski” na swoje kolana i nakarmiła cię.

k potem podniosła się, wzięła cię na ręce i nie wiedząc dokąd iść, poszła przed siebie i znów przesmykiwała się pomiędzy tymi bezużytecznymi odpadami szalonej budowy, i znów zmęczenie zatrzymało ją, tym razem przy oderwanej od ciężkiego samochodu blaszanej budce szoferki, która jeszcze miała drzwi, a w itodku rozbebeszone miękkie siedzenie i nawet kierownicę; więc weszła do tej budki z tobą na rękach i tyś szóstą noc swojego życia spędził w oderwanej od starego samochodu szoferce, leżąc na wybebeszonym siedzeniu obok matki, która niby zmęczony szofer zdrzemnęła się na chwilę, mając ręce i głowę wsparte na kierownicy. Po ocknięciu się z drzemki w tym wyrzuconym na złom kawałku samochodu przejechała przez dwa lata swojego życia na budowie i trzymając ręce na tej rozchwierutanej kierownicy musiała wrócić do tej nocy, którą spędzała z tobą na składowisku odpadów.

A. później, synu, twoja matka wyszła z tej budki, a ciebie w niej zostawiła; bo chciała się spokojnie rozejrzeć po tym śmietniku, a także chciała pomyśleć, jak jest z nią i co ma robić, i chciała znaleźć drogę.

Me ty, synu, chyba rozumiesz, bo masz już dwadzieścia lat i jesteś dorosły, że ona nie mogła cię spokojnie rozejrzeć i spokojnie

pomyśleć, bo to był szósty dzień twojego życia, czyli szósty dzień jej ciężkiego matkowania, a także dzień, w którym ją razem z tobą wyrzucono nawet ze strychu i nikt nie mógł jej powiedzieć, co się ze mną stało; w którym najpierw w domu akuszerki osłuchiła się tej natrętnej i bezsilnej litanii — idź już stąd, idź, bo cię kto wyniucha i będzie kłopot; idź już stąd, idź, bierz swoje dziecko i odchodź, bo cię kto wywęszy; uciekaj stąd, bierz swojego bachora i uciekaj; nie przyjdzie twój kawaler, nie przyniesie pieniędzy, uciekaj stąd, czym prędzej uciekaj, bo może być źle.

A potem wygnana z domu, w którym się urodziłaś, w różnych miejscach budowy osłuchiła się drugiej także bezlitosnej litanii — nie wiemy, nic nie wiemy, zupełnie nic nie wiemy, co się z nim stało; od sześciu dni nie nocuje w baraku, nie zjawia się na budowie, nie zachodzi do bimbrowni, od sześciu dni nikt go nie widział; no bo nikt nie mógł mnie widzieć ani na budowie, ani w tajnej bimbrowni, ani w baraku; bo znaleziony przypadkowo przez obcych dobrych ludzi, którzy przechodzili obok tej gardzieli ziemi, gdzie odbyła się bójka, zostałem odwieziony do szpitala w dużym, pobliskim mieście, o czym na budowie na moim odcinku robót nikt nie wiedział.

No to chyba rozumiesz, synu, jak trudno jej było znaleźć sposób wyjścia, jak trudno jej było u schyłku szóstej nocy twojego życia znaleźć trasę, która by się zakończyła naszym wspólnym spotkaniem i miała ujście w szczęśliwym życiu tej naszej rodzinnej trójcy; bo, synu mój, powinieneś i to wiedzieć, że wśród nas byli i tacy, którzy w nocnych godzinach tej naszej szalonej budowy szukali wyjścia i nie mogli go znaleźć, i nie mogli znaleźć żadnej drogi, żadnej trasy, na kpięcu której można by z ulgą odetchnąć, a potem rozkrzyżować ręce i wyprostować się, i całą twarz zwrócić do czarnego albo do gwiaździstego nieba i krzyknąć — jestem uratowany!

W nocnej prawdzie tej naszej szalonej budowy były i te trasy wijące się pomiędzy starym żelastwem na składowiskach złomu, pomiędzy wszelaką rupieciarnią na nie oświetlonych obrzeżach placów budowy, gdzie w ciemności bieleją płaskie paki napelnione wapnem, podobne nocą do dużych łóżek przykrytych prześcieradłami; te trasy prowadzące pustymi, zapomnianymi rowami, idące

obok starej zgrudzonej ziemi usypisk, przylegające do ciemnych murów, te cierniste trasy, po których wlokły się samotnie młode, przerażone kobiety z ciężarem zakazanego owocu, ukrytego w zawiniątkach; te trasy, na których ziemia i ludzie, i powietrze, na których nic nie miało litości, na których brak litości rozmnażał się z każdą chwilą, tak się rozmnażał, że przed świtem mógł już zagnieździć się w duszach tych przedwczesnych, nielegalnych matek i one mogły bezlitosnym, okrutnym okiem spojrzeć na ten swój zakazany owoc, opatulony szmatami, tak spojrzeć, jak spojrzała smągła brunetka, dla której wszystko było tak bezlitosne, że litościwą, niby białe, wygodne łoże, okazała się paka pełna wapna.

A potem ten brak litości mógł się dalej rozmnażać w duszach tych przedwczesnych, nielegalnych matek i one mogły bezlitosnym, okrutnym wzrokiem spojrzeć na same siebie, tak jak spojrzała smągła brunetka, dla której wszystko było tak bezlitosne, że litościwym okazał się ostry, wysoki winkiel muru.

A jak było z twoją matką, synu?... Ona także szła tą trudną trasą przedwczesnych, nielegalnych matek, które ojców swoich dzieci zaślubiły bez księdza kościelnego i cywilnego i bez świadków» może tylko z ciemną albo gwiazdzistą nocą jako świadkiem..

Dla niej także tamtej nocy, o której ci opowiadam, wszystko było bezlitosne i ta wiejska akuszerka wykrzykująca— bierz swojego bachora i uciekaj stąd, nfe przyjdzie twój kawaler, nie przyniesie pieniędzy, uciekaj czym prędzej, bo cię kto wywęszy; i brak dobrej Matki, tej Matki z budowy, która na pewno by jej pomogła, i brak dobrego, mądrego Korbasa, który wyjechał na wieś, żeby odwiedzić rodzinę; i słowa — nie wiemy, co się z nim stało; i progi baraków, gdzie jej powiedziano — z dzieckiem nie wolno; i wspomnienie sądu odbytego w Ślepym Rowie nad tobą jeszcze nie narodzonym; i oświetlone, i ciemne pasy ziemi, i ta zimna, stalowa „kołyska" na śmietniku budowy, na której siedząc mogła tylko podać ci pierś, żeby cię nakarmić, bo musiała pójść dalej; i ta oderwana od dużego samochodu, i wyrzucona na drugi śmietnik budowy stara szoferka, w której p'rzecież nie mógł jej zastać dzień.

Szóstej nocy twojego życia wszystko było tak nielitościwe dla twojej matki, że litościwą wydała się jej blada, rozciągnięta mię

dzy dwoma małymi światłami smuga widziana przez dziurę w ścianie tej. szoferki; smuga po pierwszym spojrzeniu, a po dokładnym przyjrzeniu się ciasna, a po jeszcze dokładniejszym popatrzeniu i chwili zastanowienia niska, długa ściana małego, tymczasowego szpitalika budowy.

Mówię do ciebie, synu, choć nie wiem, gdzie jesteś i jakie nosisz nazwisko, mówię sam, ale moją własną sztuką posiadania ciebie nieposiadanego i przebywania z tobą utraconym sprawiam, że jesteś przy mnie i rozmawiasz ze mną, i wspólnie ze mną przebaczasz swojej matce, która po wyjściu z tej budki szoferskiej, leżącej na śmietniku budowy, skierowała się wprost na tę białawą smugę, na tę niską, długą ścianę; a jej ramiona uformowane na kształt dwóch dużych haków zakrzywionych do góry, uformowane tak do trzymania ciebie w zawiniątku, odgięły się już ku przodowi; bo choć ty sześciodniowy nie byłeś ciężki¹, to jednak zmęczenie sześciodniowej matki sprawiło, że byłeś ciężki niby kamień, coraz cięższy, jakby do jednego kamienia dodawało się drugi, trzeci, czwarty... a już przy samej białawej, niskiej ścianie wydało się jej, że na swoich zatracających ze zmęczenia kształt sprężystych haków i odginających się ukosem w dół ramionach trzyma się swojego sześciodniowego syna, a całą ogromnie ciężką górę kamieni; choć w gruncie rzeczy trzymała nieduże zawiniątko, taki podłużny przedmiot, w którym było więcej brudnych, zwilgotniałych szmat niż ciebie.

Ustawmy się teraz, synu, niedaleko niej i patrzmy. Stoi jeszcze przy ścianie z odhaczonymi ramionami, po których niby ciężar po szynach zsunął się aż do samych dłoni, bo jeszcze dłonie nie odgięły się, jeszcze kurczowy zakrzyw dłoni broni cię przed upadkiem na ziemię.

Ale twoja matka pochyla się i zsuwa ciebie z odgiętych już dłoni na sam środek grubej, gumowej obręczy dużego koła samochodu, położonej dla ozdoby niedaleko drzwi; a potem podchodzi do okna, puka głośno w szybę i biegnie na załom muru.

A jednak, synu, u schyłku tamtej nocy zwyciężyła miłość i zwyciężyło życie, bo przecież w tym głośnym stukaniu w szybę było ocalenie dla miłości i dla życia; bo czuwający za tym oknem ludzie wyszli z baraku i usłyszawszy twój płacz, podnieśli cię z ziemi i wzięli ze sobą.

Powinieneś i to wiedzieć, że twoja matka po odszukaniu mnie w szpitalu i po krótkiej, jakby szalonej radości, że jestem, że żyję, radości przemienionej nagle w smutek, że ciebie nie mamy, i po krótkiej chwili nadziei, że możemy cię odzyskać, pobiegła do tego baraku, przy którym cię zostawiła, i przyznała się, że jest matką tego podrzutka, który przed kilku dniami leżał przy ścianie w grubej, gumowej obręczy koła samochodu; i powiedziała, że chce go wziąć, bo wszj^stko się zmieniło, bo odnalazła ojca dziecka; a potem przysięgała, biła się w piersi i znów przysięgała, że jest matką tego podrzutka, błagała i znów przysięgała, jakby przeczuwając, że już po raz drugi matką nie będzie mogła zostać.

Ale na nic się zdały te przysięgi i błagania, bo dziecko poszło już w obce, nieznane ręce, i już nie można było go odnaleźć; i będąc naszym synem stałeś się synem obcych, nieznanych, nie wiadomo gdzie mieszkających i gdzie pracujących ludzi.

Ale jesteś w jakimś miejscu, jakimś mieście, w jakimś domu na jakiejś ulicy, jesteś jednym z tych dzisiejszych dwudziestolatków; i tę myśl mam zamiast ciebie; i z tą myślą, jak z tobą, idę przez moje wielkie miasto.

W środku światła i w środku murów przerzucam się w tył czasu, do gołej ziemi, zrytej rowami, ściągniętej mrozem i przykrytej śniegiem; i na tej ziemi powtarzam budowanie mojego miasta, i wciąż powtarzam, i w ten sposób uczę się siły, aby z myślą o tobie przebywać jak z tobą, aby z myślą o tobie jak z tobą żyć w moim mieście i przepłynąć moją rzekę.

